NOWA POLITYKA ZAGRANICZNA

Jak Polska radzi sobie po ochłodzeniu relacji z USA

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 24/429 14–20 CZERWCA 2021

Czy Trybunał Konstytucyjny obroni małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny?

Rząd rozbraja rozbrojonych Polaków

JAN POSPIESZALSKI BEZKOMPROMISOWO O POLITYCE PIS:

Dokąd nas zaprowadzi dryf partii rządzącej?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 24

Nakład: 57,2 tys. egzemplarzy

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER GŁÓWNY PZU

PARTNER Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl 76b884c402

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Brońmy prawa weta

Jak to często bywa, to, co najważniejsze, umyka uwadze polskich komentatorów. Wolą uczestniczyć w plemiennych połajankach i skupiać się na powierzchni życia politycznego. Dlatego tak niewiele uwagi zwróciła w Polsce, przełomowa co się zowie, propozycja niemieckiego ministra spraw zagranicznych, Heiko Maasa, by w sprawach polityki zagranicznej znieść zasadę jednomyślności. „Nie możemy już dłużej pozwalać na to, byśmy byli zakładnikami tych, którzy swoim wetem paraliżują europejską politykę zagraniczną" – powiedział niemiecki polityk na konferencji ambasadorów w Berlinie. Nie mniej ciekawe niż sama ta propozycja było jej uzasadnienie: „Stawką jest zdolność Europy do działania. Fakt, że poszczególne kraje regularnie blokują decyzje dotyczące polityki zagranicznej, zagraża spójności Europy – tłumaczył szef niemieckiego MSZ. – Dlatego też musimy otwarcie powiedzieć: weto musi zniknąć – dodał Maas. Najbardziej zabawne, że te swoje wywody zakończył, nie sposób nie zauważyć, dość obłudną obietnicą: „Nawet, jeśli miałoby to oznaczać, że Niemcy mogłyby zostać przegłosowane".

Uderza, że propozycja ta, która pociągałaby całkowitą zmianę polityki unijnej i praktyczny koniec suwerenności poszczególnych państw, w Polsce przemknęła, powtarzam, bez głośnego echa. Być może dlatego, że bezpośrednim powodem jej pojawienia się była, z polskiego punktu widzenia, dość odległa i abstrakcyjna kwestia stosunku do Hongkongu i Bliskiego Wschodu. Poza tym głównym oskarżonym o niesubordynację jest w tej sprawie premier Węgier, Viktor Orbán, który uniemożliwił wydanie tak upragnionego przez ministra Maasa oświadczenia. Sam węgierski premier tak to tłumaczył: „Europejska lewica, pod przywództwem lewicy niemieckiej, kolejny raz w podły sposób zaatakowała Węgry. Tym razem z powodu odmowy podpisania wspólnego oświadczenia w sprawie Hongkongu, któremu brakowało wagi politycznej i powagi". „W ostatnich latach to wspólne podejście do polityki zagranicznej, motywowane wewnętrznymi względami politycznymi, doprowadziło do tego, że stanowisko w polityce zagranicznej Unii Europejskiej stało się pośmiewiskiem" – zauważył szef węgierskiego rządu.

Nie zamierzam rozstrzygać tu sporu o oświadczenie wobec Hongkongu. Jednak nie mam wątpliwości, że niemiecki projekt jest skrajnie szkodliwy. Przede wszystkim, jeśli minister Maas mówi o „europejskiej spójności", to powstaje pytanie, w jaki sposób jest ona osiągana. W przypadku poszczególnego państwa członkowskiego Unii za politykę zagraniczną odpowiedzialna jest poszczególna, demokratycznie wybrana władza. Polityka zagraniczna należy w ścisłym tego słowa znaczeniu do zakresu suwerenności państwowej i dlatego poszczególne państwa mogą prowadzić spójną politykę narodową. Takiej wspólnej, demokratycznej podstawy brak unijnym instytucjom. Tak jak nie ma europejskiego ludu, tak nie ma suwerennych, pochodzących od tego ludu, instytucji.

Tym jednak, co najbardziej zastanawia, jest opowieść szefa niemieckiej dyplomacji, że po zniesieniu zasady weta Niemcy także gotowe są podporządkować się większości, nawet jeśliby się z nią nie zgadzały. Otóż warto przypomnieć ministrowi Maasowi, a także innym, podobnie myślącym politykom, że zasada weta została wymyślona dla ochrony praw słabszych, a nie silniejszych! Prawo weta jest swoistą nadwyżką, dodatkiem politycznym, który ma równoważyć nierównowagę gospodarczą, demograficzną i inną między różnymi podmiotami. Na tym polega istota prawa weta: tam, gdzie jedno państwo (lub kilka) może szybko zdobyć hegemonię i zapewnić sobie dominację (bo jest bogatsze, bo ma większe wpływy, bo dysponuje potęgą), tam słabszy dysponuje ostateczną bronią blokującą. Prawo weta to konieczny element równowagi. Kto zatem neguje prawo weta, ten faktycznie neguje podstawową zasadę istnienia Unii Europejskiej, zasadę równowagi między interesem narodowym poszczególnych państw (również mniejszych i słabszych) i interesem wspólnoty (określanym często przez większych i silniejszych).

Powiem to obrazowo. Wyobraźmy sobie sytuację, w której w klatce zamknięta jest mysz, a wokół niej krąży kot. Otóż w pewnym momencie kot ogłasza, że będzie walczył o życie bez klatek, że jest przeciwnikiem krat i chce pełnej swobody i wolności poruszania się. A następnie, by pokazać swą dobrą wolę, mówi, że jeśli mysz zgodzi się opuścić zamknięcie, to on sam chętnie da się jej zamknąć. Czy mysz dałaby się przekonać? Tak długo, jak kot jest kotem, a mysz myszą, nie sądzę.

Słowa ministra Maasa pokazują zatem, obawiam się, rosnącą presję niemieckiej, a zapewne też europejskiej lewicy na to, by wykorzystując obecną przewagę polityczną, raz na zawsze znieść ostatnie bastiony narodowej suwerenności. Polska powinna się temu zdecydowanie przeciwstawić. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 76b884c402

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z JANEM POSPIESZALSKIM
OBAWY O OGRANICZANIE NASZEJ SUWERENNOŚCI SĄ ZASADNE
Obóz władzy robi wszystko, by stracić akceptację społeczną

KRAJ

22 MACIEJ PIECZYŃSKI
NOWA POLITYKA ZAGRANICZNA
Zwrot polskiej dyplomacji w kierunku Turcji i Chin może być korzystnym ruchem geopolitycznym

26 ROZMOWA Z RADOSŁAWEM FOGLEM
SCHADENFREUDE NAD TUROWEM

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PIS: LEPIEJ JUŻ BYŁO

30 TOMASZ ROWIŃSKI
MILCZENIE MARSZAŁKA

32 KAROL GAC
OBRONIĆ MAŁŻEŃSTWO

34 ŁUKASZ WARZECHA
RZĄD ROZBRAJA ROZBROJONYCH

38 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI"
UCIEKALIŚMY OD BEZRUCHU

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
DYMIĄCY OBIEKT POŻĄDANIA

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
KINO BANDYCKIE
„Cruella" – prequel żerujący na legendzie „101 dalmatyńczyków"

49 KRZYSZTOF MASŁOŃ
PAINT IT BLACK

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 JAN FIEDORCZUK
SZANSA LIBERALNYCH NACJONALISTÓW
Mimo niskiego poparcia Konfederacja jest wyjątkowo niewygodnym konkurentem dla PiS

52 ROZMOWA Z MARTINEM LOHMANNEM
WIERZĘ W JEZUSA, NIE W CDU

54 MAREK JUREK
ZWYKLI KATOLICY PO FRANCUSKU

HISTORIA

56 ŁUKASZ CZARNECKI
ZBRODNIA I KARA W DAWNYCH CHINACH
Od bicia kijem do lingchi

ŚWIAT

60 WITOLD REPETOWICZ
WOJNA NIE URATOWAŁA NETANJAHU
Eskalacja konfliktu między Izraelem a Hamasem nie osiągnęła celu, czyli utrzymania się przy władzy

62 PIOTR WŁOCZYK
MŁODZI LUDZIE SKRZYWDZENI PRZEZ „TRANSBIZNES"

EKONOMIA

66 JAKUB WOZINSKI
GLOBALNA STAWKA
Na spotkaniu G7 zaproponowano minimalną globalną stawkę podatku CIT

68 JACEK PRZYBYLSKI
KOSMICZNI MILIARDERZY

SPORT

72 ŁUKASZ MAJCHRZYK
KUBICA NA PODIUM
Robert Kubica potwierdził swoją klasę w rajdach długodystansowych

O ZDROWIU

74 KATARZYNA PINKOSZ
LEK, KTÓRY PRZEDŁUŻA SPRAWNOŚĆ
Szansa na chodzenie przy dystrofii mięśniowej Duchenne'a

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (59), PRZYBYLSKI (64), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (78), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 76b884c402

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Andrzej Hulimka**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 57,2 tys. egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy nasz adres e-mailowy – listy@dorzeczy.pl – i zachęcamy do przesyłania listów do naszej rubryki.

Pancerniak, nie esesman

Dzień dobry,
[...] opublikowali Państwo [„DRz" 20/2021 – przyp. red.] na str. 65 zdjęcie ilustrujące notkę o emeryturach dla holenderskich esesmanów – fotka gustowna, tyle że nie przedstawia ona esesmana, a niemieckiego pancerniaka, najprawdopodobniej z artylerii samobieżnej. Żołnierz ów (oficer młodszy, prawdopodobnie porucznik, ale szczegółów pagonów nie widać) ma na głowie wojskową czapkę oficerską w kolorze feldgrau, z wojskowym „bączkiem" – Waffen-SS miała czapki innego kroju, a w miejscu „bączka" charakterystyczną trupią czaszkę (innego wzoru niż na patkach, o czym za chwilę). Żołnierz ma na sobie typową czarną kurtkę broni pancernej. Jej dwa pagony także znamionują Wehrmacht – gdyby to był oficer SS, miałby tylko lewy pagon. Patki z trupią czaszką są zaś typowym niemieckim emblematem związanym z kawalerią (tzw. czarnymi huzarami), przejętym przez jednostki broni pancernej.
W rzeczywistości czarny mundur tzw. Allgemeine SS (czyli wydzielonej części „ogólnej" SS, bez Waffen-SS i załóg obozów koncentracyjnych) był używany wyłącznie wewnątrz terytorium III Rzeszy, np. przez jednostki wartownicze i jako ubiór galowy. SS poza granicami Rzeszy nosiło szarozielone mundury, podobne do wojskowych, choć odmienne w szczegółach, z runami SS na patce i czaszką na czapce garnizonowej (choć często używano furażerek i czapek polowych, bez czaszki). Zaś gestapo, jako policja TAJNA, najczęściej chodziło po cywilnemu. Znane nam jak najgorzej z ulic Generalnej Guberni oddziały niemieckie, uczestniczące w akcjach przeciwko ludności, to było najczęściej SD, umundurowane podobnie jak reszta SS na szarozielono (choć z innymi oznaczeniami na mundurach).

Jarosław Lewandowski,
redaktor naczelny miesięcznika „STRZAŁ.pl"

Myśl prof. Dąbrowskiego

Szanowni Państwo,
[...] Cieszę się, że podjęli Państwo temat skandalicznego doboru lektur w jednym z warszawskich liceów („Do Rzeczy" nr 22/427). [...] Niepokój budzi jednak również powiązanie wymaganych na egzaminie treści z myślą prof. K. Dąbrowskiego. Profesor nie żyje od ponad 40 lat, zatem nie może się bronić. Mimo wielkich dokonań nigdy nie zdobył większej popularności, nie stał się swego rodzaju ikoną psychologii (jak np. prof. A. Kępiński). Kto wie, czy swego rodzaju zapomnienie Dąbrowskiego nie jest związane również z faktem, że był kontrowersyjny – szczególnie dla marksistów – w latach 50. ubiegłego wieku. Konstruując teorię dezintegracji pozytywnej, prof. Dąbrowski brał pod uwagę biografie ludzi zasłużonych dla kultury, sztuki, ale w centrum jego zainteresowań był przede wszystkim człowiek niezaradny życiowo, nieprzystosowany, pełen empatii, ciepła, zdradzający zdolności twórcze [...]. Ten człowiek nadwrażliwy, o którego Dąbrowski walczył stał w opozycji wobec psychopatów, ludzi, którzy niejednokrotnie odnieśli tzw. sukces w życiu, zawodowym, towarzyskim. Nie wiem, na jakiej podstawie red. Ł. Zboralski nazywa teorię Dąbrowskiego „nieprzejrzystą" i „niejasną". [...] Naprawdę szkoda, że myśl Kazimierza Dąbrowskiego jest tak mało znana. Może jednak powstanie jego ciekawa i rzetelna biografia?

Paweł Taras

Odpowiedź autora:

Szanowny Panie, myślę, że jednym z dowodów na to, jakie znaczenie ma teoria prof. Dąbrowskiego, jest jej... zapomnienie. Natomiast podtrzymuję, że implementowanie tej teorii do edukacji niesie ze sobą niejasność i kontrowersje – nauczyciel to nie wykwalifikowany psychoterapeuta.

Łukasz Zboralski

Wyjaśnienie

W poprzednim wydaniu tygodnika „Do Rzeczy" (nr 23/428) do tekstu Łukasza Warzechy pt. „Pieniądze to nie wszystko" wkradł się błąd. Jedno ze zdań powinno brzmieć: „Jeżeli weźmiemy 10 osób, z których dziewięć zarabia 100, a jedna 1 tys., to średnia wyjdzie nam 190 – prawie dwukrotnie więcej, niż zarabia 90 proc. z tej grupy". Błąd pojawił się na etapie korekty tekstu.
Za zaistniałą sytuację najmocniej przepraszamy zarówno autora tekstu Łukasza Warzechę, jak i Czytelników.

Korekta „Do Rzeczy"

eprasa.pl 76b884c402

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ślepa wiara w normalizację

PIOTR SEMKA

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

Protokoły z zebrań KC PPR [...] wskazują, że Bolesław Bierut był zdecydowanie przeciwny jakimkolwiek eksperymentom z amnestią. Sowiecki namiestnik na Polskę argumentował: „Nie możemy dawać amnestii tym, którzy walczą z nami przy pomocy kuli". Bierut miał powody do lęku. Nowa władza bała się, że walki partyzanckie zakończą się nowym powstaniem. Sowieci, którzy nie mieli ochoty trzymać w Polsce ciągle sporych sił NKWD, wierzyli w skuteczność amnestii jako środka rozpracowania podziemia. Można podejrzewać, że dla uspokojenia Bieruta obiecywali w najgorszym wypadku przeprowadzić masowe deportacje AK-owców na Syberię.

Latem 1945 r. komuniści mogli więc pogodzić dwa cele. Ogłoszenie amnestii wyglądało jak ukłon wobec Mikołajczyka, a jednocześnie było realizacją sowieckiego planu rozpracowania podziemia. Gorzej, że pomysły amnestyjne zbiegały się ze swoistą obsesją „rozładowania lasów", która opanowała dowódców AK tworzących nowe struktury „Nie", potem Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj i wreszcie WiN.

Już 18 lipca 1945 r. trzej działacze podziemnego Zjednoczenia Demokratycznego z najbardziej znanym Kazimierzem Moczarskim, szefem Biura Informacji i Propagandy Delegatury Sił Zbrojnych, opracowali i złożyli delegatowi Sił Zbrojnych Janowi Rzepeckiemu memoriał wskazujący na „przegraną własnego kierownictwa politycznego i wojskowego z okresu minionej wojny" i zalecający m.in. „odcięcie się od kierownictwa londyńskiego i przyznanie jego bankructwa" oraz „stwierdzenie w formie rozkazu, że walka zbrojna w kraju w sytuacji obecnej jest działaniem bezużytecznie osłabiającym naród".

Niedługo potem, 24 lipca, Rzepecki w ulotce „Do żołnierzy byłej Armii Krajowej", opracowanej razem z Moczarskim, głosił: „Nie dajcie posłuchu namawiającym was do jałowego szkodnictwa, do tworzenia zbrojnych oddziałów, do destrukcyjnego bandytyzmu politycznego, zwalczajcie psychozę dezercji z wojska i agitację za dezercją. Są to działania [...] całkowicie sprzeczne z konstruktywną zawsze postawą Polski podziemnej. Jeśli tylko pozwala na to wasze osobiste położenie, jeśli bezmyślne prześladowanie przez tzw. bezpieczeństwo nie zamyka wam tej drogi – to przystępujcie do jawnej pracy na wszystkich polach nad odbudową Polski".

Nazwisko Moczarskiego przeszło do historii z pozytywną konotacją. Pamięta się o wyjątkowo sadystycznych torturach, którym został poddany po 1949 r., i z racji jego słynnej książki „Rozmowy z katem". Nie zmienia to faktu, że zacytowane powyżej fragmenty memoriału szefa BIP Delegatury Rządu na Kraj zdumiewają: szef struktury oporu podziemnego przyjmuje słownictwo i język komunistycznej propagandy. To smutny dowód na to, do czego mogła doprowadzić fobia wobec rządu w Londynie przy jednoczesnej ślepej wierze w normalizację sytuacji w kraju pod rządami Bieruta. ©℗

FOT. BIURO PRASOWE DRAGON-21

WIELKIE ĆWICZENIA POLSKIEJ ARMII

Ponad 9,5 tys. żołnierzy wszystkich rodzajów sił zbrojnych oraz ok. 800 jednostek sprzętu wojskowego wzięło udział w ćwiczeniach „Dragon 21" – największych manewrach polskiej armii w roku 2021. Na poligonach sprawdzano umiejętności żołnierzy, a także stan wyposażenia, w tym czołgów, bojowych wozów piechoty, myśliwców, śmigłowców, bezzałogowców, pojazdów ciężarowych, quadów, motocykli etc. Ćwiczenia trwają od początku miesiąca, ich zakończenie przewidziano na 18 czerwca. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 76b884c402

Szef polskiego MSZ: Joe Biden decyduje ponad naszymi głowami

FOT. BRENDAN SMIALOWSKI/AFP/EAST NEWS

Amerykański prezydent wybrał się w podróż do Europy. Tymczasem w rozmowie z „Rz" szef polskiej dyplomacji przyznał, że o tym, iż USA nie nałożą sankcji na Nord Stream 2, dowiedział się z mediów. – Sojusznicy amerykańscy nie znaleźli czasu na konsultacje z najbardziej narażonym na skutki tej decyzji regionem świata – mówi Zbigniew Rau, choć, jak zdradził, w styczniu podczas rozmowy z sekretarzem stanu Antonym Blinkenem usłyszał zapewnienie: „Nic nie zostanie zdecydowane o was bez was". Z powodu decyzji Białego Domu ubolewanie wyraził też premier Mateusz Morawiecki. Biden, odpuszczając sankcje w sprawie szkodliwego dla Polski i UE gazociągu, stara się o lepsze stosunki z Berlinem i z Moskwą. ©℗ ***(jap)***

CZYTAJ TAKŻE „NOWA POLITYKA ZAGRANICZNA" NA STR. 22

RPP: WYSOKA INFLACJA JEST PRZEJŚCIOWA

Po posiedzeniu 9 czerwca Rada Polityki Pieniężnej zgodnie z przewidywaniami analityków zdecydowała się pozostawić stopy procentowe na niezmienionym, rekordowo niskim poziomie. Nie należy więc oczekiwać zmian oprocentowania kredytów ani też liczyć na większe zarobki z bankowych lokat.

„Do wzrostu inflacji w maju przyczynił się przede wszystkim dalszy wzrost rocznej dynamiki cen paliw związany z wyraźnie wyższymi niż przed rokiem cenami ropy naftowej na rynkach światowych, a także wzrost cen żywności. Jednocześnie roczny wskaźnik inflacji był nadal podwyższany przez wzrost cen energii elektrycznej, który miał miejsce na początku br., oraz podwyżki opłat za wywóz śmieci, a więc czynniki, które – podobnie jak wzrost cen surowców – są niezależne od krajowej polityki pieniężnej" – wskazała w komunikacie RPP. Stopa referencyjna nadal wynosi zaledwie 0,10 proc. w skali rocznej. NBP będzie też nadal prowadził operacje zakupu papierów wartościowych na rynku wtórnym.

4,8 proc.

TYLE WEDŁUG GUS WYNOSI INFLACJA CEN KONSUMPCYJNYCH W POLSCE

Część członków RPP ze względu na wysoką inflację zwraca uwagę na potrzebę zmiany polityki pieniężnej. Podobne sygnały płyną z banków centralnych Czech oraz Węgier. ***(jap)*** ©℗

REKLAMA

Spółka Cedrob Cargo zakończyła realizację i wdrażanie Projektu „Zakup taboru i sprzętu celem uruchomienia przewozów intermodalnych przez CEDROB Cargo Sp. z o.o." nr POIS.03.02.00-00-0047/18 w ramach działania 3.2 Rozwój transportu morskiego, śródlądowych dróg wodnych i połączeń multimodalnych oś priorytetowa III Rozwój sieci drogowej TEN-T i transportu multimodalnego Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014 – 2020, na który otrzymała dofinansowanie w kwocie 11.472.101,78 zł.

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko
Rzeczpospolita Polska
cupt CENTRUM UNIJNYCH PROJEKTÓW TRANSPORTOWYCH
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

www.mapadotacji.gov.pl

eprasa.pl 76b884c402

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

„Były" i „była"

Platforma Obywatelska przypomina porzuconą żonę, która nie może zapomnieć „byłego" i gotowa jest spełnić każdą jego fanaberię, byle tylko wrócił. Tym kuszonym i błaganym „byłym" jest oczywiście Donald Tusk. Właściwie wszystkie nadzieje Platformy, by jeszcze kiedykolwiek znowu cokolwiek znaczyć, wrócić na salony, żyć na dawnej stopie, oparte są na wierze w powrót Tuska. Do tego stopnia, że sfiksowana „była" uparcie wypiera to, co dla wszystkich innych jest oczywiste: że jej „były" ją porzucił. Nie, ona wierzy, że po prostu wyjechał, wiedziony poczuciem obowiązku. Ale wciąż ją kocha i niebawem wróci. A jak wróci, to wszystko się zmieni, wszystko znowu będzie tak, jak było.

To dobra fabuła dla Heleny Mniszkówny albo może nawet Jane Austen, ale politycznie, mówiąc w modern Polish, totalny crinch. Donald Tusk wykorzystał PO cynicznie, była mu potrzebna tylko po to, by się katapultować na stanowisko szefa Komisji Europejskiej (ostatecznie zahaczył się nieco niżej, ale też nieźle). Dostał od niej, co chciał, i powiedział uprzejmie: „Dalej radź sobie sama". Że sobie nie poradziła, „stoczyła się", mówiąc językiem wspomnianych powieściopisarek, to już nie jego problem. Może jej dopomóc rzuconym od czasu do czasu tweetem, jakimś gestem, wyrazami poparcia. Ale wracać? Tym bardziej że, delikatnie mówiąc, przez lata rozstania mocno straciła na atrakcyjności?

Do powieści Mniszkówny czy Austen pasuje jeszcze jedno: skomplikowane uczucia wzajemne obojga „byłych" oceniane są przez „towarzystwo", z którym Tusk musi się liczyć. Nie może otwarcie posłać PO w diabły, bo na to, że wróci i przywróci Polsce poddańczą potulność, liczą jego unijni protektorzy. Kręci więc, mówi, że „wszystko by zrobił, ale…". Ale z tym marszałkiem Senatu to nie. To nic, upiera się Platforma, kandyduj na prezydenta! Kochany, wrócisz, będziesz prezydentem i my razem… A Tusk zgrzyta zębami, ale wie, że ciotka Angela na niego patrzy, więc sili się na uśmiech: „Myślę o tym, kochana. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc". I Platforma wierzy…

Mnie „romanse z wyższych sfer" zawsze nudziły. Ale media to kochają. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Terlecki i Hallstein

Założenie doktrynalne, na podstawie którego wicemarszałek Terlecki wysłał Swiatłanę Cichanouską do Moskwy, nie jest nowe ani oryginalne. To twórcza adaptacja starej doktryny Hallsteina, jednego z najbliższych współpracowników kanclerza Adenauera, potem pierwszego przewodniczącego Komisji Europejskiej. Doktryna ta zakładała, że Niemcy nie utrzymują stosunków dyplomatycznych z państwami uznającymi NRD. Walter Hallstein był prywatnie profesorem prawa i jego doktryna była teoretycznym konstruktem w praktyce niestosowanym, ale użytecznym dla podkreślania statusu Republiki Federalnej jako jedynego autentycznego państwa niemieckiego. Miejmy nadzieję, że również wicemarszałek Terlecki utrzyma swą doktrynę w granicach teorii i nie rozszerzy jej na przykład na Stany Zjednoczone, odmawiając kontaktów z tymi członkami władz USA, którzy utrzymują relacje z politykami polskiej opozycji.

A jeśli chodzi o opozycję białoruską – to nie trzeba jej bronić przed PO, bo dziś ta partia sama siebie musi bronić przed myślowym i organizacyjnym chaosem. Trzeba natomiast białoruskiej opozycji bronić przed Sorosem oraz wypaczeniem narodowych i demokratycznych dążeń. Na Białorusi trzeba bronić języka, którego sprawa (mimo że Białoruś zakwitła narodowymi sztandarami) wcale nie czyni postępów. I trzeba wspierać rozwój opinii chrześcijańskiej, bez której nie sposób prowadzić polityki „ani Putin, ani Soros", bardziej aktualnej niż kiedykolwiek. PiS mógłby się zająć tym wszystkim, gdyby żył w realnym świecie, a nie uważał, że jego wyborcze rozgrywki stanowią najważniejszą oś globalnej polityki.

No i na koniec jest sprawa wicemarszałka. Opozycja po raz kolejny oddaje przysługę PiS. Jej wniosek to świetna okazja, żeby wycofać sprzed kamer polityka, który od długiego czasu stał się symbolem politycznego cynizmu. Jego ustąpienie stanowiłoby piękny dowód, że hasła o „rozmowie z ludźmi" to wcale nie puste słowa. ©℗

eprasa.pl 76b884c402

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O tańcach na grobie

Ze zdjęcia uśmiecha się ciepło chłopak z futbolówką w ręku. Chciałoby się odpowiedzieć na uśmiech i zagrać z nim w piłkę. To już niestety niemożliwe. 20-letni Seid Visin popełnił samobójstwo. Pochodził z Etiopii. Gdy miał kilka lat, zaadoptowali go państwo Visin z Nocera Inferiore. Miał futbolowy talent. Do szkółki AC Milan uczęszczał z reprezentacyjnym bramkarzem Italii Gigiem Donnarummą. Coś jednak poszło nie tak.

Włoscy postępowcy natychmiast, bez żadnych przesłanek, podnieśli alarm, że chłopiec padł ofiarą rasizmu. Przybrany ojciec wyjaśnił, że to nieprawda, bo Seid był powszechnie lubiany, nazywany „słonecznym chłopcem", a podczas ceremonii pogrzebowej opłakiwały go setki rówieśników. Prosił media i polityków, by nie wykorzystywali tej tragedii do swoich ideologicznych i politycznych celów.

Na próżno. Wciągnięty na sztandary postępowców jako ofiara rasizmu już tam pozostał. Niezawodny w takich przypadkach pisarz Roberto Saviano („Gomorra") oświadczył, że Said padł ofiarą rasistowskiej propagandy szefów prawicowych partii, Matteo Salviniego i Giorgii Meloni. Beppe Severgnini, znany superpostępowy publicysta („Corriere della Sera"), napisał: „Seid, skóra czarna. Ta śmierć jest oskarżeniem. To palący policzek wymierzony naszemu społeczeństwu". Szef lewicowej Partii Demokratycznej, były premier Enrico Letta, przeprosił w imieniu narodu. Lewicowa „La Repubblica" przekonywała na dwóch bitych stronach, że powodem dramatycznego gestu chłopca był rasizm. „La Stampa" posunęła się jeszcze dalej, cytując z rzekomego pożegnalnego listu Seida słowa: „Jestem czarny i każą mi się tego wstydzić".

To zapewne piorunująca, obrzydliwa mieszanka zideologizowania, które odbiera rozum i pozbawia wszelkich hamulców moralnych, z cynizmem i podłością. A po drugiej stronie Alp nadający na tej samej długości fal kretyni francuscy oskarżyli włoski związek futbolowy o rasizm, bo wszyscy gracze reprezentujący Italię na mistrzostwach Europy są biali. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Kocham cię, kochanie moje

A tak mi się skojarzył ten Maanam, ten wielki ponadczasowy przebój Kory o miłości prawdziwej, słodkiej i wiecznej. Proszę mi wybaczyć, bo ja strasznie fałszuję, ale leci to mniej więcej tak: „Kocham cię, kochanie moje / To tęsknota nieskończona / Kocham cię, kochanie moje / To rozstania i powroty/ I nagle dzwony dzwonią / I ciało mi płonie / Kocham cię". Piękne. Oczywiście chodzi o rozpalone cielsko Twittera, który w ten sposób zareagował na plotki na temat powrotu Donalda Tuska do polskiej polityki. Wydaje się, że napięcie stopniował prof. Wojciech Sadurski, który na TT zamieścił następujący wpis: „Szukamy gorączkowo charyzmatycznego przywódcy po naszej stronie. Rafał to mocny atut – ale czy as, który przebije łobuzerkę? Nadal kołacze się we mnie wiara w człowieka, który łączy wielki intelekt, piękny życiorys i ten arcypolski rys żołnierski. Taki powrót z Gibraltaru". Oczywiście otoczenie Rafała Trzaskowskiego żachnęło się, że ale jak? Że jak można tak nie wierzyć w Rafała, że przebije tę łobuzerkę? Akcent wpisu jest jednak postawiony w innym miejscu. Tu jest miejsce na Donalda Tuska. I wtedy zaczęły się pytania najważniejsze, czyli o pieniądze, które zarobił Tusk w Brukseli. W Polsce tak już jest, że jeśli ktoś nie ma pieniędzy, to wstyd, bo pewnie nieudacznik i leń, a jeśli ma pieniądze, to wstyd, bo pewnie kombinator, a kto wie, czy nie złodziej. Tak czy inaczej, czy pieniądze masz, czy nie masz, jesteś podejrzany. Pytanie na TT o Tuskowe pieniądze zadał Piotr Wawrzyk, wiceminister MSZ: „Ciekawe, czy ktoś obliczył, ile Donald Tusk zarobił najpierw jako przewodniczący Rady Europejskiej, a teraz Europejskiej Partii Ludowej?". W sukurs Wawrzykowi przyszedł portal tvp.info.pl, który podał, że Tusk od 2014 r., czyli od opuszczenia Polski, zarobił ok. 7 mln zł, a poza tym zapracował na emeryturę 30 tys. zł co miesiąc.

Zaczęli niechętni Donaldowi internauci wspominać, że Polskę opuścił, mówiąc, że nie opuści, że nie powrócił, kiedy o fotel prezydenta z Dudą Andrzejem należało we szranki stanąć, i że to w ogóle zgrana karta. Może i zgrana, ale gra się kartami, jakie są. Być może będzie więc musiał Tusk Donald wrócić, by walczyć o lepszą Polskę z Polakami, którzy walczyli z nim o lepszą Polskę, bo wszyscy Polacy walczą zawsze o lepszą Polskę i prawie zawsze walczą o nią z Polakami. Tak już jest. Te rozstania i powroty, la la la. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

eprasa.pl 76b884c402

FOT. PAWEŁ GROMADA

MODA NA BRZYDOTĘ

Ten tydzień w Internetach zdecydowanie wygrała Agnieszka Kaczorowska, szerszej publiczności znana raczej jako Bożenka z „Klanu". Otóż celebrytka poskarżyła się światu, że nie lubi brzydoty. I jako wielka estetka nie rozumie, jak niektóre kobiety mogą sobie pozwalać na wrzucanie niepięknych zdjęć do Internetu. Przecież to skandaliczne zachowanie. – Moda na brzydotę. Jestem estetką. To prawda. Myślę, że głównie taniec to we mnie ukształtował. Lubię piękno kryjące się pod wieloma aspektami. O pięknie można byłoby rozmawiać długo, bo to pojęcie względne... Natomiast obserwuję obecnie modę na brzydotę. Trochę wydaje mi się, że wynika z chęci przeciwstawienia się instagramowemu pięknu, które narzuciło pewne standardy, a z drugiej ze zbyt skrajnego pojmowania takich haseł jak „body positive" – stwierdziła Agnieszka. – Po co na siłę robić z siebie „taką zwyczajną", zamiast „wyjątkową i niepowtarzalną"? Po co być „zmęczoną" i w tym taką „prawdziwą", jak można koncentrować się na swojej sile? Po co eksponować swoje wady, mówiąc o „dystansie", jak można po prostu je akceptować, żyć sobie z nimi spokojnie, a budować markę osobistą opartą na superlatywach? – pyta celebrytka. Dziwne, że tak bardzo przeszkadza jej moda na brzydotę, a moda na głupotę już nie. Ale trudno wymagać, by na siebie najeżdżała.

CZEKAMY NA AKCJĘ

Zapomniana nieco piosenkarka Paulla postanowiła o sobie przypomnieć. Wykorzystała do tego występ Edzi Górniak na koncercie upamiętniającym zmarłego niedawno Krzysztofa Krawczyka. Paulla stwierdziła, że występ Górniak nie przypadł jej do gustu. – Tym razem mi się nie podobała. Ja zawsze mówię to, co myślę. Trudno jej odmówić talentu, pięknie wyglądała i ma piękny głos, natomiast akurat ta interpretacja nie przypadła mi do gustu. Każdy artysta ma prawo do własnej interpretacji piosenki. Jednemu się podoba, drugiemu nie. [...] Jak dla mnie to to wykonanie było trochę przekombinowane – wyznała w rozmowie z serwisem Jastrząb Post. Oczywiście Edzia nie mogła pozostawić tego bez odpowiedzi. – Trzeba było osobiście znać Krzysztofa lub trzeba mieć inną skalę wrażliwości dla drugiego człowieka, Paulinko, żeby rozumieć, że był to Muzyczny Pogrzeb Krzysztofa Krawczyka i pożegnanie się z Nim, a nie impreza komercyjna. Smutku i żałoby się nie ocenia. Nigdy. Mimo oczywistych skojarzeń nie były to „występy na festiwalu w Opolu". Pokój Tobie – odpowiedziała Edyta, nie wchodząc w szczegóły. Idziemy po popcorn i cierpliwie czekamy na odpowiedź Paulli. A potem Edzi...

PRACA Z LEŻAKA

Małgorzata Rozenek-Majdan pojechała na wakacje do Meksyku, ale – uwaga! – zamiast odpoczywać, ciągle tam pracuje. A przynajmniej tak twierdzi. Nie wiadomo, czy naprawdę czy to po prostu nowa moda, zapoczątkowana przez Kingę Rusin, ale i tak jest całkiem zabawnie. – Trzymam rękę na pulsie, z leżaka prowadzę firmę, bo to, że jest tu pięknie i przez dwa dni w tygodniu (tak jak w domu) odpoczywamy, to nie oznacza, że przez pozostałe pięć nie pracujemy – relacjonuje Małgorzata. – Dlatego też tak mało tu zdjęć pięknych plaż (chociaż tu też winne są glony) czy superknajp. Trochę nie mamy na to wszystko czasu, ale najważniejsza lekcja z tego zwariowanego roku jest taka, że coraz częściej można pracować z każdego miejsca na Ziemi – pisze celebrytka, a jako dowód dołącza serię fotek, jak ciężko pracuje, siedząc z tabletem na leżaku. Bo żadna praca nie hańbi. Ta z leżaka też.

DYSONANS POZNAWCZY

Jurek Owsiak pochwalił stanowisko zespołu Kult, który to oświadczył, że nie będzie grał koncertów tylko dla zaszczepionych. „Brawo Kult! Koncerty – te najpiękniejsze – powinny być realizowane w duchu wzajemnej przyjemności i otwartości! [...] Słusznie się Kult wkurza na zasady, które na takie koncerty pozwalają – według nas wystarczyłyby szybkie testy na koronawirusa. [...] bez picu piszę teraz BRAWO KULT! Może Wasz apel wpłynie na system i coś jeszcze w sprawie się dobrego wydarzy, i coś odpuści! [...]" – napisał Jurek Owsiak. Po czym okazało się, że on sam organizuje w tym roku swój festiwal Pol'and'Rock zgodnie z wytycznymi, czyli tylko dla zaszczepionych. Jeśli to nie jest dysonans poznawczy, to nie wiemy już, co nim jest. Owsiak tłumaczy się tym, że to ludzie tak chcieli. „Zadaliśmy pytanie naszej publiczności – czy koncert dla wszystkich bez żadnych warunków, czyli festiwal dla 250 osób, czy festiwal dla 20 tys. gości z obowiązującymi zasadami typu szczepienia? W głosowaniu na naszych stronach w mediach społecznościowych ogromna większość wybrała opcję drugą [...]. Zasada organizowania koncertów dla ludzi zaszczepionych otworzyła nam furtkę" – relacjonuje Owsiak. Po raz kolejny przekonujemy się, że wywodów niektórych osób nie powinno się komentować, bo tak bardzo komentują się same, że aż szkoda psuć efekt. ©℗

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 76b884c402

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, rozpoczęły się mistrzostwa Europy w piłce nożnej, które są dla nas bardzo cennym obiektem obserwacji. Otósh wnikliwie przyglądamy się, którzy piłkarze będą przed meczami klękać w ramach poparcia dla wiadomego ruchu, a którzy nie.

Dla nas jest to oczywiście test na społeczną wrażliwość i świadomość piłkarzy i krajów, które reprezentują.

Wiadomo już, iż nie ma narzędzi, które zmuszałyby do klękania, można byłoby jednak pomyśleć o pewnego rodzaju przywilejach dla klękających.

Przykładowo klękający piłkarze nie byliby wliczani do limitu 11 zawodników w jednej drużynie, drużyna, w której uklęknie największa liczba piłkarzy, otrzyma talon na wóz strażacki, a wśród wszystkich klękających rozlosowano by pobyt w jednym ze znacjonalizowanych po lockdownie hoteli.

Of kors klękający otrzymaliby również stosowny certyfikat, którego okazanie skutkowałoby możliwością gry w każdym meczu organizowanym przez UEFA oraz możliwość swobodnego przemieszczania się pomiędzy stadionami.

Natknęliśmy się na wiadomość, iż za kilkanaście lat ma zostać zamknięta Elektrownia Bełchatów, a w związku z tym w tym kraju może zabraknąć prądu.

Cóż, wygląda na to, iż może czekać nas zwrot ku naturze, iż będzie trzeba zrezygnować z wielu przedmiotów codziennego użytku, do których się nadmiernie przyzwyczailiśmy.

Na przykład takie prasowanie – to efekt wyłącznie XIX-wiecznego myślenia, wedle którego ubranie nie może być pomięte. Co by się stało, gdyby nowoczesny człowiek odrzucił żelazka?

Albo pranie? Przecież takie konstrukty jak „zapach" czy „czystość" są wyłącznie wynikiem norm obowiązujących w danym czasie na danym terenie. Nic nie stoi na przeszkodzie, iżby ubrania wietrzyć, pozostawiając je tym samym w zgodzie z naturą.

Mamy tylko nadzieję, iż do tej pory ktoś coś wymyśli, iżby prąd nie był potrzebny do Internetu. Bo zmięci chodzić możemy, ale bez fejsbunia to się przecież nie da żyć, sami wiecie. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Haftowanie makaty

Donald, powiedz, tak szczerze, prywatnie mi powiedz, nikomu nie powtórzę: wrócisz, prawda?
Ewcia, ja niczego przed wami nie ukrywam. Wiesz przecież, że przychylę wam nieba. Wiesz, że Platforma to mój dom.

Wiem, wiem... Ale powiedz: kiedy? Borys był najpierw załamany, teraz się pogodził. Nawet więcej: on w ukryciu maluje twój portret na twój powrót.
Borys? No proszę...

Grzesiek płakał całą noc, jak się dowiedział, ale z radości, nie z rozpaczy. On już do ciebie nie ma żalu, gałę nową kupił i nie może się doczekać.
Coś takiego!

Ci młodsi tam coś pokrzykują od czasu do czasu, jak to młodzi, ale poradzimy sobie z nimi. Tylko powiedz, kiedy wracasz, bo ja haftuję makatę.
Co robisz?

Makatę haftuję i muszę wiedzieć, ile mam czasu. Cztery na pięć metrów, duża sprawa. Ty na tle zachodzącego słońca, jak na westernie, tylko że nie odchodzisz, ale wracasz.
A nikt nie kupił pudełka cygar?
©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„W wojnie o Rzeszów PiS ruszył na Szczecin, by w finale zaatakować białoruską opozycję".

DONALD TUSK, *były premier, były szef Rady Europejskiej, na Twitterze*

eprasa.pl 76b884c402

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Ludziska wciąż się ekscytują, kto zostanie nowym Rzecznikiem Praw Obywatelskich. My już się nie ekscytujemy, bo słyszeliśmy z Nowogrodzkiej, że to nie ma znaczenia. W sensie, że raczej nikt nie zostanie. No i przyjdzie czas namiestnika. Wszystkim zającom płci obojga, które brały udział w przedbiegach, dziękujemy.

Po co w takim razie teraz cała chryja wokół kandydata opozycji popartego przez Gowina oraz dramatyczne darcie szat? W skrócie – chodzi o to, by Gowin zrozumiał, że także wespół z Eine Totalopposition może tyle, co martwa mrówka. Cóż, rok szkolny się kończy, ale surowy profesor Jarosław Kaczyński wciąż udziela lekcji uczniom, którzy nie nadążają.

Witamy nowy człon Zjednoczonej Prawicy, czy Partię Republikańską dowodzoną przez Adama Bielana. Kolejną, bo – przypomnijmy – kiedyś Republikanów zakładał Przemek Wipler, o którym dziś nie pamięta już nawet facet, który przychodzi z gazowni sprawdzać liczniki. Starą Partię Republikańską wyrejestrowano trzy lata temu, więc można zarejestrować nową.

W związku z powyższym trwają spekulacje, ilu posłów oprócz Gowina zostanie w tzw. starym Porozumieniu. Wiewiórki sejmowe ćwierkają, że nie więcej niż czterech. Wahają się tylko, czy wliczając Gowina, czy nie wliczając Gowina.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Powrót Złego Donalda, część 2354. Znajome wiewiórki ćwierkają, że akcja „Tusk w Senacie, w majestacie" jest mało prawdopodobna. Tak się bowiem składa, że wspierający opozycję kompleks medialno-biznesowy woli już Szymona. No i sam Szymon woli Szymona. W związku z tym, gdyby Tusk chciał kandydować do Senatu na miejsce po kimkolwiek, to Hołownia przeciw niemu wystartuje. A Donald gra tylko w te gry, w których jest pewien wygranej.

Natomiast prawdą jest, że Zły Donald ma za granicą kłopoty, więc coraz częściej myśli o polskiej polityce. Wszystko dlatego, że w obecnej robocie niezbyt go chwalą. Już jako przewodniczący Rady Europejskiej nie zasłynął z pracowitości, a przecież chodziło tylko o to, żeby raz na jakiś czas odebrać polecenie służbowe od kanclerz Angeli. Jednak funkcja szefa Europejskiej Partii Ludowej wymaga nieco większej aktywności. A Donald jak nie lubił się przemęczać, tak nie lubi. W związku z tym rozczarowanie rośnie. No i Angela też idzie na emeryturę.

Problem polega jednak na tym, że w PeŁo liczba osób, które chciałyby rozwinąć czerwony dywan przed białym koniem, na którym będzie wracał Tusk, jest dość ograniczona. Za to w innej partii chętnie by Tuska przytulono. Choć nie w charakterze lidera, lecz europejskiej maskotki. Tak, zgadliście. Nazwa tej partii to Peezel.

Inna sprawa, że PeŁo naprawdę chętnie zmieniłaby lidera. Ale na kogo? Jak nam tłumaczyła pewna platformerska wiewiórka, kłopot w tym, że każdy z potencjalnych nowych liderów ma więcej wrogów niż przyjaciół. Nawet Rafcio Trzaskowski vel Czajkowski vel Campus Polen Der Zukunft. Jemu akurat wróżymy raczej europejską karierę. Podobnie jak Zły Donald nie lubi się przemęczać. A w ratuszu warszawskim to już zupełny koszmar – nawet nie ma do kogo gęby po francusku otworzyć. Czas nauczyć się niemieckiego.

Z życia Polski lokalnej. W ubiegłym tygodniu w Radomsku gruchnęła wieść, że zostanie poszerzony skład tamtejszej rady powiatu. Według ploteczek zarząd miał być powiększony o ulubieńca naszego i Antoniego Macierewicza, czyli Bartłomieja Misiewicza. Ostatecznie do tego nie doszło. Podobno dlatego, że wieść gruchnęła zbyt wcześnie.

À propos ulubieńców Antoniego Macierewicza. Pamiętacie płk. Krzysztofa Gaja? Kiedyś „Wyborcza" wymusiła jego dymisję, rozgłaszając, że to ruski szpieg. Teraz ta sama „Wyborcza" twierdzi, że ruskie szpiegi włamały się na e-maila ministra Dworczyka, żeby poznać jego korespondencję z tym samym Gajem. Czyli ruskie szpiegi hakują polskiego ministra, żeby dowiedzieć się, co wie inny ruski szpieg? „Wyborczej" gratulujemy logiki. Nie pierwszy raz.

Powrót Ryśka, część 2. Weteran wypraw na Maderę, były lider Nowoczesnej Kropki, zakłada think tank, co samo w sobie jest zabawne, gdyż wymaga wymieniania w jednym zdaniu słów „think" oraz „Petru". Instytut Myśli Liberalnej będzie się zajmował mniej więcej tym, czym zajmuje się już think tank Leszka Balcerowicza, czyli FOR. Historia jednak powtarza się jako farsa.

Jak informują Rysiek oraz jego akolici zakładający Instytut Myśli Liberalnej, chcą przypomnieć, że „aby wydać pieniądze, trzeba je najpierw zarobić". Przypominamy zatem, jak wedle Ryśka należy pieniądze zarabiać. 1) Założyć partię. 2) Wziąć kredyt w zaprzyjaźnionym banku. 3) Nie spłacić. Proste? Proste! Precz z banksterami, niech żyje prawdziwy liberalizm!

Przy okazji Rysiek poinformował, że chce ocalić Polskę przed „pełzającym po Polsce widmem komunizmu". Co za pech, znowu nie ta metafora, co trzeba! Panie Ryśku kochany, w „Manifeście komunistycznym" to szło inaczej: „Widmo krąży po Europie – widmo komunizmu". Pełzająca może być najwyżej kontrrewolucja. Inna sprawa, że w sprawie komunizmu najlepiej dyskutować z dawną gwiazdą Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR. Rysiek zna tę gwiazdę. To Leszek Balcerowicz. ©℗

eprasa.pl 76b884c402

Zbadaj się za darmo z PZU. To może uratować ci życie

Wiele chorób, wykrytych na wczesnym etapie, daje się całkowicie wyleczyć. Dlatego właśnie profilaktyka i regularne badania są tak istotne dla każdego z nas. Teraz jest okazja, żeby się przebadać bez skierowania i bezpłatnie. W ramach pilotażowej akcji organizowanej przez PZU można wykonać EKG, zmierzyć poziom cukru, cholesterolu i ciśnienia krwi oraz wykonać spirometrię i USG płuc, a następnie skonsultować wyniki z lekarzem specjalistą.

Kolejne fale pandemii skutecznie utrudniały pacjentom dostęp do badań i stacjonarnych wizyt u lekarzy, skoncentrowanych przede wszystkim na walce z COVID-19. Dlatego dziś, gdy pandemia słabnie, Grupa PZU, od samego od początku wspierająca Polaków w walce z koronawirusem, ruszyła z pilotażową akcją badań profilaktycznych. Kto i gdzie może z nich skorzystać?

DROGA DO ZDROWIA Z PZU

– Po roku trwania pandemii warto się przebadać. W trosce o bezpieczeństwo i zdrowie Polaków w ramach akcji „Droga do Zdrowia z PZU" chcemy zapewnić dostęp do badań i porad medycznych. Na początek z naszymi mobilnymi strefami zdrowia przyjedziemy do pięciu miast we wschodniej Polsce. Serdecznie zapraszamy okolicznych mieszkańców do skorzystania z darmowych konsultacji – mówi dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, prezes PZU.

W dwóch mobilnych strefach zdrowia PZU na pacjentów czeka siedem gabinetów. Można wykonać w nich badania, takie jak EKG, pomiar poziomu cukru, cholesterolu i ciśnienia krwi, a także spirometrię i USG płuc. Wyniki ocenia specjalista chorób wewnętrznych, a w przypadku spirometrii i USG – pulmonolog. Na miejscu jest też dermatolog, który bada zmiany skórne przy użyciu dermatoskopu. Po ponad roku pandemii koronawirusa i zmniejszonej aktywności fizycznej warto również skorzystać z analizy składu ciała oraz porady dietetyka. Strefy zdrowia są otwarte w godz. 9–19. Nie są potrzebne wcześniejsze zapisy, każdy, kto odwiedza mobilną strefę zdrowia PZU, może bezpłatnie skorzystać z diagnostyki oraz konsultacji lekarskiej.

O KROK OD ZAWAŁU

Z badań mogli już skorzystać mieszkańcy Zamościa, Rzeszowa i Stalowej Woli. I wygląda na to, że akcja PZU cieszy się ogromną popularnością. Tylko podczas pierwszego weekendu w Zamościu i Rzeszowie przebadanych zostało prawie tysiąc osób. To jednak nie wszystko!

Podczas „Drogi do Zdrowia z PZU" w Rzeszowie u jednego pacjentów badania wykazały objawy migotania przedsionków. Natychmiast wezwano ambulans i przewieziono badanego do szpitala. Dzięki szybkiej interwencji lekarza z PZU nie doszło do zawału. To najlepszy dowód na to, jak ważna jest profilaktyka!

Dlatego warto wziąć sprawy w swoje ręce, zadbać o swoje zdrowie i skorzystać z bezpłatnych badań, które organizuje PZU. W kolejnych tygodniach mobilne strefy zdrowia będzie można odwiedzić w Hrubieszowie (19 czerwca), Świdniku (20 czerwca przy placu Konstytucji 3 maja) i Lublinie (26 i 27 czerwca przy Urzędzie Marszałkowskim).

PZU NA FRONCIE WALKI Z PANDEMIĄ

Trzeba podkreślić, że Grupa PZU od samego początku aktywnie włączyła się w walkę z pandemią koronawirusa. Na wsparcie finansowe i sprzętowe dla szpitali i służb walczących z COVID-19 przeznaczyła ponad 25 mln zł. Dzięki zaangażowaniu pracowników Grupy PZU obsługiwane są specjalne infolinie, m.in. dla chorych na COVID-19, seniorów, a także dla osób szczepiących się. W realizacji Narodowego Programu Szczepień uczestniczy też 30 placówek medycznych ubezpieczyciela, a niedawno utworzył on także pierwszy w Warszawie punkt szczepień typu drive-thru.

Autor: Anna Wójcik

eprasa.pl 76b884c402

GRUPA A

TURCJA
WŁOCHY
WALIA
SZWAJCARIA

- **11.06, g. 21** TURCJA–WŁOCHY
- **12.06, g. 15** WALIA–SZWAJCARIA
- **16.06, g. 18** TURCJA–WALIA
- **16.06, g. 21** WŁOCHY–SZWAJCARIA
- **20.06, g. 18** WŁOCHY–WALIA
- **20.06, g. 18** SZWAJCARIA–TURCJA

GRUPA B

BELGIA
DANIA
FINLANDIA
ROSJA

- **12.06, g. 18** DANIA–FINLANDIA
- **12.06, g. 21** BELGIA–ROSJA
- **16.06, g. 15** FINLANDIA–ROSJA
- **17.06, g. 18** DANIA–BELGIA
- **21.06, g. 21** FINLANDIA–BELGIA
- **21.06, g. 21** ROSJA–DANIA

GRUPA C

AUSTRIA
HOLANDIA
UKRAINA
MACEDONIA PŁN.

- **13.06, g. 18** AUSTRIA–MACEDONIA PŁN.
- **13.06, g. 21** HOLANDIA–UKRAINA
- **17.06, g. 15** UKRAINA–MACEDONIA PŁN.
- **17.06, g. 21** HOLANDIA–AUSTRIA
- **21.06, g. 18** MACEDONIA PŁN.–HOLANDIA
- **21.06, g. 18** UKRAINA–AUSTRIA

FOT. PIOTR DZIURMAN/REPORTER

EURO 2020 RUSZYŁO W 2021 R.

Tuż po zamknięciu tego wydnia „Do Rzeczy" rozpoczęły się mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Rozgrywki Euro 2020 przez pandemię opóźniły się o rok, ale postanowiono utrzymać tę nazwę. Mecze rozgrywane będą w 11 miastach w 10 krajach.

Biało-Czerwoni grają w tych mistrzostwach w grupie E ze Słowakami, Szwedami i Hiszpanami.

Reprezentacja Polski z trenerem Paulo Sosą zagra w składzie: Wojciech Szczęsny, Łukasz Fabiański, Łukasz Skorupski, Kamil Glik, Maciej Rybus, Bartosz Bereszyński, Jan Bednarek, Tomasz Kędziora, Paweł Dawidowicz, Michał Helik, Kamil Piątkowski, Tymoteusz Puchacz, Grzegorz Krychowiak, Piotr Zieliński, Mateusz Klich, Karol Linetty, Kamil Jóźwiak, Przemysław Frankowski, Jakub Moder, Przemysław Płacheta, Kacper Kozłowski, Robert Lewandowski, Dawid Kownacki, Jakub Świerczok, Karol Świderski.

(luz) © ℗

eprasa.pl 76b884c402

GRUPA D

CHORWACJA
CZECHY
ANGLIA
SZKOCJA

- **13.06, g. 15** ANGLIA–CHORWACJA
- **14.06, g. 15** SZKOCJA–CZECHY
- **18.06, g. 18** CHORWACJA–CZECHY
- **18.06, g. 21** ANGLIA–SZKOCJA
- **22.06, g. 21** CZECHY–ANGLIA
- **22.06, g. 21** CHORWACJA–SZKOCJA

GRUPA E

POLSKA
HISZPANIA
SZWECJA
SŁOWACJA

- **14.06, g. 18** **POLSKA**–SŁOWACJA
- **14.06, g. 21** HISZPANIA–SZWECJA
- **18.06, g. 15** SZWECJA–SŁOWACJA
- **19.06, g. 21** HISZPANIA–**POLSKA**
- **23.06, g. 18** SŁOWACJA–HISZPANIA
- **23.06, g. 18** SZWECJA–**POLSKA**

GRUPA F

FRANCJA
NIEMCY
PORTUGALIA
WĘGRY

- **15.06, g. 18** WĘGRY–PORTUGALIA
- **15.06, g. 21** NIEMCY–FRANCJA
- **19.06, g. 15** WĘGRY–FRANCJA
- **19.06, g. 18** PORTUGALIA–NIEMCY
- **23.06, g. 21** NIEMCY–WĘGRY
- **23.06, g. 21** PORTUGALIA–FRANCJA

eprasa.pl 76b884c402

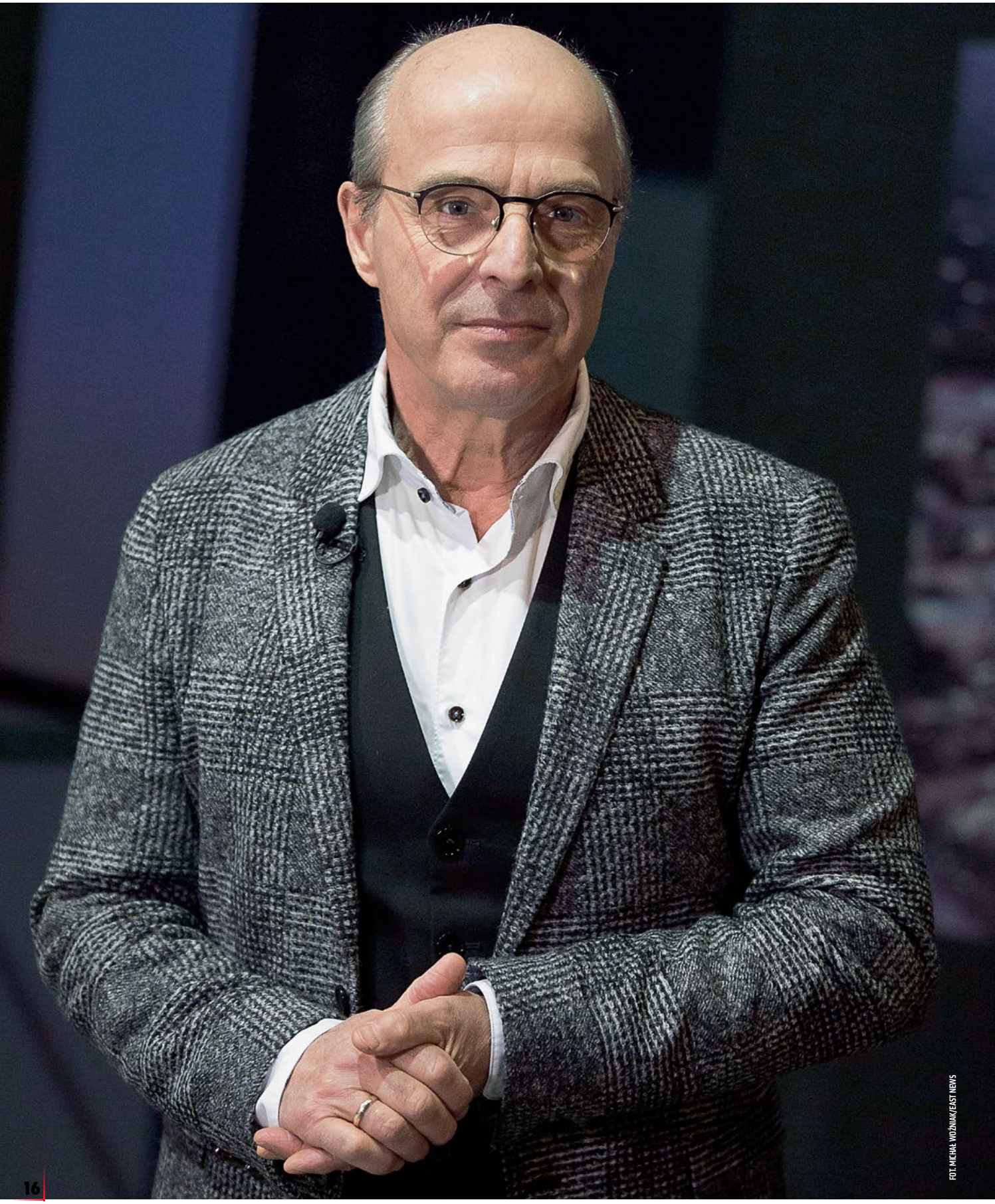

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl 76b884c402

Z Janem Pospieszalskim, publicystą, muzykiem oraz twórcą programów radiowych i telewizyjnych
rozmawia Paweł Zdziarski

Obawy o ograniczanie naszej suwerenności są zasadne

PAWEŁ ZDZIARSKI: Przedstawia się pan jako „dziennikarz TVP na przymusowej kwarantannie". Czym obecnie zajmuje się Jan Pospieszalski?

JAN POSPIESZALSKI: Wbrew pozorom wcale nie przybyło mi wolnego czasu. Po pierwsze, kontynuujemy prace nad filmem o słudze Bożym Franciszku Blachnickim. Właśnie wróciliśmy z Rzeszowa. W filmie bowiem chcemy umieścić fragment wielkiego koncertu „Jednego Serca, Jednego Ducha". To niezwykłe muzyczne i duchowe wydarzenie organizowane jest od 18 lat przez wychowanków oazy, księży z diecezji rzeszowskiej, z udziałem Janka Budziaszka, mojego brata Marcina i środowiska skupionego wokół idei uwielbienia Pana Boga przez muzykę. Dokumentowaliśmy przygotowania do koncertu, filmując próby 200-osobowego zespołu wykonawców, a w Boże Ciało wieczorem – sam koncert.

Można też zauważyć pana wzmożoną działalność w mediach internetowych.

Po zdjęciu nas z anteny paradoksalnie zrobiło się wokół programu chyba bardziej głośno, niż gdy byliśmy w telewizji, nie wygasła bowiem aktywność naszej redakcji w mediach społecznościowych. Oczywiście trudno mi mówić o zasięgach i realnej grupie odbiorców, choć i to można zaobserwować po rosnącej liczbie obserwujących w mediach społecznościowych. Niektóre nasze materiały publikowane na profilu „Warto rozmawiać" mają więcej wyświetleń niż nasza sumaryczna oglądalność w TVP. Oznacza to, że wzrasta audytorium programu. To, czego, niestety, nie możemy publikować teraz w TVP, kontynuujemy, umieszczając w sieci. Na przykład towarzyszymy z kamerą lekarzom wzywanym na przesłuchania przez Naczelną Izbę Lekarską.

Jakie są efekty przeprowadzanych przez pana relacji z tych przesłuchań?

Przypomnę, że jesienią ubiegłego roku grupa naukowców i lekarzy podpisała apel do władz RP ze swoimi krytycznymi uwagami dotyczącymi polityki sanitarnej w naszym kraju. Chodziło głównie o zamknięcie placówek ochrony zdrowia, zdalne nauczanie, czyli zapędzenie dzieci przed komputery na osiem–dziewięć godzin dziennie, i program masowych szczepień warunkowo dopuszczonym preparatem, nad którym badania nie zostały ukończone.

List, który był ostrzeżeniem części środowiska medycznego wobec polityki zdrowotnej rządu, zamiast pobudzić do refleksji i sprowokować debatę, poskutkował działaniami, które można nazwać dyscyplinarnymi. Lekarze otrzymują wezwania na przesłuchania, a używany wobec nich język jest rodem z procedur postępowania karnego. Te działania w ocenie redakcji „Warto rozmawiać" są czymś kuriozalnym. Naszą powinnością jako dziennikarzy jest dokumentowanie tego, co się dzieje. Wzywa się lekarzy z całej Polski. Niektórzy muszą dotrzeć z Bydgoszczy, ze Zgorzelca czy z Poznania. Skoro oni mogą pofatygować się z różnych stron, to my również bierzemy kamerę i idziemy przed Naczelną Izbę Lekarską, i pytamy: Jak wyglądało przesłuchanie? Dlaczego zostali wezwani? Czy wskazano jakiś rodzaj ich przewinienia? Te rozmowy, choć dotyczą tej samej procedury, są interesujące, ponieważ każdy z lekarzy ma indywidualną historię, często imponujący dorobek i osobistą refleksję, choćby dotyczącą obecnej polityki sanitaryzmu. Dajemy im forum, by mogli ustosunkować się do tego, co ich spotyka, wyrazić zaniepokojenie czy sprzeciw. Mam przeczucie, że te nagrania, z których niektóre osiągają w sieci nawet 1,5 mln odsłon, stanowią dla przesłuchiwanych swoistą polisę ubezpieczeniową. Ludzie widzą, że coś takiego ma miejsce, udostępniają, komentują. Niestety, nasza kamera jest jedyną, która pojawia się pod Naczelną Izbą Lekarską.

Nie obawia się pan, że ta działalność może utrudnić powrót „Warto rozmawiać" do TVP?

eprasa.pl 76b884c402

A czego miałbym się obawiać? Robię tylko to, co jest powinnością dziennikarza. Próbujemy zrozumieć, dlaczego lekarze, wobec których nie sformułowano żadnego zarzutu, nie udowodniono im winy i nie wskazano szkodliwych działań, są przesłuchiwani i podlegają działaniom dyscyplinarnym Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej. Ta dziwna procedura, prawnie niejasna, zasługuje, by ją uwiecznić. Oczywiście media społecznościowe rządzą się swoją logiką, pojawia się cała masa różnych treści. Ludzie włączają się, dyskutują i wyrażają solidarność, uznanie i wsparcie. Często są to też bardzo ostre komentarze. Tam, gdzie przekraczane są dopuszczalne granice, próbujemy interweniować, starając się o higienę języka. Nie zawsze się to udaje, ale widzimy ogrom rozgoryczenia i zawodu. Bardzo często są to również zwolennicy dobrej zmiany, czyli elektorat Zjednoczonej Prawicy. W tych komentarzach często pojawia się poczucie zawiedzionych nadziei i frustracja. Zaznaczam, że nie jest to miła lektura, ale to obraz nastroju sporej części społeczeństwa. Analizę, na ile jest to reprezentatywne, zostawiam ekspertom.

Mówił pan o braku rzetelnej debaty na temat polityki zdrowotnej rządu. Pańskim zdaniem mamy do czynienia z cenzurą?

Też chciałbym zrozumieć, co się stało, że nastąpiła taka redukcja debaty publicznej. Nie chodzi mi o brutalne zdjęcie z anteny naszego programu. W logice politycznej to symptom utraty przez osoby odpowiedzialne instynktu samozachowawczego. Chciałbym być dobrze zrozumiany – nie jest to ocena podyktowana moją obecną sytuacją. Z ogromną troską patrzę na to, co dzieje się w kraju, nie z pozycji sfrustrowanego sympatyka prawicy i nie przemawia przeze mnie zawiedziona miłość. Jestem szczerze zaniepokojony stanem umysłów ludzi, którzy do takich decyzji doprowadzili. W porywie emocji można robić dziwne rzeczy – nie zawsze sensowne i słuszne. Ale utrzymywanie takiego kursu pokazuje, że kogoś rzeczywiście opuścił instynkt samozachowawczy.

Tłumienie debaty w najbardziej fundamentalnej społecznie kwestii, którą jest ludzkie życie i zdrowie, jest bardzo niebezpieczne. Polityka sanitaryzmu dotyka wszystkich obywateli: wkracza w sfery gospodarki, kultury, edukacji, życia religijnego. Ale najgroźniejsze

Tłumienie debaty w najbardziej fundamentalnej społecznie kwestii, którą jest ludzkie życie i zdrowie, jest bardzo niebezpieczne

i policzalne konsekwencje obserwujemy w ochronie zdrowia. To, co nazwano długiem zdrowotnym, skutkuje nadmiarowymi zgonami. Polska o tym mówi i w trosce o dobro publiczne nagły wzrost śmiertelności powinien być zbadany i analizowany. Z kolei do mediów, które mają stać na straży jawności i przejrzystości życia publicznego, należy obowiązek monitorowania i dyskutowania tych kwestii.

Posłanka PiS Joanna Lichocka zarzuciła panu jednostronność przekazu w programie „Warto rozmawiać". Słusznie?

Traktujemy cykl „Warto rozmawiać" jako pewną ciągłość. Były programy, w których występował tylko rzecznik Ministerstwa Zdrowia, oraz takie, w których stronę medyczną reprezentował jedynie prof. Włodzimierz Gut. W tej wyjątkowej sytuacji, gdzie dochodzi do przesłuchań lekarzy, uznaliśmy sprawę za niezwykle ważną i chcieliśmy ten odcinek poświęcić dyscyplinowanym medykom. Zaprosiliśmy lekarzy wzywanych przez Naczelną Izbę Lekarską, pełnomocnika jednego z nich i wydawcę raportu „Ochrona zdrowia w pandemii". Rzecznik NIL odrzucił zaproszenie, przysłał odpowiedź, której fragment cytowałem. W filmie „Robotnicy '80", gdzie kamera rejestrowała strajki w stoczni, nie słyszeliśmy wypowiedzi Jaruzelskiego i Urbana. Skoro więc dyscyplinowani lekarze byli do tej pory praktycznie pomijani w mediach, postanowiliśmy ich zaprosić, aby pełnym głosem powiedzieli, o co chodzi.

Co łączy te wszystkie osoby, które otrzymały wezwanie do Naczelnej Izby Lekarskiej?

Nie wszyscy przyjechali na przesłuchania, niektórzy odmówili, np. prof. Ryszard Rutkowski i dr Zbigniew Hałat. Ich również poprosiliśmy o komentarz. Przed NIL stawili się za to dr Paweł Basiukiewicz, dr Zbigniew Martyka i wielu innych. Wszystkie te osoby łączy przede wszystkim realizm w ocenie polityki Ministerstwa Zdrowia. Wielu zwraca uwagę na kompletnie bezrefleksyjne i medycznie nieuzasadnione kopiowanie rozwiązań narzucanych przez WHO i inne zagraniczne instytucje. Istotnie, trudno jest zrozumieć logikę wprowadzanych obostrzeń. Pierwszy z brzegu przykład, z ostatnich dni: masowe imprezy z udziałem kibiców mogą mieć miejsce, a procesje Bożego Ciała w wielu diecezjach zostały odwołane. Plenerowy chrześcijański koncert „Jednego Serca, Jednego Ducha" w Rzeszowie musiał się odbyć bez udziału publiczności, a w parkach tysiące ludzi spaceruje obok siebie, tworząc de facto zgromadzenia publiczne, i nikomu to nie przeszkadza. To wszystko dzieje się w 16. miesiącu od ogłoszenia pandemii, gdzie zdaniem wielu ekspertów większość z nas ma już nabytą odporność, i to nie tylko na podstawie preparatów zwanych szczepionkami, lecz także odporność naturalną, z przechorowania lub wytworzoną z tzw. kontaktu.

Czy to oznacza, że wiele rządów wprowadzających w swoich krajach często ostrzejsze restrykcje niż w Polsce po prostu się myli?

Obecna większość parlamentarna otrzymała tak duży mandat zaufania od wyborców, ponieważ w różnych kwestiach miała odwagę mówić zupełnie innym głosem niż rządy innych krajów, inaczej niż tzw. wszyscy. Stało się tak np. w przypadku przyjmowania muzułmańskich imigrantów z Afryki Północnej i z Azji, w kwestii aborcji, w kwestii związków jednopłciowych i całej inwazyjnej subkultury seksualności, która idzie jak walec z krajów Zachodu. W tych i innych sprawach Polska miała odwagę przeciwstawić się mainstreamowi i politycznej poprawności. Wielu naszych rodaków liczyło na podobną reakcję w momencie, gdy okazało się, że wirus pomimo realnego zagrożenia nie jest aż tak zjadliwy, i politykę restrykcji można było ograniczyć do grup ryzyka. Należało zrobić też szybkie badania nad lekami, w przypadku których obserwowano i zgłaszano skuteczność w leczeniu COVID-19. Tego jednak nie zrobiono. Dokręcono rygory, zamykano życie społeczne, doprowadzając do bankructwa ogromną liczbę przedsiębiorców, zrujnowano całe gałęzie gospodarki, zablokowano życie kulturalne, zapędzając nas przed ekrany i skazując artystów na półtoraroczny bezpłatny urlop. Jeśli się weźmie pod uwagę wszystkie efekty uboczne, to wiele tych decyzji z medycznego punktu widzenia bardzo trudno uzasadnić.

eprasa.pl 76b884c402

Od września w „Warto rozmawiać" mówiliśmy o tzw. długu zdrowotnym, zaciąganym na skutek ograniczania diagnostyki, przerywania terapii onkologicznych, niedostępności oddziałów kardiologicznych i zamykania przychodni. Zamiast tego mieliśmy teleporady. Ten dług nie zawsze był konsekwencją zarządzeń i postaw lekarzy. Często stanowił efekt totalnej paniki samych chorych, bojących się wyjść z domu i pójść do lekarza. To poskutkowało nienotowaną statystycznie w poprzednich latach liczbą zgonów. Jako dziennikarze ciągle czekamy na wytłumaczenie tego tragicznego fenomenu. Nadal nie ma precyzyjnej odpowiedzi, dlaczego tak się stało i jak wyglądała szczegółowa statystyka zgonów.

Nie brakuje jednak lekarzy, którzy twierdzą, że obostrzenia były potrzebne.

Oczywiście są lekarze, którzy wskazują na zbawienne skutki lockdownu, dystansu oraz noszenia jednej, drugiej czy piątej maseczki. Szanuję te głosy, ale byłoby dobrze, gdyby pokazać wiarygodne badania i skonfrontować to z pracami (których wiele), pokazującymi bezzasadność lub ograniczoną skuteczność np. noszenia maseczek. Konsekwencje, zwłaszcza zamknięcia służby zdrowia, są jednak policzalne.

Jeżeli ci lekarze tego nie widzą, to może dlatego, że za dużo czasu spędzali w studiach telewizyjnych, a za mało na oddziałach szpitalnych. Wiarygodność dr. Basiukiewicza czy dr. Martyki polega na tym, że są to ludzie stojący przy łóżkach pacjentów. Znajdują się na pierwszej linii frontu, mają bezpośredni kontakt z pacjentami, a po godzinach są aktywni w mediach społecznościowych (co dr. Basiukiewicza doprowadziło do blokady jego konta na Twitterze). Podobnie dr Włodzimierz Bodnar z Przemyśla. Jego obserwacje dotyczące stosowania amantadyny w leczeniu COVID-19 pomogły wielu chorym. Oczywiście nieoficjalnie, bo wielu Polaków korzystało z rady dr. Bodnara, lecząc się poza odgórnie ustalonym schematem.

Wspomniał pan, że szczepionki na COVID-19 stanowią eksperyment medyczny. Z czego wynika ta opinia?

Wystarczy spojrzeć na stronę internetową Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych. Na tej stronie wciąż wisi komunikat z 21 grudnia 2020 r. przepisany z Europejskiej Agencji Leków (EMA). Zawiera on konkretne sformułowanie mówiące o tym, że preparat dopuszczony jest warunkowo, że badania wciąż trwają i będą ukończone dopiero za kilkanaście miesięcy. Mało tego: w tym komunikacie są informacje, że stopień skuteczności szczepionki Pfizera w blokadzie transmisji wirusa jest nieznany, a poziom ochrony przed zakażeniem również nie został do końca zbadany.

Sam pan zatem potwierdza, że szczepienia nie są spiskiem, ponieważ oficjalnie państwowa instytucja informuje o warunkowym dopuszczeniu. Na konferencjach ministerstwa otwarcie o tym mówiono, podkreślając stosunek ryzyka do korzyści masowych szczepień.

Owszem, słyszałem, ale tym bardziej powinno się skrupulatnie monitorować wszelkie, nawet najbardziej błahe niepożądane objawy poszczepienne, a tak się nie dzieje. Widać to po statystyce zgłoszeń w innych krajach, np. w Norwegii. W Polsce tych zgłoszeń jest wielokrotnie mniej, a przecież tam i tu stosowane są dokładnie te same preparaty. Z tego, że te badania ciągle trwają, wynika też, że uprawnione jest nazywanie szczepień eksperymentem medycznym. Przez media społecznościowe dociera do nas sporo informacji od osób, które rozpoznają u siebie poszczepienne działania uboczne. Na przykład nauczycielka z Podlasia opisuje, że po pierwszej dawce szczepionki firmy AstraZeneca zauważyła u siebie blokadę okresu. Oczywiście robiła testy ciążowe, które nic nie wykazały. Oprócz tego skarży się na dziwne krwotoki. Szuka pomocy u lekarza rodzinnego i prywatnie u specjalistów, na własny koszt, obawiając się zakrzepicy. Nie była nawet w stanie uzyskać informacji, czy znajduje się w rejestrze niepożądanych odczynów poszczepiennych (NOP).

Inny przykład to historia człowieka, który jako jedyny z pracowników w firmie nie przechodził COVID-19, czyli można wnioskować, że jego system immunologiczny zareagował, wytwarzając naturalną odporność z kontaktu. Po zaszczepieniu miał bardzo przykre objawy, przez dwa dni nie ruszał się z łóżka, miał wysoką temperaturę, drętwienie kończyn i czarne wylewy na końcach palców. Przez 45 minut w warszawskim Lux-Medzie (gdzie go szczepiono) próbował dowiedzieć się, czy został zgłoszony do rejestru NOP, ale do tej pory nie uzyskał odpowiedzi. Jeżeli zatem koncerny farmaceutyczne realizują w Polsce eksperyment medyczny, wyszczepiając (jak mówi minister Dworczyk) populację, to widać, że te badania są prowadzone w nieprofesjonalny sposób. NOP-y nie są rzetelnie zgłaszane, bo tym, którzy ich doświadczają, trudno znaleźć prosty i skuteczny sposób zgłoszenia.

Po drugie, nie bagatelizując NOP-ów, nie mamy pełnej wiedzy na temat odroczonych skutków zastosowania masowych szczepień.

W „Warto rozmawiać" mówiliśmy o tzw. długu zdrowotnym, zaciąganym na skutek ograniczania diagnostyki, przerywania terapii onkologicznych, niedostępności oddziałów kardiologicznych

Coraz częściej słyszymy o konieczności zaszczepienia dzieci. Jak pan ocenia te pomysły?

Z medycznego punktu widzenia trudno to wytłumaczyć. Mówią o tym pediatrzy, którzy przez ostatnich kilkanaście miesięcy przyjmowali osoby nieletnie. Według ich świadectw, ale też według publikowanych statystyk dzieci rzadko i bardzo lekko przechodzą zakażenie koronawirusem. W związku z tym mówi się, żeby je szczepić, aby nie przenosiły patogenu. Słyszeliśmy jednak, że szczepionki nie gwarantują ochrony przed transmisją wirusa. Po co zatem szczepić dzieci? Zdaniem wielu ekspertów to kompletny absurd. Dzieje się to w sytuacji, w której ciągle słyszymy o walce z plastikiem, z GMO, z CO_2 i globalnym ociepleniem. Zmusza się nas do zamknięcia kopalń, do ogromnego wysiłku ekonomicznego i społecznego, by przestawić energetykę na inne źródła energii. Wszystko w trosce o ekologię, czystą przyrodę i harmonię z naturą. Tymczasem jesteśmy w stanie zaaplikować dzieciakom preparat genetyczny o nieznanych do końca właściwościach. Chroniąc zdrowie młodych ludzi, nie sprzedaje się im piwa w sklepie, a jednocześnie chce się ich potraktować

eprasa.pl 76b884c402

inwazyjnym zastrzykiem. Uważam, że jest to potężny błąd.

Część komentatorów jest przekonana, że szczepienia ułatwią nam powrót do normalności, a w tym procesie mogą być pomocne certyfikaty, tzw. paszporty covidowe. Inni uważają z kolei, że grozi nam segregacja sanitarna obywateli.

To dzieje się na naszych oczach, w dodatku w perfidny, bo ukryty sposób. Słychać już oskarżenia, że czwarta fala zarazy będzie przez niezaszczepionych. W szyderstwach dotyczących tych osób rozpoznaję znany mi ton. Pamiętam obrzydliwe żarciki po Smoleńsku ze wszystkich, którzy odrzucali oficjalną wersję katastrofy. Padały wtedy określenia: „smoleńska sekta", „zamachowcy", „kościół Macierewicza". Dziś z podobną pogardą padają określenia: antyszczepionkowcy, foliarze, płaskoziemcy, „sekta 5G".

Ostatnio poważny polityk stwierdził, że kwestionujący szczepienia to ruscy agenci, że to robota KGB. Jednocześnie docierają do nas informacje o próbach odmowy świadczeń medycznych. Pacjenci w rejestracji pytani są o szczepienia i słyszą groźby nieprzyjęcia na oddział, jeżeli się nie zaszczepią. Cały czas trwa też wymuszanie szczepień na pracownikach i osobach podległych. Dzieje się to w wojsku, na uczelniach medycznych, w korporacjach, a nawet w niektórych diecezjach. To niebywałe i niesamowicie bolesne, bo w wielu wypadkach zmuszający mają doświadczenie Solidarności, walki o godność człowieka, przeżyli wielki wolnościowy zryw. Tak samo było przecież w PRL z zapisami do partii oraz z werbowaniem agentów. Ci, którzy np. chcieli wyjechać za granicę, aby dostać paszport, musieli podpisać lojalkę. Dzisiaj wielu ludzi przyjmuje szczepionkę na odczepnego (odszczepnego), nie dla ochrony zdrowia. Chcą uniknąć kłopotów, chcą polecieć na Zanzibar czy Teneryfę. To abdykowanie z wolności, godności, z praw obywatelskich w imię nieuzasadnionych regulacji i świętego spokoju.

Ta rzeczywistość nie ominęła również życia religijnego. Najpierw mieliśmy do czynienia z radykalnymi limitami wiernych w kościołach, a teraz z podziałem wiernych na zaszczepionych i niezaszczepionych, co ma miejsce np. na niektórych pielgrzymkach. Jak pan ocenia reakcję hierarchów kościelnych na wprowadzane regulacje?

Mam nadzieję, że to odosobnione przypadki. Wielu kapłanów reprezentuje zdrowe (a nie zdrowotnościowe) podejście. Nie dziwi mnie zaś szczepionkowa segregacja wiernych wprowadzona przez bp. Kaszaka. Ten hierarcha od zawsze chciał być w awangardzie. Lubi eksperymenty, nie tylko w kwestii szczepień. Nie zawsze się to dobrze kończyło. Kilka lat temu właśnie jemu podległe seminarium zostało rozwiązane. Oficjalnie chodziło o kwestie lokalowe, ale – jak ustalili dziennikarze „Rzeczpospolitej" – powodem były sprawy nadużyć homoseksualnych. Ostatnio z ambony niektórzy pasterze agitowali na rzecz szczepień, a przecież to sprawa złożona. Potrzeba wysiłku, żeby się w tym dobrze orientować. Benedykt XVI w homilii do kapłanów przypominał, że: „Wierni oczekują od kapłanów tylko jednej rzeczy: aby byli specjalistami od spotkania człowieka z Bogiem. Od księdza nie wymaga się, aby był ekspertem w dziedzinie ekonomii, budownictwa czy polityki. Oczekuje się od niego, żeby był ekspertem w dziedzinie życia duchowego".

Powstał Parlamentarny Zespół ds. Sanitaryzmu. Czy wiąże pan nadzieję z tą instytucją?

Uważam, że to niezwykle cenna inicjatywa. Nawet jeżeli nie będzie w stanie zablokować wszystkich idiotycznych, dyskryminujących pomysłów, to przynajmniej może monitorować i gromadzić wiedzę o przykładach łamania prawa. Powtórzę jeszcze raz: przymuszanie do szczepienia pracowników przez przełożonych to nie tylko mobbing, lecz także bezprawie, i o tym trzeba głośno mówić. To, że taki zespół istnieje w polskim Sejmie, jest już ważnym osiągnięciem.

Wspomniał pan o zawiedzionych nadziejach wyborców Zjednoczonej Prawicy. Pańskim zdaniem mogą czuć się rozczarowani decyzją o przyjęciu Funduszu Odbudowy?

W wielu komentarzach na naszym profilu „Warto rozmawiać" wyborcy Zjednoczonej Prawicy przecierają oczy ze zdumienia, że formacja, która wcześniej miała odwagę walczyć o podmiotowość Polski w Unii Europejskiej, najpierw przyjęła regulacje przynoszące gospodarce ogromne straty, pogrążając wiele firm, a potem w celu odbudowania przyjmuje fundusz będący w 60 proc. pożyczką. To nie jest jakiś deszcz złota, który spada na nas z Brukseli. Poza tym tych pieniędzy nie będziemy mogli wydać na cele, które my uznajemy za słuszne. Wszystko ma się odbywać pod kontrolą ponadnarodowych instytucji. Mało tego: pieniądze mogą być nam cofnięte z niejasnych powodów, co wynika z tzw. mechanizmu warunkowości. Tego, jak UE pojmuje praworządność, też do końca nie wiemy. Wypowiedzi najważniejszych komisarzy, np. w kwestii reformy sądownictwa, Puszczy Białowieskiej czy rzekomego ucisku, któremu mają podlegać mniejszości seksualne w Polsce, nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Są oparte na fake newsach. To publicystyka generowana przez przedstawicieli totalnej opozycji w Parlamencie Europejskim. Mam na myśli np. tak groteskowe postacie jak pani Thun, pani Spurek czy pan Biedroń. To ludzie niewiarygodni, a mimo to znajdują posłuch Komisji Europejskiej. Jeżeli na podstawie działań tak niepoważnych polityków budowany będzie obraz praworządności w Polsce i przez to zostaną wstrzymywane fundusze, to cała ta historia już od samego początku jest mocno podejrzana.

Czy w tej sytuacji Polsce grozi postępująca utrata suwerenności?

Tak zwany fundusz zadłużenia czy ratyfikacja ustawy o zasobach własnych UE może być wytrychem. Obawy o ograniczanie naszej suwerenności są zatem zasadne. Korzyści płynące ze wspólnego rynku, wymiany dóbr i nieograniczonego podróżowania wiązały się z przyjęciem konkretnych regulacji i ograniczeń. O tym wiedzieliśmy, wchodząc do UE, i na to się zgodziliśmy. Mam natomiast poczucie, że obóz władzy, który uzyskał akceptację społeczną, dziś robi wszystko, aby tę akceptację utracić.

Elektorat Zjednoczonej Prawicy może mieć wrażenie, że został zabrany w podróż w zupełnie innym kierunku, niż chciał jechać. Ktoś przestawił zwrotnicę, i to nie jakiś wajchowy. Deal zawierany przy urnach wyborczych z przyszłą władzą zawsze jest obarczony pewnym ryzykiem. Żyjemy w czasie dynamicznych zmian geopolitycznych i może być tak, że rządzący zostają postawieni w sytuacji, która zaskakuje nas wszystkich. W przypadku pandemii zaskoczenie było w pierwszych miesiącach. Potem jednak wiedzieliśmy już dużo więcej, a nastąpił ciąg kompletnie niezrozumiałych decyzji. Teraz mamy do czynienia z dalszym dryfem partii rządzącej w postaci zaciągania długu i brania na siebie ogromnych zobowiązań wobec UE. Przyjmowana jest cała agenda klimatyczna, zamykane są kopalnie węgla itp. Wszystko to pokazuje, że jesteśmy w jakiejś dziwnej, nowej sytuacji, jakby ktoś zmienił maszynistę w tym pędzącym pociągu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

Do spisu, gotowi, start!

1 kwietnia ruszył Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021. To jedyne badanie obejmujące swym zasięgiem wszystkie osoby przebywające na terenie Polski. Dzięki jego wynikom możemy dowiedzieć się, co zmieniło się przez ostatnią dekadę i przewidzieć kierunki dalszego rozwoju.

Celem spisu jest zbadanie nie tylko aktualnej sytuacji demograficznej i warunków życia mieszkańców Polski. W oparciu o jego wyniki tworzone są bilanse liczby ludności oraz opracowania, na podstawie których podejmowane są strategiczne decyzje na poziomie regionalnym i ogólnopolskim.

Pytania w spisie

Pytania zawarte w formularzu spisowym zebrane są w ośmiu blokach tematycznych. Dotyczą między innymi stanu cywilnego, poziomu wykształcenia, wykonywanego zawodu oraz aktualnego miejsca zamieszkania. Niektóre pytania mają charakter dobrowolny, z możliwością zaznaczenia opcji „nie chcę odpowiadać na to pytanie". Co ważne, Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021 nie obejmuje danych dotyczących poglądów politycznych czy wielkości dochodów.

To więcej niż obowiązek

To fakt, że udział w spisie powszechnym jest obowiązkowy. Jednak chęć uczestnictwa w tym badaniu nie powinna wynikać z przepisów prawa, a ze świadomości korzystnego wpływu zgromadzonych danych na rozwój kraju i poszczególnych regionów. Warto pamiętać, że to wyraz obywatelskiej, patriotycznej postawy – właściwej współczesnym czasom.

Udział w spisie powszechnym jest bardzo prosty – jest to możliwe przez formularz dostępny na stronie **spis.gov.pl**. Wypełnienie formularza zajmuje najwyżej kilka minut. Jego internetowa forma pozwoli statystyce publicznej na szybsze opracowanie wyników spisu, a także znacząco przyczyni się do ograniczenia kosztów organizacji spisu.

Spis z nagrodami

Każda pełnoletnia osoba, która spisze się za pośrednictwem formularza internetowego (dostępnego na stronie **spis.gov.pl**), może wziąć udział w loterii. Po zakończeniu spisu system wygeneruje unikatowy kod, który potrzebny jest do wzięcia udziału w loterii. Przyjmowanie zgłoszeń do loterii trwa od 22 kwietnia 2021 r. do 7 lipca 2021 r. na stronie **loteria.spis.gov.pl***.

Udział w loterii daje szansę na zdobycie nagród. W sześciu pierwszych losowaniach można wygrać karty przedpłacone o wartości 500 zł i 1000 zł. Nagrodami głównymi w losowaniu finałowym są samochody miejskie.

Losowania odbędą się w terminach: 07.05.2021, 21.05.2021, 08.06.2021, 18.06.2021, 02.07.2021 oraz 09.07.2021. Finałowe losowanie zaplanowane jest na **14.07.2021**.

Raz zarejestrowany kod bierze udział we wszystkich kolejnych losowaniach, również w tym finałowym. Oznacza to, że im wcześniej spiszemy się przez Internet i zgłosimy swój unikatowy kod na stronie loterii, tym więcej mamy szans na wygraną!

Regulamin i szczegóły dotyczące loterii można uzyskać, odwiedzając stronę **loteria.spis.gov.pl** lub dzwoniąc na infolinię loterii: **22 871 99 21****.

Gwarancja bezpieczeństwa

Wszystkie dane przekazane w spisie są objęte tajemnicą statystyczną regulowaną przez ustawę o statystyce publicznej i służą wyłącznie zbiorczym analizom statystycznym. Każda osoba biorąca udział w spisie ma zapewnioną pełną anonimowość. Oznacza to, że podawane w spisie dane są w pełni bezpieczne.

Aktualne informacje o spisie powszechnym dostępne są na stronie **spis.gov.pl** oraz na profilach GUS w mediach społecznościowych.

W przypadku pytań lub braku możliwości udziału w samospisie internetowym prosimy o kontakt z infolinią: **22 279 99 99****.

* Organizatorem loterii jest Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.

** Koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora.

Spis Powszechny to:

- Obowiązkowe badanie realizowane raz na 10 lat przez Główny Urząd Statystyczny
- Ustawowa gwarancja ochrony Twoich danych
- Nowoczesna i bezpieczna formuła spisu online

Więcej na **spis.gov.pl**

Liczymy się **DLA POLSKI!**

GUS | Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021

eprasa.pl 76b884c402

Maciej Pieczyński

Nowa polityka zagraniczna

Waszyngton po dojściu do władzy Joe Bidena odwrócił się od Warszawy. Z Niemcami, Francją i unijnymi elitami pełzający konflikt trwa od dawna. W tej sytuacji zwrot polskiej dyplomacji w kierunku Turcji i Chin może być korzystnym ruchem na geopolitycznej szachownicy

Nie brak opinii, że jedynym sojusznikiem Polski, pod rządami PiS i Andrzeja Dudy skłóconej z sąsiadami i zachodnimi partnerami, były Stany Zjednoczone Donalda Trumpa. Wyborcze zwycięstwo Joe Bidena zmieniło wiele, jeśli nie wszystko. Jak przystało na lewicującego demokratę, nowy prezydent wydaje się w polityce zagranicznej dążyć w czterech, z punktu widzenia Warszawy niepożądanych, kierunkach: promocja tęczowej ideologii, zwalczanie „autorytaryzmów" (czytaj: prawdziwych autorytaryzmów i konserwatywnych rządów), prawdopodobny reset z Rosją (choć poprzedzony ostrą antyputinowską retoryką i prężeniem muskułów) oraz wynikające stąd przyzwolenie na Nord Stream 2. W tej sytuacji naturalną reakcją Warszawy wydają się być próby dywersyfikacji polityki zagranicznej.

Obecnej ekipie rządzącej trudno liczyć na trwałe porozumienie z Niemcami, Francją czy unijną centralą. Polska w mniejszym lub większym stopniu jest na cenzurowanym praktycznie od momentu dojścia partii Jarosława Kaczyńskiego do władzy. Brexit sprawił, że straciliśmy potężnego, potencjalnego sojusznika w ramach UE – przypomnijmy, że właśnie na zbliżenie z Wielką Brytanią wskazał już w 2016 r. Witold Waszczykowski, zapowiadając priorytety dla polskiej dyplomacji. Trudno się zatem dziwić, że PiS próbuje budować nowy biegun unijnej polityki partyjnej w porozumieniu z węgierskim Fideszem i włoską Ligą. Siły te łączą niezgoda na centralizacyjny dyktat Niemiec i Francji oraz konserwatywny światopogląd, dzieli natomiast podejście do Rosji.

Niedawno Polska podjęła próbę otwarcia na Turcję i Chiny. Czyli na dwa mocarstwa spoza szeroko rozumianego świata zachodniego. Turcja jest co prawda członkiem NATO, prowadzi jednak otwarcie wielowektorową politykę, nierzadko konfliktując się z sojusznikami, a do tego Erdoğan „cieszy się" opinią dyktatora. W sporej części polskiej opinii publicznej dały się słyszeć głosy krytyki. Jak zauważył Grzegorz Kuczyński, ekspert ds. wschodnich, dyrektor programu Eurasia w Warsaw Institute, ci sami, którzy dziś krytykują rząd PiS za próbę otwarcia na Chiny i Turcję, jeszcze jakiś czas temu narzekali, że polska dyplomacja stawia wyłącznie na USA i nie szuka alternatywnych opcji. – Nie powinniśmy podchodzić do polityki zagranicznej doktrynersko. Stawianie wszystkiego na jednego sojusznika skutkuje osłabieniem pozycji – mówi „Do Rzeczy".

DWA MOCARSTWA

Pod koniec maja szef MSZ Zbigniew Rau pojechał do Chin na zaproszenie szefa tamtejszej dyplomacji Wanga Yi. „Ministrowie wymienili opinie w kwestiach o strategicznym znaczeniu dla obu państw, w tym na temat źródeł napięć w sprawach globalnych, a także obszarów możliwego współdziałania" – głosi oficjalny komunikat naszej strony. Rau i Wang Yi zgodzili się, że format „17 + 1" (forum współpracy Chin i 16 państw Europy Środkowo-Wschodniej), „po niezbędnych dostosowaniach", powinien być ważnym filarem współpracy pomiędzy Europą a Pekinem. Z udziału w tej gospodarczej inicjatywie zrezygnowała niedawno

eprasa.pl 76b884c402

Prezydent Andrzej Duda w maju w Ankarze rozmawiał z prezydentem Turcji Recepem Tayyipem Erdoğanem

FOT. AA/ABACA/EAST NEWS

Litwa, twierdząc, że bardziej wydajnym i jednoczącym modelem byłaby formuła „wszystkie kraje UE + Chiny". Pekin przynajmniej wizerunkowo podkreślił wagę relacji z Polską. Tamtejsze MSZ opublikowało oświadczenie, z którego można było się dowiedzieć, że Zbigniew Rau był pierwszym ministrem z Unii Europejskiej, z którym Wang Yi spotkał się w 2021 r., co ma świadczyć dobitnie o znaczeniu Warszawy dla Państwa Środka. Jednym z tematów rozmów była możliwa korelacja Polskiego Ładu z nowym, 14. już, chińskim planem pięcioletnim.

Pekin w oficjalnym komunikacie zwrócił uwagę na zapewnienia ministra Raua o tym, że Polska prowadzi niezależną politykę zagraniczną, rozumie interesy Chin oraz zamierza aktywnie działać na rzecz zdrowych relacji na linii Chiny–UE, a także Chiny–Europa Środkowo-Wschodnia, w tym – przekonywać unijnych partnerów do powrotu do negocjacji na temat kompleksowego porozumienia inwestycyjnego (CAI) z Pekinem.

– Chiny, jako mocarstwo globalne, prowadzą swoje interesy praktycznie na całym świecie. Zbliżenie na linii Pekin–Warszawa było więc łatwe do przewidzenia, było kwestią czasu – mówi „Do Rzeczy" Radosław Pyffel, kierownik programu Biznes chiński w Akademii Leona Koźmińskiego. – Jednak bardzo istotny jest timing. Zawsze uważałem, że dobry moment na zdynamizowanie współpracy gospodarczej z Chinami pojawił się cztery–pięć lat temu, kiedy mieliśmy dobre relacje z USA, a co za tym idzie – znacznie większe pole manewru niż dziś. Deklaracje po spotkaniu Rau-Wang Yi brzmią obiecująco, ale poczekajmy z oceną, aż zostaną wypełnione treścią. Ważne, by wizyta w Chinach nie była jedynie emocjonalną reakcją na odrzucenie przez Waszyngton, ale by był to efekt przemyślanej strategii, w ramach której mielibyśmy bogate portfolio korzystnych dla obu stron projektów i konkretne pomysły na współpracę – dodaje.

ROZMOWY PRZETARGOWE

Zdaniem Radosława Pyffla Chiny mogą zabiegać o relacje z Polską, ale nieprzesadnie, ponieważ nasz rynek jest za mały dla tak potężnego gracza, który celuje w wielkie inwestycje na wszystkich kontynentach. Część komentatorów zwraca uwagę na zagrożenia wynikające dla nas z takiego aliansu. Politolog dr Witold Sokała, ekspert Nowej Konfederacji, w artykule dla „Dziennika Gazety Prawnej" argumentował, że „mgliste i niepewne korzyści natury ekonomicznej" obarczone są sporym ryzykiem zarówno handlowym, jak i w sferze bezpieczeństwa. – Bądźmy realistami – uśmiecha się Pyffel. – I zachowajmy proporcje. Na kilkaset projektów zawsze znajdzie się kilka kompletnie nieudanych. Gdyby rzeczywiście Chiny w takim stopniu uzależniały swoich partnerów, jak w popularnych przekazach medialnych lub eksperckich, to nie byłoby tylu chętnych do współpracy. A tymczasem jakoś ta kolejka chętnych staje się coraz dłuższa. Nie rezygnują Niemcy, Francja, Węgry, a teraz akces zgłasza nawet Polska. Czyżby nikt nie słyszał o Czarnogórze, Sri Lance, Kenii? – wylicza Radosław Pyffel. I dodaje: – Pamiętajmy też, że Chiny już oficjalnie zapowiedziały, iż nie są zainteresowane współpracą w dziedzinie bezpieczeństwa. Nie ma więc mowy o jakimś sojuszu na wzór zimnej wojny, co akurat niektórych w Polsce może martwić, bo dobrze czujemy się w logice Radia Wolna Europa i lat 80. XX w. W grę wchodzi jedynie „pragmatyczna współpraca, oparta na wzajemnych korzyściach". W tej sytuacji zagrożeniem nie jest budowa jakiegoś wielkiego sojuszu, ale nieumiejętność wypełnienia przez nas tej wspomnianej „pragmatycznej współpracy" treścią w taki sposób, by przynosiła ona korzyść Polsce i jej obywatelom. Do tego oczywiście nie zapominajmy również o USA, które są w tej kwestii pobłażliwe dla zachodnich Europejczyków, a dla nas, może się okazać, że niekoniecznie – dodaje.

Grzegorz Kuczyński przyznaje, że nie jest zwolennikiem zbyt ścisłej współpracy z Chinami. Po pierwsze – z obawy przed

eprasa.pl 76b884c402

ekonomiczną kolonizacją. Po drugie – z uwagi na panujący tam totalitarny ustrój. Po trzecie – bo Chiny są sojusznikiem Rosji. – Ale to nie oznacza, że nie powinniśmy z Pekinem rozmawiać – zaznacza Kuczyński. – Skoro Biden lekceważy Polskę, to nie ma absolutnie żadnego powodu, abyśmy prowadzili politykę, którą kiedyś Radosław Sikorski, samokrytycznie, nazwał „robieniem laski" Amerykanom. Trzeba im pokazać, że w razie czego mamy alternatywę. Czyli: blefować, że jeśli Waszyngton nie zmieni do nas stosunku, to my możemy przeorientować się na Chiny – dodaje.

Bez wątpienia Chińczycy z zainteresowaniem spoglądają na inicjatywę Trójmorza czy generalnie na współpracę gospodarczą z Europą Środkowo-Wschodnią. Grzegorz Kuczyński wskazuje, że – paradoksalnie – rezygnacja Litwy z formatu „17 + 1" może być argumentem przemawiającym za zbliżeniem z Chinami. To bowiem jasny sygnał, że azjatyckie supermocarstwo nie może zbyt ostro grać z europejskimi partnerami, jeśli jest zainteresowane ekonomiczną współpracą.

– Ja bym jednak mimo wszystko traktował Chiny głównie jako atut w negocjacjach ze Stanami Zjednoczonymi – zaznacza dyrektor programu Eurasia w Warsaw Institute. – Jeśli Amerykanie będą na nas naciskać, żebyśmy np. wyrzucili z kraju koncern Huawei albo żebyśmy blokowali chińskie inwestycje na naszym terenie, będziemy mogli zażądać czegoś w zamian – dodaje. Ekspert nie uważa też, by współpraca z totalitarnym reżimem była dla Polski dotkliwym problemem wizerunkowym. – Z pewnością będzie się oburzać nasza rodzima opozycja, ale nie oczekiwałbym miażdżącej krytyki ze strony Zachodu. Przecież przywódcy Niemiec, Francji czy USA nie mają problemów, by rozmawiać z Putinem czy właśnie z Xi Jinpingiem. Realna dyplomacja właśnie na tym polega, by utrzymywać kontakty z autokratami, ale pamiętać przy tym, że to autokraci – mówi.

Z ANKARĄ MILITARNIE

Kolejny potencjalny orientalny sojusznik to Turcja. 24 maja Recep Tayyip Erdoğan gościł w Ankarze Andrzeja Dudę. Wizyta przyniosła konkrety. W obecności obu prezydentów podpisane zostały umowy dwustronne dotyczące obronności, a także sportu czy turystyki. Turcja i Polska będą współpracować w dziedzinie informacji niejawnych dotyczących przemysłu obronnego. Przede wszystkim jednak Warszawa kupiła od Ankary – bez przetargu – cztery zestawy z 24 uzbrojonymi dronami typu Bayraktar TB2. Umowa obejmuje również szkolenie i logistykę. W przyszłym roku Polska otrzyma pierwszy zestaw. Ostatni – za trzy lata. Rzecznik prezydenta Błażej Spychalski zapewniał, że to „najnowocześniejsze drony na rynku". Zdania na temat ich jakości są podzielone. Faktem jednak jest, że to właśnie drony Bayraktar TB2 na wyposażeniu armii Azerbejdżanu odegrały istotną rolę w walkach z oddziałami ormiańskimi, które z kolei dysponowały sprzętem rosyjskim. W kontekście ewentualnego zagrożenia militarnego ze strony Moskwy wydaje się zatem, że to dobry wybór. Z pewnością znaczenie ma również to, że Polska jako pierwszy kraj Unii Europejskiej i NATO kupiła drony od Turcji. Współpraca militarna z Ankarą trwa zresztą już od pewnego czasu. W kwietniu zapadła decyzja, że w Malborku będą stacjonować tureckie F-16.

– Ten sojusz pozwoli nam na przedłużenie w kierunku południowym flanki wschodniej NATO. Nieprzypadkowo w Ankarze rozmawiano o współpracy na linii Warszawa–Bukareszt–Ankara właśnie – zauważa Grzegorz Kuczyński. Jego zdaniem do aliansu mogłyby dołączyć Ukraina i Gruzja, które z jednej strony odczuwają zagrożenie ze strony Rosji, z drugiej zaś strony są coraz bardziej rozczarowane brakiem postępów w integracji ze światem zachodnim, dlatego też powinny być zainteresowane takim regionalnym układem. Sojusz Polska-Ukraina-Rumunia-Turcja-Gruzja byłby z pewnością poważnym wyzwaniem dla Rosji. Wobec aliansu sceptyczny jest Jan Wójcik z portalu Euroislam.pl. – Co prawda, Turcja ma problemy gospodarcze, potrzebuje inwestycji zagranicznych. To może być szansa dla polskich firm. Uważam jednak, że Turcja to sojusznik jeszcze mniej godny zaufania niż Francja czy Niemcy. Ponadto jest to państwo coraz bardziej osamotnione, skłócone z pozostałymi członkami NATO, do czego doprowadziła właśnie wielowektorowa polityka – mówi.

Z kolei Karolina Wanda Olszowska, historyk, turkolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, zauważa, że w ostatnich miesiącach Ankara stara się poprawić relacje zarówno z USA, jak i z UE. Jej zdaniem pogłoski o prorosyjskim kursie Turcji są mocno przesadzone. – Sprzedając drony Ukrainie, Ankara pokazała, że bliżej jej do Zachodu niż do Moskwy i że jest w stanie zapłacić za to wysoką cenę. Ta transakcja kosztowała ją zawieszenie lotów z Rosji do Turcji. To silny cios, bo co roku to właśnie Rosjanie stanowią największą grupę turystów przyjeżdżających do tego kraju. Turystyka natomiast jest bardzo ważną gałęzią tureckiej gospodarki – mówi „Do Rzeczy" Karolina Wanda Olszowska. W jej ocenie Turcja czuje się niedoceniana jako członek NATO. A przecież jest to druga co do wielkości armia sojuszu. Nie oznacza to jednak, że Ankara chce się z Zachodem rozejść. – Rosja nie jest dla Turcji sojusznikiem, tylko narzędziem do podbijania stawki w negocjacjach z partnerami z NATO – mówi Olszowska. – Ankarę i Moskwę dzieli wiele: interesy na Kaukazie, w Syrii, Libii, Ukraina… – dodaje.

Jej zdaniem z kolei Warszawę i Ankarę łączy bardzo wiele. – Turcja to ogromny rynek zbytu. Jest w trudnej sytuacji gospodarczej, może więc potrzebować polskich inwestycji. Ankara chce wejść we współpracę z V4 czy Trójmorzem – Warszawa może w tym pomóc. Poza tym Polska cieszy się tam szczerą sympatią, co ma związek również z tym, że najwięcej Turków, wyjeżdżających na studia w ramach programu Erasmus trafia właśnie do Polski – mówi Olszowska. W jej ocenie Turcja może być też pożytecznym sojusznikiem z uwagi na mentalność narodową. – Niezależnie od samego potencjału militarnego jest to państwo, które w krytycznym momencie może się zdobyć na coś więcej niż wyrazy współczucia w mediach społecznościowych. W Turcji zwyczajnie większa jest społeczna akceptacja dla udziału w wojnie, a ten, kto poległ na froncie, jest męczennikiem, bohaterem – mówi.

Wreszcie z Turcją do pewnego stopnia mogą nas łączyć kwestie światopoglądowe. – Polska w opinii tureckiej uchodzi na pewno za mniej zepsutą moralnie niż kraje Europy Zachodniej. Pamiętajmy jednak, że konserwatyzm Ankary to konserwatyzm islamski – mówi Karolina Wanda Olszowska. – Relacje z Turcją bez wątpienia są dla nas o wiele bardziej bezpieczne niż z Chinami. Powinniśmy się jednak skupić na kwestiach pragmatycznych, bo ewentualny sojusz światopoglądowy to pułapka – możemy w ten sposób narazić się na zarzut współpracy z islamistami – dodaje Grzegorz Kuczyński. – Zarówno z Ankarą, jak i z Pekinem powinniśmy stawiać na interesy, a nie na wartości.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 76b884c402

Z Radosławem Foglem, posłem PiS i wicerzecznikiem partii
rozmawia Ryszard Gromadzki

Schadenfreude nad Turowem

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: Minister spraw zagranicznych Niemiec Heiko Maas opowiedział się w tych dniach za zniesieniem instytucji weta w Unii Europejskiej. To krok w stronę pełnej hegemonii Niemiec we Wspólnocie?

RADOSŁAW FOGIEL: Pomysł ten to przejaw sposobu myślenia, według którego Unia powinna być coraz bardziej centralnie zarządzana, a głos poszczególnych krajów powinien być mniej słyszalny. To przykład niebezpiecznych tendencji federalistycznych, o których mówimy już od dłuższego czasu. Z drugiej strony próba zniesienia weta może przynieść skutki, których jego przeciwnicy nie zakładają. Na dłuższą metę takie działania mogą doprowadzić do głębokiego kryzysu, jeśli nie rozpadu UE. Byłoby to odebranie poszczególnym krajom członkowskim możliwości zaciągnięcia swoistego „hamulca bezpieczeństwa", jakim jest prawo weta. Chcemy współpracować w ramach UE, zgadzamy się co do – dajmy na to – 9 spraw na 10. Jeśli jednak w tej jednej sprawie nie jesteśmy w stanie osiągnąć konsensusu, to może lepiej zrezygnować z rzeczy, na którą jeden z krajów się nie zgadza, niż zmuszać go do czegoś, co będzie musiało wywołać repulsję.

Czy pomysł przedstawiony przez niemieckiego ministra nie jest w istocie wycelowany w takie państwa jak Polska czy Węgry, które w kwestiach światopoglądowych, ale też w sprawie migracji mówią odrębnym głosem niż unijny mainstream?

Być może. Nie wykluczam, że ostrze tej inicjatywy może być skierowane przeciw Polsce i Węgrom, co dodatkowo potęguje jej niestosowność. Jeżeli jesteśmy członkami jednej Unii opartej na wspólnych zasadach, to tworzenie reguł wymierzonych w konkretnego członka Unii jest czymś nie do przyjęcia, bo jesteśmy Unią partnerów, a nie grupą państw zorientowanych na szukanie wewnętrznego wroga. Jednak docelowo takie rozwiązanie może uderzyć w każdego. Podam hipotetyczny przykład, może nawet nieco absurdalny, ale dobrze ilustrujący ten mechanizm działania. Niemcy są nie tylko krajem piwa, lecz także producentem wina. Załóżmy, że inne kraje winiarskie, takie jak Francja, Włochy, Hiszpania, Czechy, Słowacja, zawiążą koalicję, która przeforsuje zakaz eksportu niemieckiego wina na rynki unijne. Wtedy Niemcy pozbawione instrumentu, jakim jest weto, znalazłyby się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Eliminacja weta może się więc okazać bronią politycznie obosieczną...

Oczywiście. Może wprost doprowadzić do kolejnych exitów. Co było przyczyną wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej? Głównym powodem było narastające u Brytyjczyków poczucie braku kontroli i wpływu na to, co się dzieje w Unii Europejskiej, ale również w wyniku tego w ich kraju. Co z kolei wynikało z przekonania, że Unia narzuca im rozwiązania, na które oni nie chcą się zgodzić. Pomysł szefa MSZ Niemiec idzie jeszcze dalej. Jeżeli niedawno zbuntowali się Brytyjczycy, to czemu w przyszłości nie mieliby zbuntować się Duńczycy czy Szwedzi?

eprasa.pl 76b884c402

Rząd Czech, naszego alianta w Unii i w ramach Grupy Wyszehradzkiej, chce wystąpić do Trybunału w Luksemburgu o odszkodowanie od Polski w kwocie 5 mln euro za każdy dzień pracy kopalni w Turowie, liczony od momentu decyzji TSUE o jej zamknięciu. Czesi podbijają swoją pozycję negocjacyjną? Czy to oddala kompromis w tej sprawie?

Ten spór trzeba rozpatrywać na trzech płaszczyznach. Grupa Wyszehradzka jest głównym forum współpracy nie tylko Polski i Czech, lecz także Słowacji i Węgier. Jesteśmy w tracie polskiej prezydencji i współpraca naszych państw w ramach tego formatu układa się bardzo dobrze. W sprawach kluczowych przed posiedzeniami Rady Europejskiej jest koordynacja działań, odbywają się spotkania premierów wszystkich czterech państw, w trakcie których uzgadniają wspólne stanowisko. To pierwsza płaszczyzna. Sprawa druga to konflikt wokół Turowa. Jakkolwiek przykry, to tego rodzaju spory między państwami nie są niczym nadzwyczajnym. Tak się po prostu dzieje. Nieco trywializuję, ale to jak w słynnych polskich komediach z Kargulami i Pawlakami kłócącymi się o miedzę. Spory zdarzają się w każdej rodzinie. Pracujemy nad tym, żeby ten spór rozwiązać. Uważamy, że mamy silne argumenty, strona czeska również ma swoje argumenty. O ile oczywiście nie popieram próby premiera Babiša w wyegzekwowaniu tych kar, o tyle gdybym był obserwatorem niezaangażowanym, to mógłbym postrzegać działanie czeskiego rządu właśnie jako próbę wzmocnienia swojej pozycji negocjacyjnej. Dobrze, że w tej sprawie trwają rozmowy między premierami i równolegle w ramach zespołów międzyrządowych. Z tego, co wiem, czeski zespół posiada mandat negocjacyjny do tego, żeby tę sprawę rozwiązać polubownie, a nie przed TSUE. Wierzę, że ten spór zostanie rozwiązany i nie będzie się kładł cieniem na nasze stosunki. Pamiętajmy, żeby przykładać właściwą miarę do tej sprawy. Takie spory mają miejsce w stosunkach między wieloma krajami i toczą się niekiedy od wielu lat. Przykładem jest kwestia Gibraltaru, która dzieli Wielką Brytanię i Hiszpanię.

Opozycja oskarża premiera Morawieckiego o poważne zaniechania w kwestii Turowa...

Tutaj dochodzimy do trzeciej płaszczyzny tej sprawy. Działania opozycji są nieodpowiedzialne, żeby nie powiedzieć – antypaństwowe. Najpierw mieliśmy wezwania Rafała Trzaskowskiego i Szymona Hołowni, żeby natychmiast zamykać kopalnię w Turowie, jakby zupełnie nie mieli świadomości, że taki ruch uderza w bezpieczeństwo energetyczne Polski i grozi utratą tysięcy miejsc pracy w kopalni i w związanej z nią elektrowni. Teraz mamy festiwal schadenfreude, głównie ze strony polityków Platformy Obywatelskiej i Lewicy, którzy z nieukrywaną satysfakcją oskarżają rząd, że rzekomo doprowadził do sytuacji, w której nad Polską wisi groźba kar w sprawie Turowa. My mówimy jasno: nie zrobimy niczego, co zagroziłoby bezpieczeństwu energetycznemu Polski. Jesteśmy świadomi potencjalnych konsekwencji i uważamy, że jest to gra warta świeczki. Opozycja wylewa teraz krokodyle łzy, że Czesi próbują egzekwować kary. Tak, próbują, to jest ich prawo. A naszym prawem i obowiązkiem jest gwarantować bezpieczeństwo energetyczne Polakom. Politycy opozycji, którzy są przeciwnego zdania, najwyraźniej dążą do tego, żeby setki tysięcy Polaków zostało bez prądu.

Donald Tusk w jednym z ostatnich wywiadów powiedział, że nie dopuści do tego, żeby Platforma Obywatelska przeszła do historii. Wierzy pan w sprawczy powrót Tuska do krajowej polityki?

Myślę, że Donald Tusk, który cały czas boleśnie przeżywa przegraną w wyborach prezydenckich w 2005 r. ze śp. Lechem Kaczyńskim i porażkę swojej formacji w wyborach parlamentarnych w tym samym roku, gdyby wierzył w realną możliwość powrotu do polskiej polityki, skorzystałby z niej w 2015 albo 2020 r., w trakcie wyborów prezydenckich. Nie zrobił tego, bo doskonale wie, jaki jest jego odbiór społeczny. Dlatego nie zdecydował się na start, nie chcąc ponieść kolejnej porażki.

Oczywiście dla wielbicieli Platformy Obywatelskiej Donald Tusk jest nadal półboskim herosem, na którego powrót na białym koniu nieustająco czekają. Jednak każdy, kto realnie ocenia sytuację, widzi, że Donald Tusk sam sprowadził się do roli internetowego trolla, który próbuje od czasu do czasu wbić komuś szpilę, z coraz mniejszym efektem. Cóż, Platforma Obywatelska koncentruje się na zajmowaniu się sobą. My skupiamy się na wdrożeniu Polskiego Ładu, który ma zapewnić spektakularny wzrost gospodarczy w najbliższej dekadzie, poprawiając byt polskich rodzin i firm.

Zostańmy przy partyjnych rozgrywkach. Czy Jarosław Gowin jest balastem dla Zjednoczonej Prawicy?

Nie patrzyłbym na nikogo w kategoriach balastu. Dopóki obowiązuje deklaracja, że partie wchodzące w skład Zjednoczonej Prawicy chcą współpracować, dopóty koalicja funkcjonuje. Aczkolwiek myślę, że niektóre działania podejmowane przez naszego koalicjanta powinny być wcześniej przedyskutowane. Na przykład w sprawie Rzecznika Praw Obywatelskich. Jednak tutaj zamiast wchodzić w wewnętrzne dyskusje, lepiej oddać głos senator Lidii Staroń, która w mediach mówiła, ile razy premier Gowin namawiał ją, żeby zgłosiła swoją kandydaturę na RPO, po czym opowiedział się za kandydatem PSL.

Czy PiS gotowy jest zaakceptować kontrkandydata senator Staroń – prof. Wiącka – w roli nowego Rzecznika Praw Obywatelskich?

Nam przede wszystkim zależy na tym, żeby Rzecznikiem Praw Obywatelskich została osoba, która będzie gwarantować należyte wypełnianie tej funkcji. Co rozumiem przez należyte wypełnianie roli RPO? Dokładnie odwrotność tego, co robił Adam Bodnar w trakcie swojej kadencji, który w bezprecedensowy sposób upolitycznił tę instytucję, przekształcając ją w ekspozyturę światopoglądową. Naszą kandydatką jest senator Lidia Staroń. Zobaczymy, jaka będzie decyzja w parlamencie.

Perspektywa przedterminowych wyborów jest już definitywnie nieaktualna?

Spekulacje o przedterminowych wyborach cały czas były raczej rozważaniami publicystów, a nie poważnymi planami liderów politycznych. Stoimy na twardym stanowisku, że wybory powinny odbyć się w 2023 r., w konstytucyjnym terminie. Hasłem o przedterminowych wyborach żonglują niektórzy politycy opozycji, zapewne na użytek wewnętrznych rozgrywek. Proszę wybaczyć, ale nie wierzę w prężenie muskułów przez tych polityków Platformy, którzy deklarują, że Platforma chętnie poszłaby na przedterminowe wybory, w sytuacji, gdy pojawia się za nią groźny cień Szymona Hołowni z dwukrotnie większym poparciem. My chcemy realizować Polski Ład. Potrzebujemy do tego spokoju i stabilizacji politycznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

PiS: lepiej już było

Rafał A. Ziemkiewicz

Kolejne sondaże muszą być w KPRM i na Nowogrodzkiej odbierane z rozczarowaniem. Oczekiwanego efektu ogłoszenia Polskiego Ładu zupełnie w nich nie widać – PiS pozostaje zdecydowanym liderem, ale przy obecnych notowaniach nie zdobyłby samodzielnej sejmowej większości

Powstanie koalicji rządowej „od Zandberga do Brauna”, która teoretycznie mogłaby odebrać władzę Jarosławowi Kaczyńskiemu, wydaje się zupełnie nieprawdopodobne – choć pojawiało się groźne memento: w Izraelu w celu odsunięcia od władzy Netanjahu żydowscy szowiniści zdołali się porozumieć z partią arabską, co również uważano przez lata za niemożliwe. Bez wątpienia jednak przy takich wynikach wyborów rządzenie byłoby dla PiS jeszcze trudniejsze niż w obecnej, skłóconej koalicji, której mniejszościowi członkowie starają się na każdym kroku zaznaczyć swą podmiotowość i coś na większym koalicjancie wymusić.

Na zewnątrz obowiązują optymizm i narracja: efekt Polskiego Ładu zobaczycie za kilka miesięcy, bo to program długofalowy i stopniowo sprawi, że wyborcy, którzy w ostatnich latach zniechęcili się do Zjednoczonej Prawicy, zaczną wracać. Ukrywanie rozczarowania przychodzi jednak rządzącym z pewnym trudem i nie zawsze się udaje. Obietnice większych pieniędzy na służbę zdrowia, uproszczonej procedury budowy biedadomków etc. najwyraźniej nie wystarczyły do odzyskania serc zniechęconych. Choć wydawałoby się, że moment jest doskonały: same obietnice trafiają celnie w określone przez socjometrów oczekiwania społeczne, a niezborność opozycji załatwia całą resztę.

Tymczasem – jakoś nie wyszło. Notowania PiS stoją w miejscu, jedyna siła polityczna – czy raczej, na razie, sam „brand” – która zyskuje, to ruch Hołowni, co w istocie stanowi ze strony wyborców komunikat: „Czekamy na inną ofertę”. Oznacza to, że „ukochany wróg”, Platforma, z którym od lat PiS grał – z obopólnym pożytkiem – w polaryzację i podgrzewanie wzajemnej nienawiści, odpada z konkurencji. Pojawia się nowa sytuacja, nie wiadomo jeszcze jaka, na pewno mniej dla PiS wygodna.

Nie jest to jeszcze, wbrew „chciejstwu” lewicowo-liberalnych mediów

eprasa.pl 76b884c402

i opozycji, załamanie czy kryzys – powtarzane od sześciu lat w „tefałenach” zaklęcia: „To już koniec PiS”, „Oni wiedzą, że już po nich”, „Widać, jak się boją” to wciąż tylko drętwa mowa, coraz bardziej męcząca. Fory, dane PiS przez opozycję, wciąż trwają. Jej część liberalna nie jest w stanie wyjść poza groteskowe akcje w stylu „Tour de Konstytucja”, gdzie prawniczy celebryci krążą po prowincji, opowiadając frazesy o „praworządności” spędzonym uczniom. Lewica kłóci się o „transgenderowe” zaimki i dyskryminację „seksworkingu”, a Konfederacja zamknęła się w retoryce „zbrodniarz Morawiecki z psychopatą Niedzielskim dokonują szczepionkowego ludobójstwa”. Czas na ugruntowanie władzy wciąż więc jest – nie ma pomysłu, jak go wykorzystać i jak odzyskać w sondażach te 10 punktów procentowych, dających gwarancję samodzielnego rządzenia.

Innymi słowy: do sto razy już ogłaszanego „końca PiS” wciąż daleko – ale pojawiły się stagnacja, syndrom wypalenia i przewlekłego zmęczenia. PiS już wie, że nie stanie się drugi raz partią budzącą nadzieję, porywającą pomysłami i wprawiającą w entuzjazm. A partią władzy, polską „partią instytucjonalno-rewolucyjną” nie umie być w sposób inny niż poprzednicy, na których gromieniu doszedł do władzy.

Istotą problemu jest „utrata opowieści”, o której już kilka miesięcy temu mówił w wywiadzie dla nas Józef Orzeł. PiS wyrósł na potęgę dzięki kilku chwytliwym narracjom: o walce z korupcją, o oddaniu Polski „zwykłym Polakom”, o tworzeniu nowych, patriotycznych elit i obronie polskiej podmiotowości w Europie. Wszystkie te opowieści już nie istnieją. Nowe elity polityczne zaczynają się jawić jako niewiele lepsze od tych kojarzonych z ośmiorniczkami, a nowych elit w sensie szerszym, zmiany przywództwa społecznego, nie widać w ogóle; w stosunku do Unii Europejskiej jest PiS coraz bardziej uległy i jego dawniejsza retoryka okazuje się pustym potrząsaniem szabelką. „Zwykli Polacy” może i wciąż jeszcze doceniają, że zostali obsypani świadczeniami, na które przez pierwsze ćwierć wieku transformacji „piniędzy” nie było – ale nieprzyjazność państwa dla obywatela, co za tym idzie, jego poczucie, że nie ma na działanie tej wrogiej mu biurokratycznej maszyny

Do sto razy już ogłaszanego „końca PiS” wciąż daleko – ale pojawiły się stagnacja, syndrom wypalenia i przewlekłego zmęczenia

żadnego wpływu ani żadnego z niej pożytku, wcale nie uległo zmianie.

Obrazem ideowego wyjałowienia PiS są kontrolowane przez niego media, zwłaszcza państwowe radio i telewizja, sformatowane na anty-TVN. Toporna, ta sama od lat jazda po Platformie Obywatelskiej – propaganda rządowa wciąż jeszcze nie zauważyła emancypacji Hołowni, trochę przypomina to sytuację z roku 2007, kiedy do ostatniej chwili Jarosław Kaczyński lekceważył ostentacyjnie Tuska, walcząc z Kwaśniewskim. Zero finezji, ani jednej nowej myśli, bo każdą taką trzeba zatwierdzić na Nowogrodzkiej, i w ogóle, myślącemu mogłaby tylko zaszkodzić. Używając jako uzasadnienia wojny prowadzonej z polityczną targowicą, władza zaprowadziła w swych szeregach wojskową dyscyplinę: od myślenia jest Komendant, reszta ma jego pomysły wykonywać i z przekonaniem wmawiać społeczeństwu, że są genialne – nawet kiedy to jest „piątka dla zwierząt”. W efekcie prawicowe think tanki, środowiska intelektualne, takie jak Klub Jagielloński, Nowa Konfederacja, „Strategy & Future” czy Warsaw Enterprise Institute, wolą się od PiS trzymać z daleka – z wzajemnością, bo wszelka, a szczególnie „prawicowa” myśl niezweryfikowana pod kątem zgodności z aktualną linią polityczną Komendanta traktowana jest w obozie rządzącym nader podejrzliwie.

Bardzo przypomina to „politykę ciepłej wody w kranie” narzuconą ongi przez Tuska, który otwarcie zapowiadał, że jeśli którykolwiek z jego ministrów „będzie miał jakieś wizje”, to go wyśle do psychiatry. Ale Tusk tę filozofię „Nic nie robić, konsumować” głosił w innej sytuacji: krótko po wejściu Polski do UE i zasypaniu jej pieniędzmi z ułatwionych kredytów, dotacji oraz przysyłanych rodzinom w kraju zarobków pracujących na Zachodzie Polaków. W ciągu czterech pierwszych lat swych rządów dostał Tusk z tych źródeł piąty, dodatkowy roczny PKB. Cały zbudowany przez niego system pozoranctwa i spychotechniki był więc na długo niezagrożony. Tymczasem dziś wchodzi Polska w strefę politycznych turbulencji. Bez strategicznego pomysłu na istnienie w nowym świecie, zresztą nawet bez gotowości zauważenia, jak bardzo ten świat się zmienia, i z bezwładnym aparatem państwowym, bo – cóż za zdumienie! – okazało się, że wola Komendanta, osobiste doglądanie przez niego spraw państwowych oraz dobór kadr pod kątem lojalności nie zdołały zastąpić systemowej reformy, do której PiS nawet się przez sześć lat swoich rządów nie przymierzył. Polski rząd, ze 120 ministrami i wiceministrami oraz ustawą o „działach” będącą skomplikowaną umową o podziale łupów między koalicjantów, to wciąż kuriozum na miarę Księgi rekordów Guinnessa. Państwo pozostaje w stanie rozbicia między resorty i korporacje zawodowe, imposybilizm nie zmalał ani trochę, raczej wzrósł – należy się spodziewać, że klęski w rodzaju tej z elektrownią w Turowie czy ze wstrzymaniem budowy Baltic Pipe będą się powtarzać, odbijając się także na poziomie życia obywateli.

Zresztą dobrym przykładem ugrzęźnięcia „dobrej zmiany” w Ogólnej Niemożności Wszystkiego jest sam Polski Ład, który od momentu ogłoszenia obrasta coraz bardziej w kolejne wylobbowane przez różne grupy interesu wyjątki i nie wiadomo, czy ostatecznie nie zmieni się we własną karykaturę. Zwłaszcza że, skoro okaże się, iż zawiódł pokładane w nim nadzieje na „nowe otwarcie”, mało komu będzie się chciało jego zapisów bronić.

Jeśli istotnie, na co się zanosi, zawiedzie – to czy PiS zdobędzie się jeszcze na jakiś kolejny pomysł przekraczający bieżące przepychanki, kolejną próbę stworzenia „opowieści”? Na razie receptą na wypalenie wydaje się być straszenie „antyszczepionkowcami”, głoszenie chwały wodza (choć film „Człowiek zbuntowany” na razie nie powstanie, wstrzymany przez samego bohatera – ktoś okazał się nadgorliwy), zwieranie szeregów wokół każdej głupoty, jaką palnie ktoś z „naszych” – zwłaszcza gdy to ktoś tak bliski Komendantowi jak marszałek Terlecki i gdy nie wiadomo, co ten o palnięciu podwładnego sądzi – oraz oswajanie się z myślą o konieczności przyszłego podzielenia się władzą, a raczej pożytkami płynącymi z jej sprawowania, z Lewicą albo PSL.

Mówiąc krótko – PiS wciąż nie ma z kim przegrać, ale gdyby miał, to już do tego dojrzał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

FOT. ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

Milczenie marszałka

Tomasz Rowiński

Przesłuchanych 200 osób i cztery sprawy przekute w zarzuty, które prokuratura chce postawić. Dlaczego marszałek Senatu wciąż zachowuje się tak, jakby nic się nie stało?

Sprawa marszałka Senatu prof. Tomasza Grodzkiego, a dokładnie oskarżeń, które wobec niego są formułowane, wydaje się być – jeśli chodzi o politykę – naprawdę arcypolska. Gdyby nie polityczny sukces szczecińskiego lekarza, prawdopodobnie nigdy by się nie pojawiła, a publiczność, czyli my, nigdy by nie usłyszała o cenniku, o którym mówią ostatnio wszystkie media. Ostatecznie od lat służba zdrowia jest jednym z głównych obszarów łapownictwa w Polsce. Jeszcze w 2014 r., według badań prowadzonych przez instytucje Unii Europejskiej, leczenie w Polsce było najbardziej obciążone „opłatami dodatkowymi" spośród wszystkich państw unijnych. Można zatem powiedzieć, że i obecność lekarza w dużej polityce należy do najbardziej obciążonych ryzykiem politycznego ataku. Podkreślam, że chodzi tu o kwestię statystyczną, a nie o rozstrzyganie przed procesem o winie prof. Grodzkiego. Jednocześnie jednak im większe jest w danym zawodzie przyzwolenie na takie – w gruncie rzeczy – przestępcze praktyki, tym i poczucie niestosowności okazuje się mniejsze. Marszałek Grodzki zachowuje się tak, jak gdyby był zaskoczony, że ktoś bada jego przeszłość.

SPRAWA O ZNIESŁAWIENIE

Głosy oskarżające prof. Tomasza Grodzkiego pojawiły tuż po wyborach w roku 2019. Jako pierwsza odezwała się prof. Agnieszka Popiela, biolog z Uniwersytetu Szczecińskiego. Gdy kandydatura Grodzkiego do senackiej laski marszałkowskiej okazała się poważna, Popiela napisała na Twitterze: „Masakra. Pan profesor Grodzki kandydatem na Marszałka Senatu. Jak moja Mama umierała, to trzeba było dać 500 dolarów za operację. Podobno na czasopisma medyczne. Faktury ani rachunku nie dostałam. Nigdy tego nie zapomnę". Profesor Popiela wpis usunęła i w następ-

eprasa.pl 76b884c402

nym stwierdziła, że pieniądze, jakie miała przekazać prof. Grodzkiemu, nigdy nie były warunkiem operacji, ale że czuła po prostu presję psychiczną. Pomimo usunięcia wpisu nie uniknęła pozwu do sądu.

„Nigdy od nikogo nie żądałem żadnych pieniędzy za operację ani inne czynności medyczne, ani ich nie przyjmowałem" – przekonywał wtedy parlamentarzysta Grodzki. „Teraz po prostu cegła po cegle będziemy rozkładać ten mur oszczerstw, który został zrobiony tylko z pobudek politycznych, bo wszyscy chyba sobie zdajemy sprawę, że ten atak na pana marszałka był atakiem o charakterze politycznym, a nie merytorycznym" – dopowiadał pełnomocnik prof. Grodzkiego mec. Jacek Dubois.

Tę sprawę marszałek Senatu wygrał. „Sąd Rejonowy w Szczecinie uznał, że doszło do zniesławienia pana marszałka, i zobowiązał panią Agnieszkę Popielę do przeproszenia" – ogłosił w ostatniej dekadzie marca mec. Dubois. Było już jednak wiadomo, że wyrok ten, nieprawomocny wówczas, nie jest końcem sprawy i że cień rzucony na Grodzkiego przez badaczkę z Uniwersytetu Szczecińskiego znacznie się do marca roku 2021 rozrósł. Pojawiały się kolejne relacje osób, które uważają się za poszkodowane. „Jak przyszedłem do szpitala, pacjenci powiedzieli mi, że muszę przyszykować 1,5 tys. zł. Nie wiedziałem, po co i dla kogo. Powiedzieli mi: Musisz zapłacić lekarzowi. Powiedzieli, że przyjdzie pan doktor, mówili na niego »naganiacz«. I rzeczywiście tak było: przyszedł, powiedział mi, że muszę zapłacić 500 zł, w związku z tym, że miałem odmę, nie było żadnych operacji, to muszę zapłacić tylko 500 zł" – można było w styczniu ubiegłego roku przeczytać na portalu Radia Szczecin.

Niezależnie od przebiegu sprawy o zniesławienie służby śledcze podjęły wątek zasugerowany przez Popielę. Sama profesor pomimo usunięcia swojego wcześniejszego wpisu w styczniu 2020 r. na Twitterze przypomniała, że nie wycofuje swoich zarzutów wobec prof. Grodzkiego. Czy cokolwiek takiego miałoby miejsce, gdyby nie dotyczyło to jednego z liderów opozycji? Zapewne nie. Czy argument – podnoszony niezawodnie w każdej możliwej sytuacji przez przedstawicieli opozycji – że to atak polityczny, coś zmienia w meritum sprawy? Także nie. Biorąc pod uwagę informacje o poziomie korupcji w polskiej służbie zdrowia, która w nikłym stopniu jest ścigana, rzeczywiście możemy uznać, że zainteresowanie Grodzkim zostało wywołane pozycją, jaką uzyskał on w życiu politycznym. Czy można uznać takie działania za naganne? Patrząc na tę sprawę indywidualne – nie. Każdy, kto wchodzi do polityki i staje się osobą publiczną, w pewnym sensie ryzykuje swoje życie: zakwestionowaniem dorobku zawodowego, odkryciem jakichś mniej chwalebnych działań z przeszłości lub – właśnie – próbami zniesławienia.

Oczywiście jest całkowicie zrozumiałe, że zbieranie materiałów śledczych w sprawie dotyczącej aktywnego polityka od razu spotyka się argumentacją, że to działania wyłącznie wrogie – „polityczne". Gdyby jednak konsekwentnie stosować się do tej logiki, to nigdy żaden aktywny polityk nie mógłby stanąć przed sądem, niezależnie od tego, jakie obciążałyby go oskarżenia. Rzecz jasna, immunitety są po to, by ograniczać wykonywane z użyciem służb bezpośrednie akcje polityczne przeciw parlamentarzystom. Nie mogą jednak służyć jako osłona przed odpowiedzialnością tak, jakby nie było związku między prawością polityka a jego – przynajmniej moralną – zdolnością do sprawowania funkcji publicznych.

GORZKIE ZWYCIĘSTWO

Zwycięstwo nad Popielą musiało być dla Grodzkiego gorzkie, ponieważ w tym samym czasie prokuratura, po intensywnej akcji śledczej, w której przebadano całą dokumentację zawodową marszałka Senatu od lat 80., a także przesłuchano ok. 200 osób, złożyła wniosek o uchylenie profesorowi immunitetu senatora. Dzisiaj wiemy, że prokuratura chciałaby postawić zarzuty w sprawie czterech przypadków przyjęcia korzyści majątkowej. Dlaczego tylko w czterech przypadkach? Ponieważ wiele innych uległo do dziś przedawnieniu. Jednocześnie z materiału dowodowego, który został niedawno ujawniony i opisany przez media, wyłania się obraz prof. Grodzkiego jako lekarza lekko przyjmującego znaczne nawet kwoty. Pisze się nawet o 10 tys. zł za przeprowadzenie operacji.

Senat – a przynajmniej ważni i mający znaczenie senatorowie opozycji – zachowują się w tej sprawie tak, jakby prof. Grodzki nie miał nic do wyjaśnienia, a polityczne wpływy Zbigniewa Ziobry w resorcie sprawiedliwości usprawiedliwiały każde działanie obstrukcyjne wobec prokuratury. Pierwszy wniosek o uchylenie immunitetu prokuratura złożyła w marcu, ale został oddalony ze względów formalnych. Nowy wniosek z 23 kwietnia został zaś przekazany do ekspertyzy prawnej nie tylko prawnikom senackim, lecz także do ekspertyzy zewnętrznej. Nie wiadomo, ile czasu będą trwały te nowe zabiegi. Posłowie PiS zapowiedzieli z kolei zwołanie komisji regulaminowej, która zajmuje się opiniowaniem wniosków prokuratorskich w sprawie immunitetów.

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

Dlaczego jednak wobec tak poważnych oskarżeń marszałek Grodzki przestał się bronić, skoro jesienią 2019 r. mec. Dubois mówił o „rozkładaniu muru oszczerstw"? Sam prof. Grodzki nie tak dawno deklarował jeszcze, że nie daruje tym, którzy go krzywdzą.

Przemilczanie problemu – a problem marszałek Tomasz Grodzki niewątpliwie ma – nie jest uważane za właściwy sposób rozwiązywania kryzysu wizerunkowego. Jeszcze jakiś czas temu prof. Grodzki część zarzutów o przyjmowanie pieniędzy starał się tłumaczyć prywatną praktyką lekarską. Prokuratura jednak – jak się zdaje – wykazała, że część pieniędzy była przyjmowana w latach, gdy chirurg zawiesił tego typu aktywność. Być może do strategii milczenia przekonali go inni liderzy opozycji, którzy traktują sprawę jako całkowicie polityczną. „Nie przeszła »wina Tuska«, to wracają do oskarżeń w kierunku marszałka Grodzkiego. Desperackie próby przykrycia sprawy Obajtka. To im się nie uda" – pisała na Twitterze 22 marca posłanka KO Małgorzata Kidawa-Błońska. Można by uznać ten punkt widzenia, gdyby nie to, że krąg świadków występujących przeciwko Grodzkiemu wydaje się całkiem liczny. Czy zatem nie byłoby właściwym powiedzieć: „Sprawdzam" i przerwać trwający już ponad półtora roku festiwal oskarżeń, jeśli są nieprawdziwe.

Zwróciłem się do prof. Grodzkiego z pytaniem o tę sprawę. Zapytałem, czy zamierza w jakiś sposób zareagować na doniesienia medialne, które przecież robią się coraz bardziej konkretne. Przede wszystkim pojawiają się w nich konkretni ludzie ze swoimi historiami, z bolesnymi opowieściami o próbach ratowania życia swojego lub najbliższych poprzez uzyskanie dostępu do najlepszego ze szczecińskich torakochirurgów. Niestety e-mail do momentu publikacji pozostał bez odpowiedzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

FOT. ADOBE STOCK

Obronić małżeństwo

Karol Gac

Na wokandzie Trybunału Konstytucyjnego znajduje się pięć spraw, w których osoby LGBT domagają się stworzenia w prawie możliwości zawierania tzw. małżeństw homoseksualnych lub związków partnerskich. Ich charakter jest precedensowy, a od decyzji Trybunału będzie zależała prawna ochrona małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny. Tymczasem, jak dowiedziało się „Do Rzeczy", istnieje duże prawdopodobieństwo, że Trybunał umorzy postępowanie, co może mieć w przyszłości negatywne skutki

Nie w parlamencie, nie na ulicy, ale w Trybunale Konstytucyjnym może ostatecznie rozstrzygnąć się, czy małżeństwo to wyłącznie związek kobiety i mężczyzny, czy też – jak chciałyby środowiska lewicowe – mogą je również tworzyć osoby tej samej płci. Chodzi o pięć tzw. skarg konstytucyjnych, którymi, według informacji „Do Rzeczy", może we wtorek zająć się Trybunał. Cztery z nich zostały złożone w 2017 r., a ostatnia – dwa lata później. Tryb skargi konstytucyjnej przysługuje każdemu, kogo konstytucyjne wolności lub prawa zostały naruszone. Wnosi się ją tylko wtedy, gdy skarżący wyczerpie drogę prawną.

W tym przypadku skarżący wskazali, że art. 1 Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego (k.r.o.), który definiuje małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny (tak jak art. 18 konstytucji), jest niezgodny z art. 47 konstytucji, czyli prawem do prywatności. Skarżący przywołują również art. 32 konstytucji, czyli nakaz równego traktowania i jednoczesny zakaz dyskryminacji. To o tyle ważne, że wszystkie pięć skarg nie kwestionuje tego, iż obecna szata słowna art. 1 k.r.o. jest niezgodna z konstytucją, ale uznaje, że mamy do czynienia z tzw. pominięciem ustawodawczym. Innymi słowy: niezgodne jest nie to, co w tym artykule jest, ale to, czego w nim nie ma.

NIEWYGODNY ARTYKUŁ

To oczywisty wybieg prawny, który ma de facto uderzyć w art. 18 konstytucji. Dlaczego? Skarżący uważają bowiem, że z punktu widzenia prawa do prywatności ustawodawcy nie powinno interesować, kto zawiera związek małżeński. „Naruszenie praw Skarżących polegało na nieproporcjonalnym ograniczeniu prawa do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego oraz prawa do decydowania o swoim życiu osobistym, gwarantowanego przez art. 47 Konstytucji RP" – czytamy w uzasadnieniu jednej ze skarg.

– Od wielu lat obserwujemy potężną ofensywę środowisk LGBT, które chcą doprowadzić do powszechnej legalizacji tzw. związków partnerskich, a w dalszej kolejności „homomałżeństw". Jedną z metod narzucenia tych rozwiązań są właśnie próby zmuszenia poszczególnych państw do uznawania „małżeństw jednopłciowych" zawieranych w innych krajach. Lobby LGBT inspiruje działania na gruncie prawnym, aby otworzyć pewne „furtki" do legalizacji „homomałżeństw" – wskazuje w rozmowie z „Do

eprasa.pl 76b884c402

Rzeczy" Paweł Ozdoba, prezes Centrum Życia i Rodziny.

Warto podkreślić, że rodzina, której życie jest chronione zasadą do prywatności z art. 47, nie jest rodziną w dowolnej formie, jak chcieliby skarżący, ale rodziną, którą zdefiniowano w art. 18. Życie rodzinne nie jest bowiem kategorią autonomiczną, ale należy je odczytywać przez pryzmat art. 18, który stanowi, że „małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej". Oznacza to tyle, że osoby tej samej płci pozostające ze sobą w trwałym i monogamicznym związku nie stanowią „rodziny" w znaczeniu przepisów konstytucji. Artykuł 18 ma więc tutaj fundamentalne znaczenie, zaś inne wzorce kontroli, przywołane przez skarżących, mogą mieć co najwyżej znaczenie wtórne. Wydaje się zresztą, że tylko tak ujęte i zdefiniowane małżeństwo jest przedmiotem konstytucyjnej ochrony i opieki. – Artykuł 18 Konstytucji ma jasne brzmienie, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Nie chroni on tylko terminu małżeństwa w formie leksykalnej, lecz także chroni instytucję małżeństwa, która jest podstawową strukturą prawa rodzinnego, relacji rodzinnych i warunkuje powinowactwo. Jest oczywiste, że ten artykuł wyklucza instytucjonalizację innych związków – mówi „Do Rzeczy" dr Tymoteusz Zych, wiceprezes Instytutu Ordo Iuris.

CO ZROBI TRYBUNAŁ?

Teoretycznie Trybunał Konstytucyjny ma kilka wyjść. Oczywistym precedensem byłoby, gdyby przyznał on rację skarżącym, ale wydaje się to mało realne. – Uważam, że sędziowie nie mogą ulec presji i przyznać racji skarżącym, ponieważ w konsekwencji doprowadzi to do załamania porządku prawnego i poważnej destabilizacji. Prawo przestanie faktycznie chronić rodzinę i instytucję małżeństwa – ocenia Ozdoba.

Dużo bardziej prawdopodobne są za to dwa inne rozwiązania. Trybunał albo uzna art. 1 k.r.o. za zgodny z konstytucją, albo umorzy postępowanie. Najbardziej optymalna byłaby oczywiście ta pierwsza decyzja. Tyle że samo orzeczenie o zgodności z konstytucją może być niewystarczające. Trybunał ma realną szansę na trwałe zabezpieczenie instytucji małżeństwa. Wystarczy, że sędziowie dodatkowo przyjmą w drodze tzw. wykładni ustaw w zgodzie z konstytucją, iż wyłącznie ten sposób odczytania ustawy zasadniczej

Rodzina, której życie jest chronione zasadą do prywatności z art. 47, nie jest rodziną w dowolnej formie, jak chcieliby skarżący

przyjęty przez ustawodawcę jest zgodny, co automatycznie oznacza, że każdy inny jest niezgodny. Z punktu widzenia obrotu prawnego taka sentencja Trybunału byłaby dużo mocniejsza niż zwykłe stwierdzenie, że przepis jest zgodny z konstytucją. Jeżeli jednak tego nie zrobi, to może to otworzyć furtkę do innej interpretacji konstytucji w przyszłości. Niewykluczone więc, że kiedyś Trybunał w innym składzie mógłby uznać, iż małżeństwo to również związek osób tej samej płci.

Poważniejszym zagrożeniem jest jednak druga możliwość, a więc umorzenie postępowania, co w swoim stanowisku sugerował Sejm (ze względów proceduralnych). W praktyce oznaczałoby to, że Trybunał nie zajął stanowiska merytorycznego, bo np. uzna, że nie chce wchodzić w kompetencje prawodawcy. Taki scenariusz oznaczałby, że nierozstrzygnięty merytorycznie problem może wrócić w każdym momencie. Także wtedy, gdy zmienią się rządzący lub prądy ideowe w Trybunale. W innym przypadku decyzja Trybunału byłaby chroniona zasadą res iudicata, która określa prawomocność orzeczenia sądowego.

Nie wiadomo, które rozwiązanie wybierze Trybunał Konstytucyjny. Jednak według nieoficjalnych sygnałów, jakie otrzymało „Do Rzeczy", rozważa on umorzenie postępowania. – Nie spodziewam się, żeby Trybunał wydał inne rozstrzygnięcie niż to, które wynika z dosłownego, literalnego brzmienia konstytucji i jasno sformułowanej ustawy zasadniczej. Jestem zdania, że te orzeczenia powinny być oczywiste – ocenia dr Zych, którego zapytaliśmy o taką możliwość.

WALKA TRWA

Wydaje się, że nie bez znaczenia jest także sam moment złożenia skarg konstytucyjnych. W 2017 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka wydał wyrok (ws. Oliari i inni przeciwko Włochom), w którym stwierdził, że brak uznania przez Włochy tzw. małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą stanowił naruszenie prawa do poszanowania życia rodzinnego małżonków chronionego w art. 8 Konwencji o prawach człowieka. Tym samym ETPCz potwierdził, jako europejski standard istniejący w państwach Europy, nakaz legalizacji związków osób tej samej płci. Co prawda, zaznaczono, że państwa mają swobodę w tym zakresie, ale jednocześnie, aby z niej skorzystać, muszą wskazać ważny interes. A to w przyszłości może doprowadzić do legalizacji tzw. małżeństw homoseksualnych. – ETPCz w ciągu ostatnich 12 lat nowej linii orzeczniczej rozważał podobne kwestie. Stopniowo zaczęto wypracowywać linię, zgodnie z którą prawo do życia rodzinnego obejmuje także relacje jednopłciowe. Rzecz w tym, że mamy do czynienia z nadużyciem. Ta litygacja strategiczna, bardzo antydemokratyczna zresztą, może być jednak skuteczna przed ETPCz, dlatego trzeba przed tym ostrzegać. Niezwykle ważne jest stałe monitorowanie wyboru sędziów do Trybunału, bo to w dużej mierze wybór polityczny – tłumaczy dr Zych.

Wiele wskazuje więc na to, że następnym krokiem skarżących może być zwrócenie się do Trybunału w Strasburgu, o czym może świadczyć m.in. spójny sposób zaskarżenia. Niewystarczające orzeczenie Trybunału może więc otworzyć pole do działania ETPCz. Tym bardziej że – biorąc pod uwagę również sytuację polityczną – Trybunał w Strasburgu może nie uznać argumentów strony polskiej. Wystarczy wspomnieć o unijnych zarzutach i nagonce na Polskę dotyczących rzekomej dyskryminacji homoseksualistów w Polsce. – Lobby LGBT działa na wielu płaszczyznach. Promuje swoje postulaty przy wsparciu unijnych urzędów czy wielkich światowych korporacji. Wydaje dokumenty, w których przedstawia swoją strategię działania, ale także wchodzi na pole prawne, gdzie próbuje rozwadniać czy kontestować zapisy konstytucji – przestrzega Ozdoba.

Trybunał Konstytucyjny ma więc szansę na jasne zajęcie stanowiska i przecięcie wszelkich wątpliwości. Należy mieć nadzieję, że Trybunał nie tylko uzna zgodność art. 1 Kodeksu rodzinnego z konstytucją, ale stwierdzi też, że każda inna regulacja tego przepisu byłaby niezgodna z ustawą zasadniczą. To byłaby skuteczna tama przeciwko ekspansji środowisk LGBT, które konsekwentnie próbują rozbić tradycyjny model rodziny oraz przeprowadzić rewolucję światopoglądową w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

Rząd rozbraja rozbrojonych

Łukasz Warzecha

Rząd zamierza przykręcić Polakom śrubę w kwestii dostępu do broni

W mediach społecznościowych się zagotowało: MSWiA chce przygotować nową ustawę o broni i amunicji (UoBiA, w kręgach strzeleckich nazywaną „ubojką") i jeszcze bardziej ograniczyć Polakom dostęp do broni. Zamieszanie zaczęło się od tego, że w wykazie prac legislacyjnych kancelarii premiera pod numerem UC85 ukazały się założenia do projektu zmian w obecnie obowiązującej UoBiA z terminem przyjęcia przez Radę Ministrów w drugim kwartale tego roku, co zresztą wydaje się nierealne. Pod założeniami podpisał się wiceminister spraw wewnętrznych Maciej Wąsik, mający wśród strzelców złą opinię przede wszystkim jako człowiek niezorientowany w problematyce, którą mu przydzielono. Co zresztą założenia do ustawy potwierdzają.

Żeby jednak zrozumieć, co się dzieje i w jaki sposób rząd od lat próbuje podkopywać prawo do posiadania broni w Polsce, trzeba najpierw uporządkować kilka kwestii.

MAŁO BRONI W RĘKACH CYWILÓW

Sprawa pierwsza: jak Polska wypada pod względem posiadania broni przez cywilów na tle innych krajów naszego kontynentu (USA zostawiamy na boku, bo to przypadek całkowicie sui generis)? Otóż wypada bardzo słabo. Spójrzmy na najbardziej miarodajny wskaźnik: liczbę sztuk broni na 100 mieszkańców (nie mylić z liczbą pozwoleń – jedna osoba ma często kilka, kilkanaście, czasem nawet kilkadziesiąt sztuk broni). Według najbardziej wiarygodnego badania Small Arms Survey w Polsce jest to obecnie 2,51. Dla porównania: w sąsiednich Niemczech – 19,62, w Szwecji – 23,14, we Francji – 19,61, w Norwegii – 28,82, w Anglii i Walii, gdzie obowiązują skrajnie nieprzyjazne i restrykcyjne zasady, gdy chodzi o posiadanie broni (nie tylko palnej – jakiejkolwiek) – 4,64, na Słowacji – 6,53, w Czechach zaś – 12,53. W Rosji współczynnik wynosi 12,29. Do polskiego współczynnika przybliża się w Europie jedynie mała Holandia, ale tam i tak jest on wyższy i wynosi 2,6. Krótko mówiąc – jesteśmy najbardziej rozbrojonym krajem na kontynencie.

Zarazem trzeba pamiętać, że choć według oficjalnej policyjnej statystyki zasoby broni w cywilnych rękach w Polsce są szacowane na ok. 587 tys. sztuk (koniec 2020 r.), to prawdopodobnie drugie tyle to broń czarnoprochowa, na którą nie tylko nie jest wymagane pozwolenie, lecz także nawet nie trzeba jej rejestrować.

eprasa.pl 76b884c402

Polaków

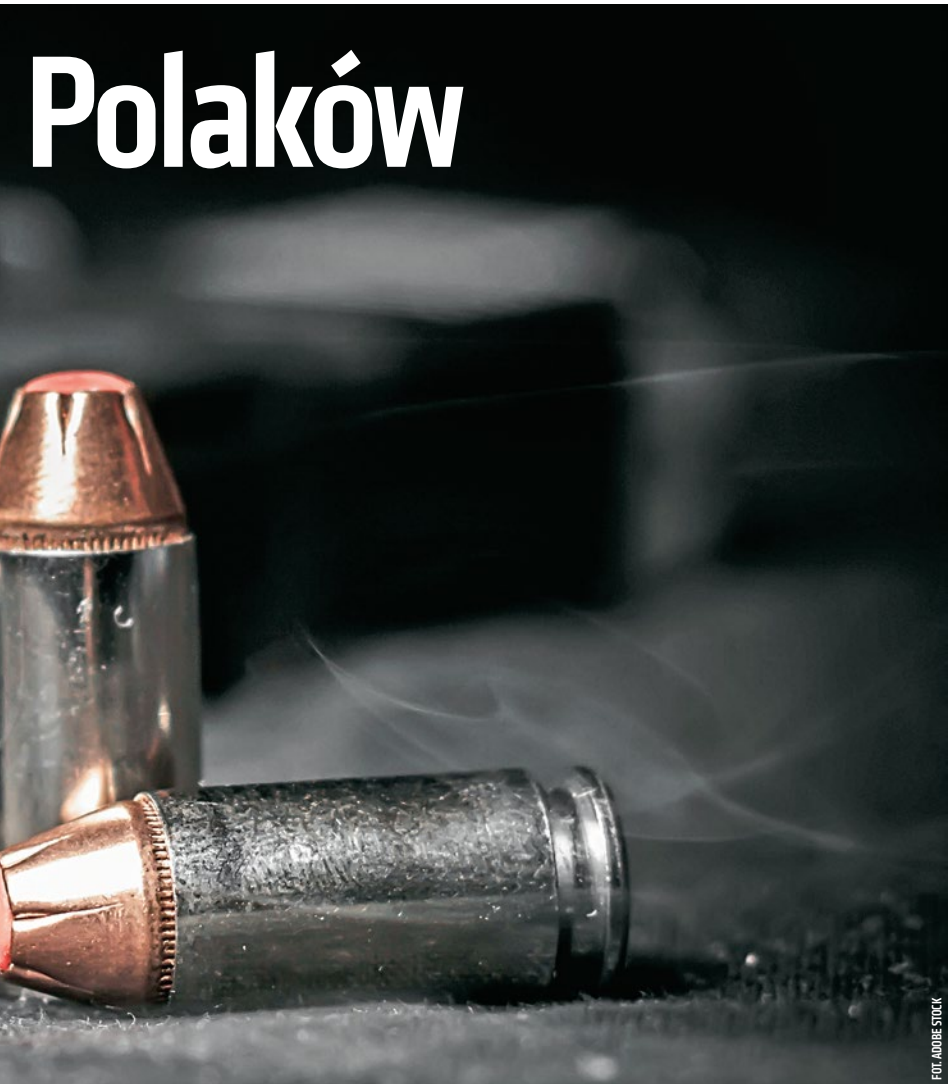

FOT. ADOBE STOCK

Przy czym osób posiadających pozwolenie na broń jest około dwa razy mniej niż sztuk broni – niespełna 235 tys. Nic dziwnego – w przypadku najtrudniejszego do otrzymania pozwolenia na broń do ochrony osobistej jest to tylko jedna sztuka, ale już strzelcy sportowi albo kolekcjonerzy mają więcej broni (autor tego tekstu jest posiadaczem czterech sztuk).

Tradycyjnie najwięcej jest osób posiadających pozwolenia do celów łowieckich – ok. 130 tys., ale od kilku lat rośnie liczba pozwoleń do celów sportowych – obecnie 39 tys. – i jest to druga pozycja w tabeli. Trzecia, ochrona osobista, to 32 tys. pozwoleń. Liczba wydanych w ubiegłym roku pozwoleń na broń do celów sportowych przekroczyła wyraźnie liczbę wydanych pozwoleń na broń do celów łowieckich: 5031 do 3104. A trzeba pamiętać, że ze względu na epidemię był to dla strzelców trudny rok. Trudniej było odbyć strzelania stażowe w klubach, zrobić kurs czy zdać egzamin na licencję strzelecką (nie mylić z pozwoleniem na broń – licencja to dokument wydawany przez Polski Związek Strzelectwa Sportowego).

Hoplofobi (osoby wykazujące nieracjonalną niechęć do broni palnej), którzy powtarzają, że „więcej broni to więcej przestępstw z jej użyciem", powinni rzucić okiem na statystykę, która pokazuje dokładnie odwrotną korelację. Liczba broni „cywilnej" w Polsce systematycznie rośnie – w latach 2015–2020 w prywatnych rękach pojawiło się dodatkowe 200 tys. sztuk, podczas gdy liczba przestępstw, w tym szczególnie przestępstw rozbójniczych z użyciem broni palnej, w tym czasie spadała i w 2020 r. było ich zaledwie 50, zabójstw zaś 23. Gdyby przyjąć rozumowanie krytyków, powinniśmy widzieć wyraźny wzrost.

Nie trzeba dodawać, że bandyci nie występują o pozwolenie na broń, mając ją z nielegalnych źródeł. W Polsce, ale też szerzej w Europie, praktycznie nie występuje korelacja pomiędzy liczbą broni w prywatnych rękach a liczbą broni nielegalnej, w tym w rękach terrorystów. Źródła tej ostatniej są od lat te same: przemyt, w tym ze szczególną rolą Bałkanów.

Druga sprawa to obecny reżim prawny. Posiadanie broni i amunicji przez cywilów reguluje wspomniana „ubojka", niezmieniana od wielu lat i mająca korzenie w PRL. Jest jednak jeszcze druga, mniej znana ustawa – o wykonywaniu działalności gospodarczej w zakresie wytwarzania i obrotu materiałami wybuchowymi, bronią, amunicją oraz wyrobami i technologią o przeznaczeniu wojskowym lub policyjnym, zwana skrótowo „ustawą o wykonywaniu". Dlaczego ta druga jest nie mniej ważna? Reguluje ona działalność m.in. importerów broni, sklepów z bronią i amunicją czy rusznikarzy, ale ściśle zazębia się z UoBiA. Władza próbuje wykorzystywać ustawę o wykonywaniu do przemycania zmian w całym systemie, w tym bezpośrednio dotyczących prawa do posiadania broni.

OBYWATEL MUSI UDOWADNIAĆ

Obecny system, o którego zmianę na przyjaźniejszy obywatelom walczą bezskutecznie od lat środowiska strzeleckie, ma jednak potężne wady. Pierwsza i zasadnicza z nich to PRL-owska logika przepisów, zgodnie z którą posiadanie broni jest swego rodzaju przywilejem i trzeba władzy udowodnić, że ma się powody, aby z niego skorzystać. Jest to niemal niemożliwe w przypadku pozwoleń na broń do ochrony osobistej, gdzie pozostawiono uznaniowość policji. W 2020 r. wydano zaledwie 124 takie pozwolenia, część zapewne cofnięto (tej liczby policja nie podaje). Od 2011 r. nie obowiązuje ona natomiast w przypadku pozwoleń na broń do celów sportowych czy myśliwskich. Tak, to za rządów Platformy Obywatelskiej wprowadzono do polskiego prawa ostatnią naprawdę ważną i korzystną zmianę w prawie do posiadania broni.

Nadal jednak, mimo braku uznaniowości w kategoriach pozwoleń sportowych czy łowieckich, obywatel musi policji udowodnić, że broni potrzebuje do uprawiania sportu albo polowania. Tymczasem należałoby przyjąć inną zasadę: prawo do posiadania broni powinno przysługiwać każdemu po spełnieniu możliwie obiektywnych kryteriów, bez potrzeby udowadniania czegokolwiek, natomiast w określonych przypadkach

eprasa.pl 76b884c402

trzeba by je ograniczyć albo go odmówić (karalność, choroba psychiczna itp.).

UoBiA wciąż posługuje się absurdalnym – i niezgodnym z unijną dyrektywą – podziałem broni ze względu na cel. Prowadzi to do jawnych absurdów. Były wypadki, gdy policja próbowała cofnąć pozwolenie myśliwemu, który z legalnie posiadaną bronią „do celów łowieckich" startował w zawodach sportowych – bo przecież pozwolenia nie wydano „do celów sportowych". To tak, jakby wydawano prawo jazdy „w celu dojazdów do pracy" i można je było zatrzymać, jeżeli ktoś pojedzie autem na wycieczkę. Taki podział to również dziedzictwo PRL.

Wbrew temu, co sądzą przeciwnicy zmian, obecne regulacje nie zapewniają wcale bezpieczeństwa. Nie zawierają na przykład mechanizmu, który umożliwiałby lekarzowi stwierdzającemu chorobę psychiczną sprawdzenie, czy pacjent posiada pozwolenie, i poinformowanie policji o konieczności jego cofnięcia.

Prawdziwym „hitem" jest jednak kwestia Systemu Rejestracji Broni (SRB), która pokazuje, do jakiego stopnia polskie państwo jest tekturowe. Powstanie takiego elektronicznego systemu wymusiła unijna dyrektywa – i nie byłaby to zła rzecz. Policyjne kartoteki, jakkolwiek trudno w to uwierzyć, są dzisiaj nadal w dużej części papierowe, a nawet jeśli mają już postać elektroniczną, to ciągle nie jest to rejestr centralny. Regulacja o SRB jest zawarta w „ustawie o wykonywaniu" i zaczęła obowiązywać w połowie grudnia 2019 r. Problem w tym, że systemu do dzisiaj nie ma. Dopiero w tym roku rozstrzygnięto przetarg na jego wykonawcę. Zgodnie z regulacją od 14 grudnia 2019 r. sprzedawcy broni powinni przekazywać do ministerstwa informacje o transakcjach wyłącznie za pomocą SRB, ale nie mogą tego robić, bo system nie istnieje. MSWiA nakazało im zatem, powołując się na zapis o sytuacji nadzwyczajnej, korzystać z dotychczasowych „analogowych" metod, istnieje jednak wątpliwość, czy jest to zgodne z prawem, gdyż sytuacja nadzwyczajna odnosi się do awarii systemu, a nie do jego braku.

NAGŁY STARY PROJEKT

Spójrzmy teraz do założeń opublikowanych przez wiceministra Wąsika. Eksperci od dawna przyglądający się sprawie wskazują, że nie jest to projekt nowy, ale zaplanowany już dawno, bo Polska powinna w końcu dostosować swoje regulacje do dyrektywy UE. Potwierdza to błąd we wskazaniu podstawy do nowych regulacji, MSWiA nie zauważyło bowiem, że przywoływana dyrektywa z 2017 r. została uchylona. Nowa i obowiązująca nosi datę 24 marca 2021 r. i numer 2021/555, ale o niej założenia nie wspominają. Wygląda to więc tak, jakby nagle wiceminister Wąsik z jakiegoś tajemniczego powodu przypomniał sobie, że trzeba zmienić prawo, i sięgnął po dawno już stworzony projekt, nawet go nie aktualizując.

Ministerstwo, korzystając z unijnego pretekstu, zamierza niestety przykręcić śrubę bardziej, niż życzy sobie Unia. Założenia głoszą, że „zakłada się wprowadzenie odwołania do wynikającego z dyrektywy podziału broni i amunicji na kategorie A, B i C, gdzie kategoria A to broń szczególnie niebezpieczna". Co to oznacza? Zamiast odejść od nonsensownego podziału na „broń do celu" i przy okazji implementacji dyrektywy wprowadzić jako jedyny prosty i klarowny unijny podział w zależności od rodzaju broni, MSWiA chce pozostawić podział PRL-owski, a dodatkowo nałożyć na to unijne „ABC". W przepisach jest chaos nawet teraz, a co dopiero po takiej operacji, która faktycznie narzuci strzelcom dodatkowe ograniczenia.

Poszkodowani będą też posiadacze broni z kategorii A z pozwoleniem kolekcjonerskim, bo chociaż dyrektywa pozwala im taką broń posiadać – pod określonymi warunkami – to z opisu projektu ustawy wynika, że mieć jej nie będą mogli. Co w takiej sytuacji z odszkodowaniami za przymusowe zdanie broni – także nie wiadomo.

Założenia mówią również: „W celu realizacji art. 6 ust. 7 i art. 7 ust. 4 Dyrektywy zakłada się rozszerzenie obowiązku przedstawienia raz na 5 lat właściwym organom orzeczeń lekarskich i psychologicznych na wszystkich posiadaczy pozwolenia na broń. Obecnie obowiązek ten dotyczy jedynie osób posiadających pozwolenie na broń dla celów: ochrony osobistej, ochrony osób i mienia oraz łowieckich". Dyrektywa mówi jednak jedynie w art. 9 i 10 o okresowym przeglądzie pozwoleń (broń kategorii A i B) nie rzadziej niż co pięć lat. Nie dotyczy to kategorii C, a do niej należy większość typowej broni myśliwskiej. Obowiązek powtarzania pełnych badań z pewnością spodoba się lobby koncesjonowanych przez ministerstwo psychologów.

Jednocześnie władza zaczęła manipulować przy „ustawie o wykonywaniu". W tempie zaiste błyskawicznym, uniemożliwiając powołanie podkomisji i sensowną dyskusję, przeprocedowano zmiany w Sejmie i obecnie akt jest w Senacie. Eksperci wskazują na nieprawdopodobny wręcz chaos pojęciowy, który w nowelizacji wprowadzono, tworząc na przykład niezrozumiałą, nową kategorię „broni alarmowej i sygnałowej" (w UoBiA to dwie oddzielne kategorie o różnych cechach). Zdaniem Joanny Majo, autorki ekspertyz prawnych w miesięczniku „STRZAŁ.pl", skutkiem po dyletancku przeprowadzonych zmian może być uznanie zabawkowych kapiszonowców za… broń palną w rozumieniu ustawy.

Żeby pokazać, z jakim groźnym absurdem mamy do czynienia, przyjrzyjmy się innej sprawie – zapisom o łuskach po pociskach artyleryjskich. W nowelizacji uznano je – bez żadnych ograniczeń, a więc wystrzelone i niewystrzelone, niezależnie od daty produkcji – za istotną część amunicji, którą dotąd nie były. W praktyce oznacza to, że za posiadanie wystrzelonej łuski artyleryjskiej z 1940 r. bez pozwolenia będzie można trafić do więzienia maksymalnie na osiem lat (art. 263 par. 2. Kodeksu karnego). Sęk w tym, że takie łuski – starsze i nowsze – są bardzo popularnym gadżetem. Bez trudu można je kupić w sieci, by potem użyć np. jako wazonika. Jeśli regulacja w zatwierdzonej przez Sejm postaci weszłaby w życie, wszyscy posiadacze takich łusek – całkowicie niegroźnych – staliby się nagle przestępcami. Głupota czy celowe działanie?

Niestety, jeśli ktokolwiek miał nadzieję, że dojście Zjednoczonej Prawicy do władzy będzie oznaczało ułatwienia dla strzelców i racjonalizację przepisów, musiał ją już stracić. Od 2015 r. notowaliśmy wyłącznie próby przykręcania śruby i trzeba było walczyć o to, aby się nie powiodły. Trudno się jednak dziwić, skoro sam Jarosław Kaczyński publicznie głosił pogląd, że Polacy do posiadania broni nie dojrzeli.

Tymczasem Polska w swoim słabym geopolitycznym otoczeniu pozostaje najmniej uzbrojonym krajem Europy. Miejmy pewność, że nasi wrogowie uwzględniają ten czynnik w swoich kalkulacjach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

Już 21 czerwca w „Do Rzeczy” dodatek

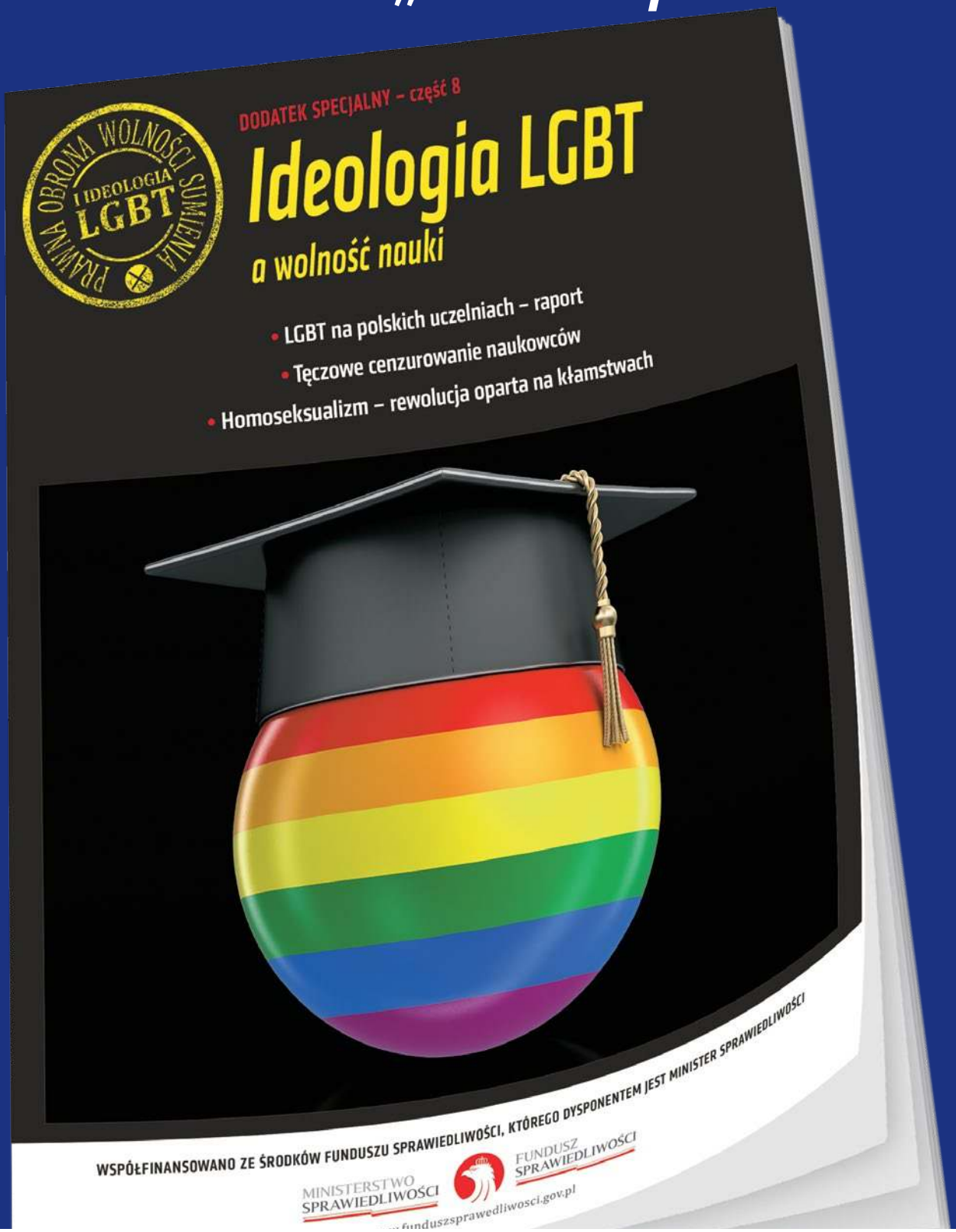

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 76b884c402

Koledzy z tzw. młodego RMP, czyli wychowankowie Halla z lat 80. Na zdjęciu: Wojciech Turek (drugi od prawej) i Jarosław Rybicki (pierwszy od prawej) FOT. ZE ZBIORÓW JAROSŁAWA RYBICKIEGO

Kolejny fragment książki „Piątka u Semki" (Zysk i Sk-a), wywiadu rzeki z Piotrem Semką *przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza*

Uciekaliśmy od bezruchu

JAN HLEBOWICZ: Na pewnym etapie twoje drogi z Ruchem Młodej Polski znacznie się rozeszły...

PIOTR SEMKA: W pewnym momencie Aleksander Hall ogłosił, że organizacja zawiesza swoją autonomiczną działalność i przekazuje wszystkie siły Solidarności. A po ujawnieniu się Olka w 1984 roku nasze drogi zaczęły rzeczywiście się rozchodzić. Lider RMP reprezentował całkiem inne podejście do aktywizmu politycznego. Przekonywał, że demonstracje nie mają większego sensu i należy bardziej skupić się na pracy formacyjnej. Mimo że nie zgadzałem się z taką postawą, wciąż utrzymywałem bliskie kontakty z przedstawicielami tak zwanej Gwardii Młodych RMP, do której należeli między innymi Jarosław Sellin czy Adam Pawłowicz. Jednocześnie oddalałem się ideowo od Jarka Kurskiego, który sam zaczął separować się stopniowo od RMP. W drugiej połowie lat 80. kwartalnik „Polityka Polska" RMP wchodził w nudne rozważania. Czułem, że to środowisko już nie zabłyśnie ani w aspekcie opozycyjnym, ani politycznym. Z pistoletów organizujących antykomunistyczne demonstracje jeszcze przed Sierpniem '80 RMP-owcy stali się nudziarzami, których działalność ograniczała się do niekończących się dyskusji oraz rozważań, z których niestety wiele nie wynikało.

Jak odwołujący się do tradycji endeckiej Ruch Młodej Polski wpłynął na twoje poglądy polityczne?

Istniały w latach 80. zasadniczo dwa oblicza tradycji endeckiej w Polsce. Do pierwszej grupy należeli ci, którzy zawsze zastanawiali się nad tym, jak dostosować ideę narodową do nowoczesności. Takimi ludźmi byli Wiesław Chrzanowski, członkowie RMP, a na Zachodzie Wojciech Wasiutyński czy Albin Tybulewicz. Reprezentantami drugiego, „talmudycznego" oblicza ruchu narodowego byli między innymi Mariusz Urban i jego Niezależna Grupa Polityczna. To byli ludzie, którzy prezentowali postawę endeckiej „oblężonej twierdzy". Mnie oczywiście bliżej było do tej pierwszej tradycji i ona wywarła na mnie, jako młodym opozycjoniście, a także publicyście, ogromne i pozytywne piętno. Z RMP wyniosłem przede wszystkim myślenie kategoriami interesu narodowego, który oznacza, że wszelkie, nawet najpiękniejsze slogany o współpracy europejskiej nie zmienią faktu, iż dobro narodu jest najważniejsze. Do dziś darzę tradycję RMP dużym szacunkiem, a jednocześnie zauważam, że formuła „klubu dyskusyjnego" na dłuższą metę okazała się słabością tego środowiska, ponieważ nie potrafiło ono działać równie sprawnie jak środowisko KOR-owskie Michnika i Kuronia. Pokazują to umiarkowane kariery tych ludzi po 1989 roku. Żaden z głównych aktywistów RMP nie miał takiej pozycji jak ludzie wywodzący się z lewicy laickiej.

Mówiąc o kształtowaniu światopoglądu, nie sposób pominąć osoby Jana Pawła II.

Dziś młodzi ludzie nie potrafią zrozumieć, jak gigantyczne było znaczenie wyboru papieża Polaka na Stolicę Apostolską. Dobrze oddał to kiedyś Tomasz Wołek, wspominając nastroje panujące w Ruchu Młodej Polski, a także w szerokich masach Polaków po wyborze Karola Wojtyły: „Dzięki Janowi Pawłowi II zrozumieliśmy ostatecznie to, co czuliśmy intuicyjnie od lat. Że to nie my jesteśmy anachroniczni, a komuniści, którzy przypisywali sobie rzekomo lepszy, naukowy światopogląd". Ciężko dziś opisać, co wtedy czuliśmy na myśl o rodaku w Watykanie. Tak wiele emocji skupiło się wokół jednej osoby. Duma z tego, że to nasz rodak zachwyca świat. Przekonanie, że z Rzymu pomaga nam, jak może. I pewność poczucia, że jego bezbłędna, intelektualna analiza marksizmu

eprasa.pl 76b884c402

zgruchocze toksyczną ideologię. Pamiętam, jak 1 stycznia 1979 roku papież wygłosił tradycyjne noworoczne życzenia urbi et orbi. Tym razem wygłosił je nie tylko po włosku, angielsku, francusku i hiszpańsku, jak to czynili jego poprzednicy, lecz także między innymi po polsku, litewsku, ukraińsku, słowacku czy czesku. Pomyślałem sobie wtedy: Dlaczego wcześniej żaden papież, mimo wiedzy o męczeństwie Kościołów katolickich w bloku sowieckim, nie zdobył się na taki gest?

W drugiej połowie lat 80. odsunąłeś się nieco od RMP i zacząłeś sympatyzować z radykalniejszymi organizacjami młodzieżowymi.

Przede wszystkim wspierałem Solidarność. Trzeba pamiętać, że w latach 1986–1987 pojawiły się ogólny marazm i przekonanie, że „S" się skończyła, jest martwa i nie odegra już żadnej większej roli. Nie było wówczas wykluczone, że dojdzie do porozumienia między Kościołem a władzą z pominięciem „S". Ważnym zapleczem ruchu była młoda, radykalna generacja: Międzymiastówka Anarchistyczna, Federacja Młodzieży Walczącej, Wolność i Pokój, Ruch Społeczeństwa Alternatywnego. Ludzie zrzeszeni w tych opozycyjnych organizacjach stanowili bardzo konkretną odpowiedź na coraz bardziej gnuśniejącą opozycję spod znaku RMP. Uciekaliśmy od bezruchu, dusznych dyskusji i prób dogadywania się z władzą. Jestem dumny, że w znacznym stopniu dzięki środowisku młodych niepokornych, do którego należałem, Solidarność odrodziła się w drugiej połowie lat 80.

Jednak po transformacji ustrojowej to ludzie związani z RMP odegrali większą rolę niż na przykład młodzi niepokorni z FMW.

Nie zgadzam się. Według mnie w latach 90. nastąpiło powolne szarzenie środowiska RMP, które – z wyjątkiem Marka Jurka, Mariana Piłki czy Jarosława Sellina – nie odegrało większej roli ani w obszarze mediów, ani polityki.

Jarosław Sellin, Marek Jurek, Marek Biernacki, Aleksander Hall, Arkadiusz Rybicki, Maciej Grzywaczewski, Wiesław Walendziak to chyba osoby, o których trudno mówić, że nie odegrały większej roli?

Oczywiście, to postaci rozpoznawalne, aktywne, znaczące. Nie mówię jednak o jednostkach, ale o środowisku.

Zmieńmy temat. Kończysz Topolówkę zdaną maturą. Najbliżej masz na Uniwersytet Gdański. Wybierasz jednak KUL, czyli Katolicki Uniwersytet Lubelski.

Zostałem do tego niejako zmuszony. Ze strony SB i władz szkolnych dotarła do mnie pogróżka, że jeśli będę zdawał na UG, to bezpieka zrobi wszystko, by tych licealistów z całego Gdańska, których podejrzewała o działalność antykomunistyczną, bezpardonowo „uwalić". A bezpośrednio po uwaleniu miało przyjść wezwanie do wojska. Służba z kolei miałaby się odbyć w Orzyszu, czyli ośrodku słynącym wówczas z gnojenia ludzi i łamania kręgosłupów młodych kontestatorów.

Atmosferę zagrożenia służbą wojskową utrwalił Paweł Kukiz, śpiewając: „Po szerokim stawie pływają łabędzie, kto do wojska nie chce, ten w Orzyszu będzie".

Paweł, śpiewając „do wojska", miał na myśli WSW, czyli Wojskową Służbę Wewnętrzną. Potraktowałem tę groźbę niezwykle serio. Miałem w pamięci wydarzenia sprzed zaledwie kilku lat, kiedy SB próbowała zatrzymać naszego starszego kolegę z Topolówki, legendę szkolnej opozycji Piotra Szczudłowskiego, aby uniemożliwić mu pojawienie się na maturze. To w zamyśle esbeków miało doprowadzić w konsekwencji do powołania Piotra do wojska, a tam do zniszczenia go psychicznie i fizycznie. Na szczęście Szczudłowski przedarł się lasami Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego okalającymi III LO i dotarł na egzamin dojrzałości. Niezależnie od tego ja potraktowałem groźbę SB poważnie i postanowiłem zdawać na KUL.

Ktoś ci pomagał?

Podszedłem do egzaminów bez kompleksów. Zdawałem na historię. Z sukcesem.

KUL był wówczas uczelnią wyjątkową na mapie polskich szkół wyższych...

Rzeczywiście, Katolicki Uniwersytet Lubelski miał w tamtym czasie opinię uczelni cechującej się większym katalogiem swobód, wolności i otwartości. Szybko zorientowałem się, że to tylko część prawdy. KUL w rzeczywistości miał dwa oblicza. Część wykładowców i studentów była wyraźnie opozycyjna. Kontrastowało to z uległą wobec rządzących postawą władz uczelni, która w zarodku tłumiła wszelkie postawy niezależne. Pamiętam, jak po aresztowaniu Bogdana Borusewicza w 1986 roku przyszedłem na uczelnię z pokaźnych rozmiarów tekturą z napisem: „Bogdan, dziękujemy". Zawiesiłem ją w gablocie w głównym uczelnianym holu. Od razu wokół plakatu pojawiła się grupka osób wyrażająca poparcie dla tego hasła. Pamiętam, że musiałem wtedy coś załatwić. Na kilka minut odszedłem od gabloty na inne piętro. Kiedy wróciłem... tektury z napisem już nie było. Później dowiedziałem się, że zerwał ją portier. Ta sytuacja dobrze oddaje ówczesną atmosferę panującą na KUL. Nigdy też nie zapomnę, jak biskup diecezjalny lubelski Bolesław Pylak, sprawujący jednocześnie urząd wielkiego kanclerza KUL, demonstracyjnie dał się obfotografować lokalnym mediom podczas głosowania w wyborach do PRL-owskiego Sejmu w październiku 1985 roku, które były bojkotowane przez środowiska opozycyjne. Wówczas ukute zostało nawet dowcipne powiedzonko: „Ile worków cementu na kolegium Jana Pawła II załatwił biskup Pylak, wrzucając swój głos do urny wyborczej?".

Z drugiej strony wielu wykładowców wspierało swoich studentów w niezależnych postawach...

Wydział Historyczny tętnił opozycją i bibułą. A nie byłoby to możliwe bez takich postaci jak prof. Adam Stanowski. W latach 1942–1945 walczył w Szarych Szeregach, należał do Armii Krajowej, brał udział w powstaniu warszawskim. Pod koniec lat 40. dwukrotnie był aresztowany przez funkcjonariuszy UB. W 1951 roku skazano go na karę siedmiu lat pozbawienia wolności, został zwolniony dopiero w 1955 roku. Innym przykładem dla nas był choćby wykładowca Zdzisław Szpakowski, o którym szeptano, że był egzekutorem wykonującym wyroki Armii Krajowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

DOTYCHCZAS WYDRUKOWALIŚMY NASTĘPUJĄCE FRAGMENTY KSIĄŻKI:

- ***„Jak Semkowie Polskę wybrali"*** – nr 16/2021
- ***„Dziadek Jan i dziadek Józef"*** – nr 17/2021
- ***„Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową"*** – nr 18/2021
- ***„Niepokorna Topolówka"*** – nr 19/2021
- ***„Dramatyczny czas"*** – nr 20/2021
- ***„Licealna konspira"*** – nr 21/2021
- ***„Koledzy z konspiry"*** – nr 22/2021
- ***„Prywatna wojna z komunizmem"*** – nr 23/2021

eprasa.pl 76b884c402

Agnieszka Niewińska

Grill stał się symbolem czasu wolnego. Kowalski już nie wyobraża sobie bez niego lata. Dlatego pogłoski o ograniczeniach w grillowaniu stały się najgorętszym tematem biesiad przy ruszcie

Sąsiad mi powiedział, że jest zakaz. Jaki zakaz? Mój grill, moje podwórko, więc niech mi tylko ktoś spróbuje przeszkodzić – odgraża się pan Dariusz, mieszkaniec jednej z warszawskich dzielnic, która znalazła się na czarnej grillowej liście. Języka, jak mówi, już zasięgnął u odpowiednich służb. I zapowiada: – Nie ma mowy, żebym nie grillował!

Odkąd gruchnęła wieść, że na Mazowszu ze względu na przekroczenie średniorocznego poziomu docelowego dla benzo(a)piranu w części województwa przygotowywanie przysmaków na ruszcie czy w ognisku nie będzie mile widziane, grill stał się tematem niemal każdego grilla.

– Zakaz to chyba tylko w Warszawie – słyszę od uczestników biesiady przy mięsie z rusztu w sąsiadujących ze stolicą Markach. Przestrzegają, by z rozpalaniem pod rusztem nie ryzykować. – Jak się ma na kosie z sąsiadem, to może straż miejską wezwać. A grilla ukryć się nie da, zapach wszystko zdradzi – dyskutują.

Alicja, 30-latka z Warszawy, już w kwietniu złożyła w sklepie internetowym zamówienie na tacki, kubki, sztućce. – Zrobiłam zapas na cały sezon. Grillujemy w rodzinnym ogrodzie działkowym, gdzie nie ma wody do zmywania, więc niezbędne są jednorazówki. Od kilku lat zamiast plastikowych kupuję te bardziej ekologiczne. Teraz miałoby się to zmarnować? – pyta. Pogłoskom o zakazie nie dała jednak wiary. – To nie zakaz, ale ograniczenie. Nie za bardzo wiadomo jakie. Tak czy siak w ostatni słoneczny weekend w naszym rodzinnym ogrodzie działkowym grille dymiły w wielu ogródkach.

OŚMIESZANIE WALKI ZE SMOGIEM

Źródłem zamieszania stały się mało konkretne informacje części samorządów o tym, że Główny Inspektorat Ochrony Środowiska (GIOŚ) ogłosił nie dzień, a cały „okres smogowy".

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 76b884c402

„Do końca roku nie będzie można używać kominków i dmuchaw do liści. Należy także ograniczać rozpalanie ognisk i grilli" – czytamy w jednym z takich samorządowych komunikatów.

Sprawa grilla na cenzurowanym dotyczy na razie mieszkańców Mazowsza. – Nie ma ogólnopolskich przepisów w tym zakresie. Regulacje w zakresie rozpalania grilli i ognisk mają charakter regionalny i zostały ustanowione przepisami programu ochrony powietrza (POP) przyjętymi przez Sejmik Województwa Mazowieckiego – tłumaczy Robert Kolk z GIOŚ. I podaje przykład Krakowa, gdzie zgodnie z obowiązującą uchwałą antysmogową zakazane jest np. używanie grilli murowanych.

Na Mazowszu na czarnej grillowej liście znalazły się warszawskie dzielnice: Wawer, Wesoła, Ochota, Włochy, Wola, Mokotów, Ursus, a także miasta: Radom, Ostrołęka, Siedlce oraz powiaty: piaseczyński, legionowski, wołomiński, otwocki, pruszkowski, warszawski zachodni i siedlecki. Niewykluczone, że będzie ich więcej, bo – jak zapowiada Robert Kolk – GIOŚ w najbliższych miesiącach będzie prowadził kolejne analizy co do przekroczenia poziomu docelowego dla benzo(a)pirenu w pyle zawieszonym PM10.

Kiedy GIOŚ informuje o przekroczeniach założonych poziomów szkodliwych substancji, samorządy podejmują działania ograniczające emisję. A w mazowieckim Programie Ochrony Powietrza wśród nich znalazło się poskromienie miłośników grilli i ognisk. – Ograniczenia w rozpalaniu grilli i ognisk zostały zapisane w mazowieckim Programie Ochrony Powietrza zapewne w dobrej wierze, ale naszym zdaniem to temat zastępczy – mówi Piotr Siergiej z Polskiego Alarmu Smogowego. – Faktem jest, że w Polsce mamy bardzo złą jakość powietrza, przekraczamy normy zanieczyszczeń, ale wpływ, jaki mają na to grille i ogniska, jest marginalny. Do wymiany mamy 3 mln kopciuchów na węgiel i drewno, powinniśmy ograniczyć ruch samochodowy. To są problemy do rozwiązania, o których powinniśmy rozmawiać, a nie grille i ogniska – mówi rzecznik Polskiego Alarmu Smogowego, dodając, że zalecenia dotycząc ograniczenia w grillowaniu tylko ośmieszają ideę walki ze smogiem.

Rzecznik Urzędu Marszałkowskiego Województwa Mazowieckiego Marta Milewska uspokaja: surowego zakazu nie ma. – Jest to rodzaj zalecenia, nie zakazu, dla mieszkańców do podjęcia działań, w tym przypadku do ograniczenia pewnych działań, które mogą mieć wpływ na jakość powietrza (w tym przypadku wpływ na jego pogorszenie).

Problem jednak pozostaje, bo „ograniczenie pewnych działań" to niezbyt ścisły termin. W mediach społecznościowych miłośnicy jedzenia z rusztu dopytują urzędników, czy ograniczenie oznacza, że grille można palić np. co drugi dzień, a może ograniczyć liczbę pieczonych kiełbas czy chociaż spalonego w grillu węgla.

Jaśniejszą odpowiedź dostajemy, dzwoniąc do urzędowej informacji jako rządni grilla mieszkańcy dzielnicy znajdującej się na czarnej grillowej liście. – Sugerujemy po prostu, żeby z grilla zrezygnować, jeśli rozpalać go pani nie musi – odpowiada urzędniczka. I dodaje, że straż miejska mandatu nam nie wlepi, ale przyjść i pouczyć już może.

Tyle że niepraktykowany u nas jeszcze dwie dekady temu grill dziś jest nie tylko w modzie. Stał się symbolem czasu wolnego. Przeciętny Polak już nie wyobraża sobie długiego weekendu czy wakacji bez grilla. On go po prostu rozpalić musi. – W ostatnich latach rozpowszechniło się budownictwo jednorodzinne z ogródkami. A ogródki mają służyć wypoczynkowi. Mało kto wykorzystuje je dziś do sadzenia warzyw, a nawet jeśli to robi, to raczej dla relaksu. Wzorce wypoczynku w ogródkach czerpiemy m.in. z filmów. A co widzimy np. w amerykańskich produkcjach? Mieszkańców przedmieść, którzy odpoczywają w ogródku przy grillu. To łatwo dostępny wzorzec, więc nic dziwnego, że po niego sięgamy. Grillowanie, rozumiane jako sposób wypoczywania, wiąże się z doświadczaną jakością życia, więc do niego dążymy – mówi dr Teresa Sikora, psycholog z Uniwersytetu Śląskiego. Nie kryje, że wszelkie próby zakazywania czy ograniczania swobody grillowania mogą przynieść skutek odwrotny do zamierzonego. – Wolność jest wartością, którą chcemy stosować także w życiu społecznym. Przywykliśmy do możliwości kreowania swojego sposobu życia i nie damy sobie tego odebrać. Zakazywanie grillowania tym, dla których jest ono sposobem wypoczywania, to nie najlepszy sposób. Bo, jak uczy teoria perspektywy, bardziej boli strata, niż cieszy zysk.

BANAN I BUNDZ

Grill przez ostatnie lata nie tylko pokochaliśmy miłością bezwarunkową. Remigiusz Rączka, kucharz, promotor kuchni śląskiej, autor programów kulinarnych TVP „Rączka gotuje" i „Klasztorne smaki", zwraca uwagę, że w grillowaniu się rozwinęliśmy. – Choć mięsni grillmani wciąż najczęściej na ruszt wrzucają kiełbasę, kaszankę czy karkówkę, to nierzadko pojawia się też drób w różnych postaciach, np. skrzydełka barbecue, a wśród koneserów także steki z sezonowanego mięsa wołowego, antrykot, rozbef, steki T-bone. Z kolei grillmani wege sięgają po paprykę, cukinię i inne warzywa, przygotowują szaszłyki w wersji wegetariańskiej i wegańskiej – wylicza Rączka. Sam zachęca do grillowania serów podpuszczkowych. – Świetnie smakuje nie tylko oscypek czy camembert z rusztu, lecz także bundz. A na deser polecam grillowane banany. I jak zawsze przypominam, by nie grillować od razu po rozpaleniu węgla, tylko poczekać na żar. Dzięki temu do potrawy nie przenikną szkodliwe substancje smoliste.

Miłośnicy jedzenia z rusztu do sezonu są dobrze przygotowani. Pandemia, przez którą restauratorzy wciąż liczą straty, dla biznesów związanych z grillowaniem była czasem rozkwitu. Sprzedawcy grilli i towarzyszących im gadżetów nie narzekali na brak nabywców. – Na naszą branżę pandemia wpłynęła bardzo pozytywnie. Zmuszeni do spędzania czasu we własnych ogródkach jeszcze bardziej zainteresowaliśmy się grillowaniem – mówi Tomasz Pieróg ze sklepu Grill Center. – W tej chwili dużym powodzeniem cieszą się grille gazowe. Jednak klienci wybierają je raczej ze względu na to, że są praktyczne, niż z troski o jakość powietrza.

Dymiący obiekt pożądania

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

Kino bandyckie

Piotr Gociek

Zło złem zwyciężaj, a nihilizm górą – oto nowe przesłanie Disneya w filmie „Cruella", prequelu żerującym na legendzie „101 dalmatyńczyków"

Co robił Bilbo, kiedy był mały? Czy smakowała mu pierwsza gruszeczka? Gdzie pan Tadeusz ustrzelił był pierwszą sarnę? Czy w wieku przedszkolnym Pan Samochodzik miał jakiś samochodzik? Nie wiem i nie chcę wiedzieć, nie mam takiej potrzeby, ale zdaje się, żem w mniejszości. Klątwa naszych czasów: nic nie ma początku ani końca. Nie tylko każdą historię można w dowolny sposób wydłużyć, lecz także każdej można dopisać wstęp.

W komiksach o superbohaterach takie wycieczki w przeszłość zwą się „origin story" – każdy ulubieniec czytelników musi prędzej czy później doczekać się podobnej opowieści: Jak zyskał swe moce, skąd się wziął, co z mamusią i tatusiem, czy aby w szkole się z niego nie śmiali? Dziś cała popkultura podąża tym śladem. Najlepiej wziąć na widelec autora, któremu zeszło się z tego świata na tyle dawno, że protestował czy wyciągał ręki po tantiemy nie będzie. Chociaż niekoniecznie – można takiego zabiegu dokonać samemu – patrz: George Lucas i cała osobna trylogia filmów dokręconych po to, by objaśnić, skąd wziął się Darth Vader i jak poczęto Leię i Luke'a Skywalkerów.

Lubimy piosenki, które już znamy, kibicujemy tym, których już raz pokochaliśmy, nie dziwił więc serial o młodym Indianie Jonesie, nie dziwił film o młodym Hanie Solo. Takie przedsięwzięcia, choć zwykle nie potrafią ustać na własnych nogach, choć świecą jedynie odbitym blaskiem oryginału, budzą zwykle nostalgię i sympatię u fanów. Pamiętam, jak za młodu z wypiekami na twarzy oglądałem w kinie film „Piramida strachu", bo za tym dziwacznym tytułem krył się „Young Sherlock Holmes". Nie zawsze jednak twórcom prequeli przyświecają cele tak oczywiste jak żerowanie na nostalgii. Problem zaczyna się, gdy okazują się rewizjonistami.

Rewizjonizm zwykle dotyczy czarnych charakterów i niesie próbę ich uczłowieczania. Mieliśmy więc dwa filmy z serii „Czarownica" („Maleficient"), w których Diabolina, znana z disnejowskiej „Śpiącej Królewny", okazuje się nie wcieleniem zła, lecz dobrą duszyczką o wielkim sercu, skrzywdzoną za młodu przez podłego samca. Powieść Gregory'ego Maguire'a „Wicked: Życie i czasy Złej Czarownicy z Zachodu" brała w obronę czarny charakter ze słynnej książki Franka L. Bauma „Czarnoksiężnik ze Szmaragdowego Grodu". Na podstawie „Wicked" powstał niezmiernie popularny musical, kroi się też wersja filmowa. Całkiem niedawno serial. Ryan Murphy „Ratched" czynił z demonicznej bohaterki „Lotu nad kukułczym gniazdem" Kena Keseya ofiarę nietolerancji, konserwatyzmu, męskiej polityki i samczej nienawiści. I tak dalej.

BAJKOWY SZTAFAŻ

Sprawa robi się poważna, bo nie chodzi już tylko o zwykłą (acz często ryzykowną) zabawę, lecz także o urządzanie świata wedle wskazań politycznej poprawności. Żeby być sprawiedliwym – prawa strona też sięga po bajkowy sztafaż, żeby zmuszać do myślenia, wspomnijmy choćby książeczkę Jamesa Finna Garnera, który szydził z nowych mód w znanym także w Polsce tomiku „Politycznie poprawne bajki na dobranoc". Zastosował w niej metodę reductio ad absurdum – przerabiał znane bajki tak, aby nie zawierały „odchyleń seksistowskich, rasistowskich, kulturowych, nacjonalistycznych, regionalnych, intelektualnych, socjoekonomicznych, etnocentrycznych, fallocentrycznych, heteropatriarchalistycznych", a na wszelki wypadek także „innych, jeszcze nienazwanych".

Gdzież tam jednak broszurce Garnera do hollywoodzkich hitów, jeśli chodzi o siłę rażenia! A tu sypią się pochwały i nagrody dla przedsięwzięć tak dziwacznych jak „Joker" Todda Phillipsa, zdobywca dwóch Oscarów, tyluż Złotych Globów oraz nagrody głównej na festiwalu w Wenecji. Reklamowana jako wgląd w dusze jednego z najbardziej odrażających bohaterów z uniwersum Batmana opowieść jest tak naprawdę lewacką propagandą usprawiedliwiającą potwora, który jest, jaki jest, z powodu wstrętnego społeczeństwa i odrażającej trumpopodobnej władzy. Domyślam się, że teraz, w czasach dobrego wujka Bidena, antytezy Trumpa, przestępczość w USA spadnie do zera, bo w raju nikt nie ma powodów, by schodzić na złą drogę.

Film „Cruella", który niedawno trafił na polskie ekrany, to jednak rzecz wyjątkowo niepokojąca nawet w świecie „Jokera" i „Ratched". Z trzech powodów: po pierwsze – skierowany do dzieci, po drugie – otwarcie wychwalający zło, po trzecie zachwycająco sprawnie zrobiony, zatem łatwo meblujący głowę wszystkim, którzy niczego się nie spodziewając, idą po prostu do kina na kolejną historię ze świata „101 dalmatyńczyków". Nie dziwię się więc, że redakcyjny kolega po piórze, Wiesław Chełminiak, obdarzył film pięcioma gwiazdkami – gdybyśmy mówili

eprasa.pl 76b884c402

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

tylko o tym: „Jak?", pewnie bym się zgodził. Ale jest jeszcze kwestia: „Po co?" oraz „Co z tego wynika?". I tu wkraczamy na bagna.

„Po co?". Oczywiście, żeby bezwstydnie zmonetyzować kolejny klasyczny tytuł: „101 dalmatyńczyków", według powieści brytyjskiej pisarki Dodie Smith, stanowi podstawę dwóch udanych hitów Disneya – filmu animowanego z roku 1961 oraz wersji aktorskiej z roku 1996 (innych produktów ubocznych nie licząc). O ile tamte przedsięwzięcia wierne były przesłaniu klasycznej książeczki, o tyle „Cruella" stawia wszystko na głowie, wykraczając daleko poza ramy modnych w ostatnich czasach usprawiedliwiających „origin stories" dla łotrów.

Zanim do sedna, dwa słowa o samym filmie: reżyser Craig Gillespie, znany choćby z tak udanych przedsięwzięć jak „Jestem najlepsza. Ja, Tonya", studiował grafikę, pracował w reklamie, ma świetne oko do kolorów i olbrzymią wrażliwość wizualną; wszystko to widać w filmie „Cruella", który jest pod tym względem oszałamiający. Tak być musiało, skoro opowieść toczy się w świecie projektantek mody. Musiało, ale nie każdemu wyszło, Gillespie sprawił natomiast, że „Diabeł ubiera się u Prady" wygląda przy „Cruelli" jak amatorski filmik ubogiego daltonisty. Montaż, muzyka, kostiumy, scenografia – nie zdziwią mnie przynajmniej dwie, trzy oscarowe nominacje. Obsada? Trafiona perfekcyjnie. Emma Stone jako Cruella, Emma Thompson w roli zimnej, okrutnej królowej świata mody przedstawionej nam jedynie jako Baronessa.

Jak przystało na „origin story", przyszłą miłośniczkę obdzierania dalmatyńczyków ze skóry i przerabiania ich futer na płaszcze poznajemy w chwili narodzin. Przyszła na świat ze skazą: z włosami w połowie czarnymi, w połowie białymi. Czyni to z niej obiekt szyderstw w szkole, a nawet w szkołach, te bowiem trzeba zmieniać nieustannie, bo mała Estella (jeszcze nie Cruella de Mon) pięściami próbuje sobie wywalczyć respekt. Jeszcze trudniej przyjdzie jej żyć na londyńskim bruku – jak do tego doszło, zdradzał nie będę – gdzie historia jej życia zamienia się we współczesną wariację „Olivera Twista". Tyle że zamiast zostać ofiarą i podwładną sprytnego Fagina, Estella zakumpluje się z dwójką sprytnych łapserdaków, od małego wykazujących wielkie umiejętności w złodziejskim fachu. Czas płynie, Estella dorasta, ale nie rezygnuje ze swego marzenia: chciałaby zrobić karierę jako projektantka mody. Na staż trafi właśnie do Baronessy, czyli niekoronowanej królowej Londynu. Nauka zamieni się w rywalizację, rywalizacja w śmiertelną nienawiść, a barwny łotrzykowski prequel w nieledwie horror.

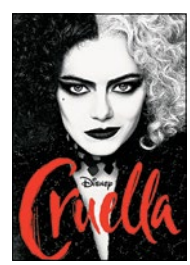

KOLOROWA ZASŁONA DYMNA

Domyślacie się, kto okaże się ostatecznie okrutniejszy i dzięki temu zwycięski – wszak jest to opowieść o tym, jak Estella zamieniła się w Cruellę. I tu docieramy do sedna problemu. Rywalizacja przyszłej bohaterki negatywnej „101 dalmatyńczyków" oraz jej modowej nemezis jest spektakularna i obie panie grają nie fair. Czy mamy jednak jakikolwiek powód, by młodej pretendentce kibicować bardziej niż starej sekutnicy? Otóż nie: obie są siebie warte. Co więcej, pamiętając, że widzimy w akcji przyszłą przerażającą pannę de Mon, nie możemy zainwestować ani na chwilę w jej triumf czy chwilową przemianę, bo wiemy, że przemiany ostatecznie nie będzie, a i triumf niesie w przyszłości same ponure rzeczy, bo mamy przecież w głowach ikoniczny film i książkę. Może zatem chociaż chwilowe zawieszenie sceptycyzmu, bo nasze serca zostaną poruszone krzywdą, jakiej doznała małoletnia Estella? Skrzywdzona została, owszem, ale i sama krzywdziła.

W dodatku to nie tak, że przyszła na świat niewinna i pełna ciepła oraz dobra, a potem ją wrogi świat zepsuł. Wprost w pewnym momencie słyszymy z ust bohaterki, że jest, jaka jest, i nic na to nie poradzi. To nie jest historia ofiary społeczeństwa i niesprzyjających okoliczności, to nie jest rozważanie na temat tego, czy geniusz zawsze wiąże się z szaleństwem. Przesłanie filmu „Cruella" jest następujące: zło zostaje nagrodzone, zło złem zwyciężaj, zło przychodzi na świat i czyni ten świat bardziej złym (co z tego, że pięknym) miejscem, a ty, frajerze przed ekranem, temu złu kibicuj. Cała reszta to kolorowa zasłona dymna, to bezwstydne żerowanie na szlachetnym oryginale. Wszystko to, szanowni państwo, w kinach z polskim dubbingiem, żeby nawet sześciolatek mógł zrozumieć lekcję Cruelli. Ja wysiadam i gorąco pozostałych do tego namawiam. Omijajcie z daleka film, który nigdy nie powinien powstać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Prawo pięści

★★★★☆

REŻ. GUY RITCHIE
„JEDEN GNIEWNY CZŁOWIEK" („WRATH OF MAN")
WIELKA BRYTANIA 2021

wyst. Jason Statham, Holt McCallany, Josh Hartnett

Guy Ritchie przypomina, że jego żywiołem jest kino akcji. Po przezabawnych „Dżentelmenach" teraz proponuje czystą zabawę konwencją, kino zemsty inspirowane francuskim filmem kryminalnym „Konwojent" (2004) Nicolasa Boukhriefa.

Francuski oryginał był filmem skromnym i z mocnym komentarzem społecznym, konwojenci furgonetek przewożących pieniądze pracowali dla podrzędnej firmy, zarabiali psie pieniądze, dorabiali handlem haszyszem i mieli maniery ochroniarzy z Tesco. U Ritchiego akcja przenosi się do Los Angeles, wszystko jest większe, bardziej luksusowe i efektowne, stawką są nie tysiące euro, lecz setki milionów dolarów, a siedziba korporacji transportowej wygląda niemal jak tajna baza Avengersów. W centrum pozostaje ta sama zagadka: Po co milczący osobnik bez doświadczenia w branży zatrudnia się, by konwojować pieniądze? Jaki związek ma to z niedawną serią napadów i kradzieży przewożonych pieniędzy?

Ritchie nie byłby sobą, gdyby nie zapakował do filmu kilku warstw intryg snutych zarówno przez zorganizowany świat przestępczy, jak i stróżów prawa. Sekwencje akcji są znakomite, a obsadzony w roli głównej ponurak Jason Statham pasuje do niej jak ulał. Bez trudu wierzymy, że to gość, który by osiągnąć cel, nie cofnie się przed niczym i nic go nie powstrzyma, nawet jeśli wystąpią przeciw niemu całe piekło i wszyscy szatani. W swojej nieustępliwości i enigmatyczności przypomina Lee Marvina z klasycznego „Zbiega z Alcatraz" Johna Boormana, choć oczywiście można by wskazać wiele innych inspiracji, w końcu kino zemsty dorobiło się swego osobnego, obszernego kanonu.

Mogłoby się więc wydawać, że to jeden z tych filmów, w których szybko się okazuje, że sposób opowiadania historii jest dużo ważniejszy od samej fabuły, ale Guy Ritchie nie tylko barwnie opowiada, lecz także ładnie komplikuje zasadniczo dość prostą intrygę. Bohater filmu Boukhriefa stał nad grobem i zemsta była jego ostatnim zadaniem przed śmiercią. Twardziel z filmu Ritchiego zapewne wróci za jakiś czas na ekrany, bo „Jeden gniewny człowiek" ma w sobie potencjał na równie brutalne ciągi dalsze, tak jak się stało z innymi filmami ze Stathamem: „Transporterem" czy „Adrenaliną". ©℗

NOWE SERIALE: „LUPIN"

Assane Diop, współczesny naśladowca Arsène'a Lupina, powraca. W finale pierwszej serii charyzmatyczny Omar Sy odkrył, że z tropiciela zamienił się w zwierzynę, a ludzie, którzy przed laty skrzywdzili jego rodzinę, teraz wzięli na cel małoletniego syna Diopa. Czy policja ścigająca dżentelmena włamywacza odkryje, że jego wróg jest też wrogiem prawa? I pytanie do widzów: Czy wychwycą, które elementy z oryginalnych opowiadań Maurice'a Leblanca sprzed stu lat zostały tym razem użyte w jednym z najlepszych seriali roku? ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***seria 2 „Lupin", Francja 2021, wyst. Omar Sy, Vincent Londez, Ludivine Sagnier***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. James D'Arcy* ***„Włoskie wakacje" („Made in Italy"),*** *Wielka Brytania 2020* HBO GO
- *reż. Giuseppe Capotondi* ***„Obraz pożądania" („The Burnt Orange Heresy"),*** *Wielka Brytania 2019* CINEMAN
- *serial dokumentalny* ***„Reaganowie" („Reagans"),*** *USA 2021, dokument* CANAL+

eprasa.pl 76b884c402

Skarb Lewenfiszów

Trzy pogrzeby i chrzest. Rzecz dzieje się wszędzie i nigdzie, czyli na polsko-sowieckim pograniczu mniej więcej 90 lat temu. W miasteczku wyglądającym jak galicyjski sztetl rządzi przemytniczy gang dowodzony przez Różę Lewenfisz, która ma dwie, równie ambitne, siostry. Nad filmem unoszą się duchy Witkacego i Sergiusza Piaseckiego. Trudno o lepszych patronów, ale Bochniak nie wyciągnął wniosków z klapy „Disco polo". Wciąż go ciągnie w stronę pastiszu. Nagromadzenie manieryzmów – od Borysa Szyca małpującego Marlenę Dietrich zaczynając, a na wątku braci syjamskich kończąc – przechodzi ludzkie pojęcie. Wrażenie sztuczności pogłębia soundtrack, w którym znalazło się miejsce na „Katiuszę", przebój z festiwalu w San Remo i kompozycje Jana A.P. Kaczmarka będące hołdem dla Ennia Morricone.

Krytycy stosują wobec takich dziwolągów taryfę ulgową, gdyż mogą popisać się erudycją. Groteska jednak źle się nad Wisłą sprzedaje (o czym przekonał się już Marcin Krzyształowicz). „Magnezja" dostarcza argumentów tym, którzy twierdzą, że polskiemu kinu na gwałt potrzeba producentów, którzy potrafiliby ściągnąć cugle reżyserom obdarzonym galopującą wyobraźnią tudzież pociągiem do obleśnych dowcipów i odzywek w rodzaju: „Musimy dotrzeć do sensu istnienia". Macieju Bochniaku, nie idź dalej tą drogą. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆

REŻ. MACIEJ BOCHNIAK
„MAGNEZJA"
POLSKA 2020

wyst. Mateusz Kościukiewicz, Dawid Ogrodnik, Maja Ostaszewska, Małgorzata Gorol

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CZŁOWIEK Z POPCORNU

★★★☆☆☆

REŻ. CLELIA COHEN, ANTOINE COURSAT
„INDIANA JONES I ZAGINIONA SAGA"
(„INDIANA JONES À LA RECHERCHE DE L'AGE D'OR PERDOU")
FRANCJA 2020

Najbardziej przerażająca wiadomość roku: ruszyły zdjęcia do piątego filmu o przygodach Indiany Jonesa. Francuzi tego nie przewidzieli, chcieli jedynie uczcić 40. rocznicę premiery „Poszukiwaczy zaginionej Arki". Formalnie archeolog awanturnik urodził się w 1977 r. na hawajskiej plaży, gdzie George Lucas i Steven Spielberg wspólnie spędzali urlop. Faktycznie jest reliktem lat 30. XX w., gdy na ekranach królowały fabuły, pozwalające zapomnieć o gospodarczym i politycznym kryzysie. Twórcy dokumentu kłaniają się w pas cudownym dzieciom Hollywood. Nazywają ich geniuszami w „docieraniu do mas". Chwalą nawet nieudaną część czwartą: za odejście od mizoginii. Łyżką dziegciu jest oskarżenie Spielberga i Lucasa o komercjalizację kina i propagowanie imperializmu. Bat, kapelusz i podniszczona skórzana kurtka: oto nowe szaty Wuja Sama.

CHOPIN TEŻ BY PIŁ

★★★★☆☆

REŻ. THOMAS VINTERBERG
„NA RAUSZU"
(„DRUK")
DANIA 2020

wyst. Mads Mikkelsen, Thomas Bo Larsen, Magnus Millang, Lars Ranthe

Mads Mikkelsen jako skapcaniały belfer? Tego jeszcze nie grali. Jakby tego było mało, duński twardziel płacze i tańczy z werwą godną młodego Travolty. Na trzeźwo by się nie odważył, ale poświęca się dla nauki. Z trzema kolegami, którzy również stracili apetyt na życie, sprawdza w praktyce teorię norweskiego filozofa, mówiącą, że człowiek rodzi się z niedoborem alkoholu we krwi. Terapia daje rewelacyjne efekty, muszkieterowie z Kopenhagi odzyskują wigor, wenę i optymizm. Owszem, z czasem eksperyment wymknie się spod kontroli i pojawią się przykre skutki uboczne, lecz film Vinterberga do spożywania alkoholu raczej nie zniechęca. Kłopot w tym, że fabuła jest przewidywalna jak kac po przepijaniu wódki winem, piwem i szampanem. A przecież już starożytni Rzymianie ostrzegali: „Primum non turbare". ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

GRA TYGODNIA: „SNIPER GHOST WARRIOR CONTRACTS 2"

Najnowsza gra polskiego studia CI Games to udana odsłona snajperskiego cyklu, zgrabnie łącząca zimnokrwiste likwidowanie celów oddalonych od lunety o kilometr z elementami skradankowymi. Nasz karabin tym razem potrzebny jest na Bliskim Wschodzie, gdzie musimy zająć się ważnymi figurami reżimu zarządzającego fikcyjnym państewkiem. Fabuła nie jest najmocniejszą stroną gry, ale do największych wad też trudno ją zaliczyć. Za tę uznać można niskie AI wrogów. Na plus oprawa wizualna i świetnie zaprojektowane mapy.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Kolejna solidna polska produkcja! ©℗ ***Radosław Wojtas***

Gatunek: *taktyczna strzelanka, FPP*
Platforma: *PC, XONE, XSX, PS4, PS5 (niebawem)*
Producent, dystrybutor: *CI Games, City Interactive*

eprasa.pl 76b884c402

MOJA PÓŁKA

Trudna polskość Bacewiczów

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Po książkach poświęconych ostatnim latom polskiego Lwowa, Wilna i Kresów mocno związana z naszą redakcją spółka autorska Sławomir Koper i Tomasz Stańczyk kolejny tom poświęciła Kresom najdalszym, czyli tym obszarom, które po traktacie ryskim znalazły się poza granicami Rzeczypospolitej, a przecież znajdowały się na nich liczne skupiska ludności polskiej. Nie wnikając w szczegóły, autorzy opowiadają o ludziach i wydarzeniach dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, zapowiadając już piąty tom ze swego kresowego cyklu „Północne polskie Kresy. Inflanty i Żmudź".

Z „Najdalszych Kresów" czytelnicy dowiadują się m.in. o wyprawie kijowskiej Piłsudskiego, polskim Kijowie i polskiej Odessie, o wojennych perypetiach naszych gwiazd, o Tamarze Łempickiej i Ninie Andrycz, Stefanie Jaraczu i Juliuszu Osterwie, a także o świetnym malarzu i muzyku Mikalojusie Čiurlionisie oraz znakomitej kompozytorce i skrzypaczce Grażynie Bacewicz. A że akurat skończyłem lekturę książki wnuczki tej ostatniej, Joanny Sendłak, zatytułowanej „Ostinato. Wojenne dni Grażyny Bacewicz", z tym większym zainteresowaniem przeczytałem teraz napisany przez Sławomira Kopra rozdział o skomplikowanych dziejach rodzinnych polskiej artystki, która mogła być Litwinką.

„Dziwnym zrządzeniem losu – pisze Koper – niektórzy z naszych wybitnych muzyków XX stulecia to Polacy z wyboru. Paweł Kochański był potomkiem rosyjskich Żydów z Odessy, a Grzegorz Fitelberg – synem muzyka wojskowego z Łotwy. Kropli polskiej krwi nie miała również w żyłach Anna German, natomiast Grażyna Bacewicz pochodziła z mieszanej rodziny. Jej ojciec był zajadłym litewskim nacjonalistą i niewiele brakowało, by osiągnięciami tej znakomitej skrzypaczki i kompozytorki szczycili się teraz jego rodacy".

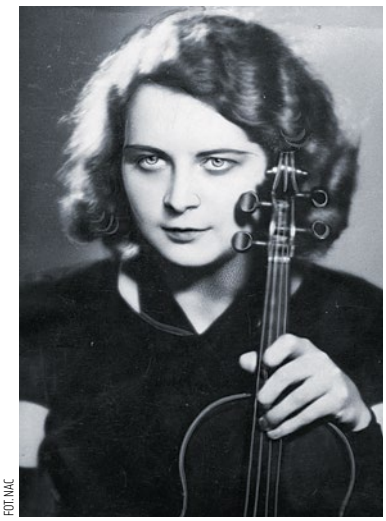

FOT. NAC

Z czworga dzieci Vincasa Bacevičiusa i Marii z Modlińskich tylko drugi syn, Vytautas (Witold), został Litwinem. Wraz z bratem, Kiejstutem, opuścił Polskę, dołączając do ojca, który przedłożył ojczyznę nad rodzinę i osiadł w Kownie, chcąc sprowadzić tam całą rodzinę. Spotkał się jednak ze zdecydowanym oporem małżonki. Kiejstut w 1935 r. powrócił do Polski, gdzie przeżył okupację niemiecką, a po wojnie był przez 12 lat rektorem łódzkiej Akademii Muzycznej, noszącej dziś imię Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów. Vytautas rozwinął w Kownie działalność muzyczną, a w 1939 r. wyjechał na koncerty do Ameryki Południowej, gdzie zastał go wybuch wojny. Stamtąd udał się do Stanów Zjednoczonych, wybierając żywot emigranta, bo o tym, by dobrowolnie stać się obywatelem sowieckim, nie chciał słyszeć. Sęk w tym, że miał ogromne kłopoty z uzyskaniem obywatelstwa amerykańskiego, co zwiększało jego frustrację, gdyż nie mógł otrzymać odpowiedniej pracy, nie potrafił też się przebić na tamtejszym rynku muzycznym. Po latach rozważał nawet możliwość powrotu do Polski i w liście do siostry pisał: „... nie chciałbym przyjechać jako Litwin [...], lecz jako Polak, Witold Bacewicz, pozostawiając tę sprawę otwartą (kto chce, może mieć mnie za Litwina i vice versa). Mnie na tym wcale nie zależy, bo niestety narodowość w ogóle żadnej roli w moim życiu nie odgrywa. [...] Jakiej jestem narodowości? Bardzo proste! Jestem narodowości muzycznej. A jakiej rasy? Rasy atonalnej. I to wszystko".

To jednak nie było wcale takie proste. Vytautas Bacewicz zmarł w Nowym Jorku w 1970 r., rok po śmierci swojej siostry Grażyny. Kiejstut zmarł w 1993 r., a najmłodsza z rodzeństwa, Wanda, poetka i pisarka, w roku 2011, w wieku 97 lat. To ona w powieści „Ostinato" na uwagę Grażyny, która komentując udział muzyków w występach orkiestry kolaborującego z Niemcami Adama Dołżyckiego (zmarł w 1972 r. w Bawarii), powiedziała, że „po prostu chcą przetrwać", odrzekła ponoć: „Ja nie potrafię żyć bez wartości, w świecie, w którym zło stało się oczywiste".

„Ostinato" jest jeszcze jedną ciekawą kroniką z okupowanej Warszawy, o codziennym dniu tego miasta i bohaterskim zrywie powstańców w sierpniu 1944 r., jak również opisem zachowań środowiska artystycznego, zwłaszcza muzycznego. Przewijają się w książce takie postaci jak Stefan Kisielewski, Witold Lutosławski, Andrzej Panufnik czy Władysław Szpilman.

A co się stało z Vincasem Bacevičiusem, ojcem Grażyny i Wandy, Kiejstuta i Vytautasa? Zmarł w Kownie w 1952 r., prowadził chóry i orkiestry, pisał podręczniki, komponował. „Do końca życia pozostał na Litwie. Nigdy nie zmienił swoich poglądów" – powiada Sławomir Koper. ©℗

★★★★★★

SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK „NAJDALSZE KRESY. OSTATNIE POLSKIE LATA" FRONDA, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 76b884c402

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Sekrety wulkanu

Dubravka Ugrešić sama siebie określa jako wdowę po Jugosławii. Ja jestem półsierotą po Jugosławii" – pisze Dominika Ćosić. W jej książeczce kryją się trzy książki. Pierwsza: wspomnienie smaku brzoskwiń, historia rodzinnej pamiątki, którą zabrało morze, a po latach w tym samym miejscu zwróciło; opowieść o babci, ideowej komunistce, która na chrzcie wnuczki nie była, bo do kościoła nawet nie wchodziła, ale mawiała, że każdy musi w coś wierzyć: jedni w Boga, inni w Titę.

Tito okazał się bogiem fałszywym, a jego dziedzictwo zatrute. Siłą rzeczy jest więc „Balkan Express" także opowieścią o polityce, poczynając od sekretów schyłkowej Jugosławii, a kończąc na ogłoszeniu niepodległości przez Kosowo, oraz na absurdalnie nieistotnym wydarzeniu, którym był w Zagrzebiu wybór Tuska na szefa Europejskiej Partii Ludowej. Niektóre z tych sekretów to sekrety rodzinne: ojciec autorki przez całe życie opowiadał, że współpracuje z jugosłowiańską telewizją, tak naprawdę pracował w tajnym instytucie rakietowym. – Dowiedziałam się na pogrzebie – wspomina Dominika.

Prawda o reżimie Tity i jego zbrodniach wychodziła na jaw jeszcze wolniej, ale procesy i urazy wstrzymane jego żelazną ręką oraz trwającym kilka dekad snem o wspólnocie jugosłowiańskiej wybuchły potem ze zdwojoną siłą. „Balkan Express" to nie jest książka o wojnach z terenu byłej Jugosławii, lecz bez wątpienia jest to rzecz o skutkach tych wojen, i nie chodzi jedynie o zabitych, rannych, okaleczonych. W tym miejscu Europy doszło do procesu, którego natura wymyka się wciąż próbom rzeczowej i pełnej analizy politycznej; w ramach tego procesu zmieniały się mentalność, religijność, nawet język (świetny jest u Ćosić kawałek o wymyślaniu neologizmów przedstawianych potem jako „rdzennie chorwackie"). Wszystko to zaszło w piorunującym tempie i jeśli miałbym wskazać przyczynę, dla której bałkańska lekcja wzbudza lęk u tak wielu, to chyba właśnie z tego powodu: wszystko to wydarzyło się nagle, szybko, a węzeł gordyjski wcale przecięty nie został, najwyżej chwilowo spuszczono z bałkańskiego kotła nieco pary. Czyżby to oznaczało, że wszyscy żyjemy na podobnych wulkanach, że nasze poczucie bezpieczeństwa jest złudne?

Wreszcie trzecia warstwa „Balkan Express" – morze anegdot i obserwacji z licznych podróży po byłej Jugosławii, smutnych i wesołych, wzruszających i przerażających. Zalecam czytanie po kawałku, po jednym rozdziale, by w gęstej narracji nic wam nie umknęło. ©℗

★★★★☆☆
DOMINIKA ĆOSIĆ „BALKAN EXPRESS" OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wznowienie powieści uznawanej za biblię indywidualizmu: rzecz o walce wybitnych jednostek przeciw narastającej kontroli ze strony państwa. Wraz ze „Źródłem" oraz „Hymnem" kanon twórczości autorki filozofii obiektywizmu.

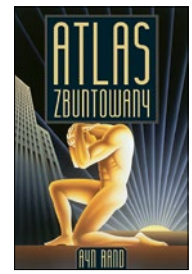

AYN RAND „ATLAS ZBUNTOWANY" ZYSK I S-KA

W czasach rewolucji francuskiej najpierw kat Lyonu i gorliwy sojusznik Robespierre'a, potem omal niezgładzony na rozkaz tego ostatniego. Za Napoleona wszechmocny szef policji. Postać tyleż ponura, co intrygująca.

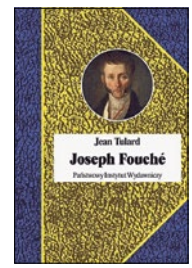

JEAN TULARD „JOSEPH FOUCHÉ" PIW

Brak postępu w niektórych dziedzinach wynika z nieumiejętności wyciągania wniosków z porażek – pisze publicysta „The Times". Analizując metody używane już przez potężne firmy, podpowiada, jak szeroko można je stosować.

MATTHEW SYED „METODA CZARNEJ SKRZYNKI" INSIGNIS

Kolejna publikacja niezmordowanego fotografika, który ocala i porządkuje obrazy polskiej pamięci. Oprócz fantastycznych – jak zwykle – zdjęć, także krótkie teksty Czesława Ryszki o powstaniu, dziejach i roli sanktuariów.

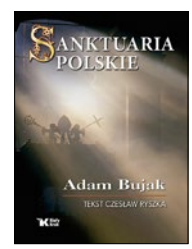

ADAM BUJAK „SANKTUARIA POLSKIE" BIAŁY KRUK

KOMIKS TYGODNIA: „BAZYLISZKI"

Weteran wojny z bolszewikami żyjący z własnego wyboru na marginesie społeczeństwa przedwojennej Warszawy. Gang tajemniczych bandytów trzęsących miastem. Przyszły prezydent stolicy Stefan Starzyński, na razie ceniony finansista. Jedyny czarnoskóry taksówkarz w Warszawie. Piękne, bogate i zepsute kobiety. Pierwszy tom nowej serii komiksowej firmowanej przez Muzeum Powstania Warszawskiego i Egmont to prawdziwa „Warszawa noir", ale jednocześnie opowieść o nadchodzącym skoku cywilizacyjnym lat 30. XX w. Niecierpliwie czekam na kolejne tomy. ©℗

TOBIASZ PIĄTKOWSKI, WIESŁAW SKUPNIEWICZ „BAZYLISZKI", TOM 1 EGMONT 2021

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 76b884c402

Zabawa w dom

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Paulinę i Piotra połączył busking, czyli występy uliczne, które szybko przerodziły się we wspólne granie koncertów, wspólne tworzenie, w końcu – wspólne życie, od roku 2018 już jako małżeństwo. Pierwsze kompozycje sygnowali jako Our House By The Lake, wydając w roku swego ślubu „inspirowaną minimalizmem, przestrzenią, naturą i brzmieniami akustycznymi" epkę „Almost There". „Zaraz po ślubie – pisze duet na jednym z portali crowdfundingowych – zaszyliśmy się w domowych pieleszach i stworzyliśmy kompozycje w języku polskim. Demo postanowiliśmy wysłać do Marcina Borsa, odpowiedzialnego za albumy takich artystów, jak: Hey, Lao Che, Katarzyna Nosowska, Krzysztof Zalewski czy Mrozu. Jest to jeden z czołowych producentów polskiej sceny muzycznej, którego pracę podziwiamy, a albumy, które wyszły spod jego ręki, są naszą wielką inspiracją".

Współpraca rozpoczęła się w wakacje 2019 r., kolejny rok miał przynieść płytę, koncerty ją promujące i początek działalności pod szyldem LENDA/KOZUB. Co przyniósł rok 2020 i jakie niosło to konsekwencje dla branży artystycznej, przypominać nie trzeba, plany Pauliny Lendy-Kozub i Piotra Kozuba także musiały zostać odłożone. Zaczęły materializować się najpierw wiosną tego roku w postaci premiery pierwszego singla pt. „Bałamutka", a ostatnio premierą epki „Zabawa w dom", na którą składa się pięć synth-popowych, zaśpiewanych po polsku utworów. Wokal w tym duecie jest po stronie Pauliny, która jest także autorką tekstów i muzyki. Jej mąż to również autor muzyki i tekstów, a do tego producent i multiinstrumentalista. W kawalerskich latach lider duetu Manfredi & Johnson, z którym w 2017 r. nagrał płytę „Bright & Brave". ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Jazz taty

Córka mistrza, Kasia Wodecka-Stubbs, wyszukała w archiwach Polskiego Radia jazzujące utwory skomponowane i nagrane przez ojca w latach 70. i zainteresowała nimi jazzmanów.

Album otwiera piosenka „Fantazja", którą w 1978 r. Zbigniew Wodecki nagrał z orkiestrą PRiTV pod batutą Andrzeja Trzaskowskiego. Wokalista część utworu śpiewa scatem i jak zwykle zachwyca. Więcej jazzu jest w fantastycznej kompozycji Włodzimierza Nahornego do tekstu Wojciecha Młynarskiego „Dzielę z tobą dzień we dwoje". Wodecki nie tylko śpiewa, lecz także gra z sercem na skrzypcach. Prawdziwą muzyczną wolność znajdziemy w „Wariacjach na temat tańców rumuńskich", gdzie krakowianin prowadzi scatem dialog z orkiestrą symfoniczną.

Drugą kategorię stanowią kompozycje, w których mistrz pojawia się jako wokalista lub instrumentalista, ale są to nagrania zrealizowane na nowo. Porywająco wypadają „Etiuda na głos i skrzypce" i tytułowe „Dialogi", do których nowe aranżacje stworzył Leszek Możdżer. Podobną drogą i z podobnym efektem poszedł pianista Michał Tokaj w „Etiudzie na big band i skrzypce".

Do trzeciej grupy należą nowe wersje kompozycji bohatera płyty, które nagrali Henryk Miśkiewicz, Michał Tokaj i Marek Napiórkowski. To przyjemne wypełniacze. Nie wadzą, ale i nie porywają. Godny hołd dla wielkiego muzyka i człowieka, którego czwartą rocznicę śmierci obchodziliśmy niedawno. ©℗

★★★★★☆

RÓŻNI WYKONAWCY „WODECKI JAZZ '70 DIALOGI" TWIST ON PRODUCTION

★★★★☆☆

RÓŻNI WYKONAWCY „ECHO WIELKIEJ PŁYTY" THE VERY POLISH CUT-OUTS

Czekoladopodobne nagrania elektroniczne z lat 1982–1987 nagrane do programów TVP i ćwiczeń antystresowych. Stworzyli je wykształceni muzycy (Mikołaj Hertel) i weterani sceny rockowej i jazzowej (Andrzej Mikołajczak, Stefan Sendecki, Krzysztof Duda, Wojciech Jagielski).

★★★★★☆

ST. VINCENT „DADDY'S HOME" LOMA VISTA

Inspiracją dla albumu był powrót z więzienia ojca skazanego za malwersacje rynkowe. Annie Clark śpiewa o ciemnych stronach moralności i przegląda płytotekę taty. Czerpiąc z dźwięków lat 70. (Bowie, Pink Floyd, Sheena Easton), nagrała poruszającą płytę z pięknymi melodiami. ©℗

eprasa.pl 76b884c402

FOT. ADOBE STOCK

Krzysztof Masłoń

Paint It Black

Fajny serial wczoraj widziałem.
Momenty były?

Masz... Żadnych. Ale za to ile scen mrożących krew w żyłach! Wyobraź sobie, że w Uroczysku sołtysa namawiają do zamknięcia sklepu monopolowego!
Nie może być. Taka prohibicja to gorsza od pandemii. I to w Polsce takie rzeczy się dzieją? Nie w Ameryce?

W Polsce mamy teraz drugą Amerykę. Japonia nam nie wyszła, ale Stany jak najbardziej.
No i w pytę! Muniek śpiewał: „Stany, Stany, fajowa jazda" czy jakoś w podobie.

Pamiętasz? „Każdy ma gana. Jest zawodowo"... U nas jednak nie każdy, gangsterzy tam lepsi.
My też mamy niezgorszych. Z Czeczenii na przykład. I włoski import, prawie jak w „Ojcu chrzestnym". W tym serialu taki jeden Fabio się pojawił, prosto z Italii. Matka Czarnej go przywiozła z Sycylii czy innej Toskanii.

I czarni tam są? Co to za serial?
„Święty".

A to widziałem, widziałem. Bardzo lubiłem Rodżera Mura.
To nie ten „Święty"! Ten jest z polsatowego tefałcztery.

O, to bardzo ambitna telewizja. Moja stara zaliczyła tam jednego dnia 13 seriali, nie licząc reality show i produkcji paradokumentalnych. A te ostatnie bardzo lubię, takie życiowe, trudne sprawy. Nie wiesz może, jak się do nich załapać? Tam grają tacy aktorzy, że przy nich ja ze szwagrem możemy robić za Leonarda...
A właśnie, o nim też jest serial.

O di kaprio?
Nie, o da vinczim.

A to nie znam.
Nie szkodzi, to taki gej nie gej, uważasz, który namalował „Damę z łasiczką".

To mów od zaraz! Na tefałenie widziałem film o tym, jak kradli ten, podobnież bardzo drogi, obraz. Więckiewicz go jumał.
Więckiewicz? A nie Tom Hanks, co kupił „malucha", taki miał, skubany, kaprys.

To ja już nic nie rozumiem.
Nie bierz do głowy. Ja ci chcę powiedzieć, że w tym nowym serialu na kanale z plusem Leonardo nic, tylko maluje i sodomię uprawia.

Z łasiczką?
Daj mi spokój, może z łasiczką, może z gronostajem. Tak czy inaczej, raczej zbok z niego, choć trzeba przyznać, że życie miał niełatwe, bo tatuś za nim nie przepadał, jako że z nieprawego łoża był. A w serialu mamy jeszcze zagadkę kryminalną niczym w „Ojcu Mateuszu". Dużo się dzieje.

Bardzo lubię takie historyczne seriale. Człowiek się dużo dowie, a i do śmiechu jest, i dobrze się kończą, prawie jak „Czterej pancerni".
Teraz przed nami trzy miesiące powtórek, to i Janka Kosa z Marusią i Szarikiem przypomną nam na pewno.

Już chodzą na tefałpehistorii. Z uczonym komentarzem, nudnawym trochę, więc ja biorę wtedy pilota i przełączam się, na ten przykład, by zobaczyć, co się dzieje „Na Wspólnej".
I co się dzieje?

W zasadzie tyle co w „Klanie", czyli nic, ale Brzozowski pojechał do Gdańska, żeby sprawdzić, czy Kinga żyje.
Rafał??? W tefałenie?!

Boże, nie Rafał, inny Brzozowski. Rafał przymierza się do trenerskiego fotela w „The Voice of Poland".
To znakomicie. Jak człowiek obejrzy jeden po drugim odcinek „Jaka to melodia", a ostatnio nadają je podwójnie w myśl przysłowia: „Nieszczęścia chodzą parami", to trudno się rozstać z ulubieńcem wszystkich babć, teściowych, wujenek i stryjenek. Rafał tylko z Przemkiem Babiarzem i Maciejem Kurzajewskim może konkurować, no i z Idą Nowakowską, bo to też wyjątkowo zdolna osoba. Do wszystkiego. Karolek Strasburger mógłby ich wprawdzie zapędzić w kozi róg, ale lata nie te i dlatego musi nosić poroże na głowie w „Na dobre i na złe".

I na co mu przyszło! A tak pięknie chodził po drogach polskich i greckich, a i do wody właził, zrywając nenufary. Były czasy!
Nie narzekaj. Teraz mamy polskość i światowość w jednym. Taki to „Rodzinny interes", w którym na nowo urządza się warsztat pod wpływem feng shui.

A co to takiego?
Nie wiem, ale się domyślam. Nie mam jednak pojęcia, na czym polega wstrząs anafilaktyczny, i dlatego, niestety, nie zrozumiałem jednej części „Komisarza Alexa".

No i widzisz sam, tamte stare seriale oglądało się lepiej, bo rozumieć i tak nie było czego, a jak się obejrzało film sto razy, to i zaczynał się podobać. Dlatego wciąż uważam, że najwybitniejszą kinematografią na świecie, może po radzieckiej, jest nasza. Bo Amerykanie to tylko się sadzą. Zgadzam się, że mają niezłe pozycje...
Ha, ha, każda jej pozycja to propozycja.

Pewnie. Ale w poważniejszych sprawach to oni leżą. Muniek łebski gość, ale jak o Stanach nawijał, że tam „masz w dupie rząd i polityków, po prostu możesz wszystko", to się mylił. To u nas możesz wszystko, w przeciwieństwie do rządu. Jedno tylko Amerykanie zawsze mieli lepsze: hasła. Kto nie pamięta „Make love, not war"?
A teraz co?

Jak to co? Black Lives Matter. A że Murzynów mamy trochę za mało, to nic takiego. Zrobimy o nich parę seriali i się rozmnożą. Zrobimy im nową „Rodzinkę.pl". Na czarno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

Jan Fiedorczuk

Szansa liberalnych nacjonalistów

Koncepcja liberalnego nacjonalizmu zaproponowana przez Konfederację okazała się zaskakująco skuteczna. Mimo stosunkowo niskiego poparcia prawicowe ugrupowanie jest wyjątkowo niewygodnym konkurentem dla PiS

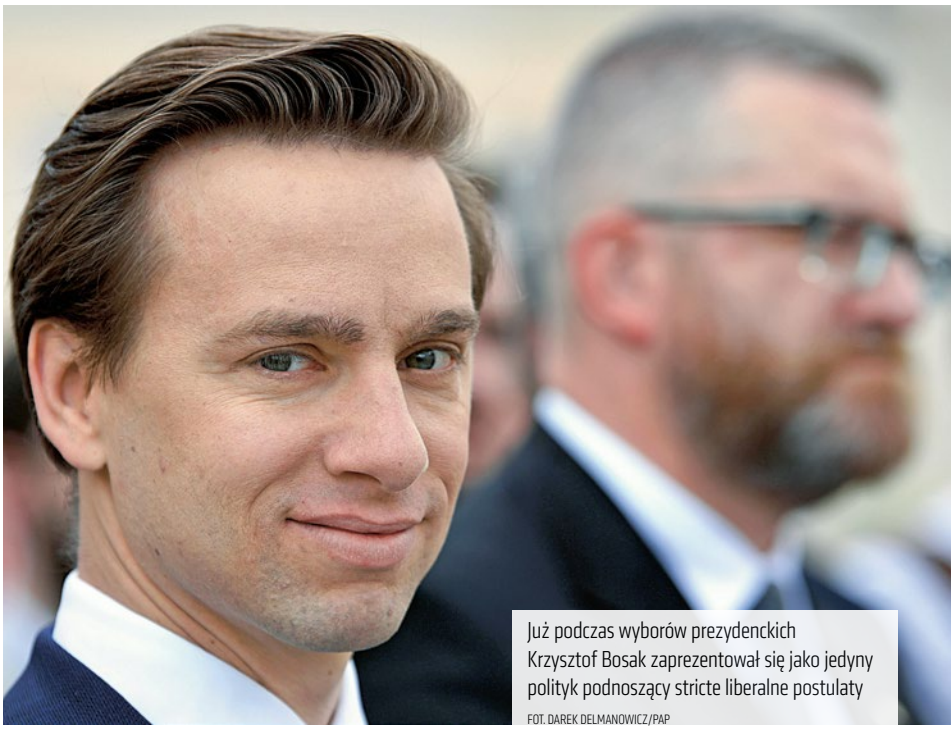

Już podczas wyborów prezydenckich Krzysztof Bosak zaprezentował się jako jedyny polityk podnoszący stricte liberalne postulaty

FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

Na pierwszy rzut oka idee głoszone przez oba nurty współtworzące Konfederację pasują do siebie niczym pięść do nosa. Wszak anarchizujący liberalizm Korwin-Mikkego wydaje się nie do pogodzenia z chrześcijańskim nacjonalizmem Bosaka i Winnickiego. A jednak jakkolwiek wiele by ich dzieliło, to oba środowiska spaja i napędza ta sama emocja – bunt wobec dorobku III RP. Nie jest przypadkiem, że główne hasło, które przetacza się podczas manifestacji konfederatów, brzmi: „PiS, PO – jedno zło". Co więcej, ten nietypowy sojusz był jedyną szansą dla obu nurtów na upragnione wejście do Sejmu.

Z tego politycznego małżeństwa z rozsądku powstała zaskakująca mieszanka, którą w uproszczeniu można by nazwać liberalnym nacjonalizmem. Ta propozycja okazała się tyleż egzotyczna, co skuteczna. Okazuje się bowiem, że Konfederacja jest obecnie obok Polski 2050 jedynym ugrupowaniem, które może z nadzieją wyglądać przyspieszonych wyborów. Po prawdzie prawicowa koalicja jest beneficjentem tyleż swojej pracy, co wyjałowienia intelektualnego, które zapanowało wśród przeciwników PiS, odkąd wszystkim znajdującym się na lewo od Platformy Grzegorz Schetyna narzucił formułę opozycji totalnej. Egzemplifikacją tegoż zjawiska może być choćby była europoseł PO Róża Thun, która niedawno całkiem poważnie stwierdziła, że jeżeli Polacy nie obalą PiS, to – „z powodów klimatycznych i politycznych" – nikt nie przeżyje w Europie. Ta wypowiedź to z jednej strony oczywiście pewne ekstremum, jednak z drugiej dobrze oddaje intelektualne zaplecze opozycji demoliberalnej. Thun, Nitras, Jachira, Tomczyk, Spurek – opozycja dała się stłamsić radykałom i tym samym przestała być zdolna do racjonalnej krytyki rządzących. Właśnie w tę niszę wpasowała się Konfederacja.

PROPOZYCJA LIBERALNEGO NACJONALIZMU

Uformowanie się prawicowej konkurencji jest szczególnie niewygodne dla PiS, który musi się mierzyć z zupełnie nowym wyzwaniem. Kaczyński ma gotową narrację do walki zarówno z Lewicą, jak i Platformą Obywatelską, których ataki od lat sprowadzają się do zarzutów dotyczących polexitu, dyskryminacji LGBT i autorytaryzmu. Jak jednak bronić się przed krytyką prawicy, która oskarża go nie o polexit, ale o uległość względem Brukseli? Nie o homofobię, tylko o cichą kapitulację względem tęczowej rewolucji? Konfederacja po prostu ma możliwość uderzać w punkty, które z samej swojej istoty są niedostępne dla demoliberałów. Co więcej, są to tematy niezwykle istotne dla żelaznego elektoratu PiS. Przykładem mogą być m.in. kwestia roszczeń żydowskich i głośnej ustawy 447, ukraińska imigracja czy cyniczne rozgrywanie sprawy aborcji. W tych tematach Platforma zwyczajnie nie może krytykować rządzących, nie narażając się na utratę własnego elektoratu.

Wykorzystując to, że reszta opozycji zaangażowała się w dużej mierze obojęt-

eprasa.pl 76b884c402

ną społeczeństwu sprawę sądownictwa i „obrony demokracji", konfederaci mieli możliwość skupić się na kwestiach gospodarki. Dzięki bierności partii nominalnie liberalnych Konfederacja stała się obecnie jedynym ugrupowaniem, w którego narracji pojawiają się akcenty wolnorynkowe. Dobitnie ukazały to wybory prezydenckie, gdy zarówno podczas kampanii, jak i zwłaszcza w trakcie obu debat to Krzysztof Bosak był jedynym politykiem podnoszącym stricte liberalne postulaty. Już choćby przez to Bosak odróżniał się od reszty kandydatów, którzy prześcigali się w socjalnych obietnicach. Rzecz jasna, trudno robić z tego zarzuty PiS czy Lewicy, których tożsamość polityczna w znacznej mierze opiera się na etatyzmie. Główną „winę" w tym zakresie ponosi oczywiście Platforma Obywatelska, która zupełnie abdykowała z wolnościowych pryncypiów, które przyświecały jej przed laty, i zaczęła przejmować interwencjonistyczne postulaty PiS (czego przykładem jest Jacek Rostowski przekonujący, że „piątka Kaczyńskiego" to w znacznej mierze pomysły Platformy, które PiS jedynie podkradł). Efektem tego jest obecna sytuacja, gdy PiS ogłasza Polski Ład, a cała demoliberalna opozycja jest rozbrojona. Jeżeli PO przejmuje etatystyczną wizję PiS, to jednocześnie pozbawia się możliwości jego krytyki. Oczywiście radykalizm takich postaci jak Korwin-Mikke czy Braun, ich ostry eurosceptycyzm oraz konserwatyzm obyczajowy odpychają od partii szerszy elektorat, szczególnie ten wielkomiejski. Niemniej jednak dzięki intelektualnej zapaści w szeregach PO politykom Konfederacji udało się wykreować na de facto jedynych obrońców klasy średniej.

Widać było to szczególnie w ciągu minionego roku. Politycy opozycji totalnej byli w ostatnich miesiącach na każdym większym proteście Strajku Kobiet, broniąc uczestników manifestacji, którzy mieli być prześladowani przez policję. Ci sami politycy nie znaleźli jednak czasu, by pochylić się nad losem przedsiębiorców, którzy nie tylko ponieśli olbrzymie straty w wyniku lockdownu, lecz także których służby rzeczywiście niejednokrotnie nękały (przynajmniej w niektórych przypadkach trudno to inaczej określić). Konfederacja tymczasem sukcesywnie stara się prezentować jako ich rzecznik. To niewątpliwie sukces liberalnego skrzydła, któremu udało się narzucić wolnościową retorykę całemu sojuszowi.

Konfederacja okazuje się również jedynym ugrupowaniem, które zaprezentowało konkretną strategię walki z pandemią. O ile pozostałe partie odbijały się od ściany do ściany, od pełnego lockdownu do entuzjastycznego luzowania obostrzeń, o tyle prawicowa koalicja od początku jasno opowiadała się za ograniczeniem restrykcji do minimum i uwolnieniem gospodarki. Na początku roku politycy zbierali podpisy pod ustawą „antylockdownową", która miałaby m.in. znosić kary za niestosowanie się do obostrzeń, a przez ostatnie kilkanaście miesięcy de facto objeżdżali cały kraj, biorąc udział w manifestacjach czy wspierając niepokornych przedsiębiorców.

Ze względu na osobiste przywary liderów utrwalenie tego wizerunku może oczywiście okazać się wielce kłopotliwe. Nad ugrupowaniem cały czas unosi się widmo „korwinowirusa", czyli tendencji do traktowania polityki jako formy zabawy i promocji własnej osoby. Świadczą o tym happeningi Korwin-Mikkego (ot, ledwie kilkanaście dni temu konferencja prasowa przed KFC), sejmowe antymaseczkowe krucjaty Grzegorza Brauna czy momentami wprost żenujące popisy Jacka Wilka w mediach społecznościowych. Problemem pozostaje również młodzieżówka partii KORWiN. Niedawno działacz Ruchu Narodowego Konrad Smuniewski ujawnił, że w szeregach Młodych dla Wolności nie brakuje zwolenników aborcji i tzw. małżeństw homoseksualnych. Co więcej, okazało się, że podobne poglądy mają również niektórzy członkowie władz samej partii. Sprawa dotyczyła Roberta Bociana, członka Rady Krajowej Partii KORWiN, który publicznie wyrażał poparcie m.in. dla adopcji dzieci przez pary jednopłciowe. Konfederacja uformowała się jako sojusz trzech różnych, ale jednak prawicowych ugrupowań, dlatego jeżeli ma przetrwać, to rozwiązanie powyższej ideologicznej sprzeczności wydaje się po prostu konieczne.

SONDAŻE MÓWIĄ PRAWDĘ?

Dla Prawa i Sprawiedliwości zagrożeniem jest jednak nie tyle rosnące poparcie dla Konfederacji, ile ewentualne przekształcenie się jej z jednorazowej partii buntu pokroju Palikota czy Kukiza w stały element sceny politycznej. Dokonując tego, Konfederacja naruszyłaby swoisty monopol na prawicowość, który od kilkunastu lat dzierży w Polsce Jarosław Kaczyński. – Myśmy przyjęli takie założenie, że dla dobra Polski jest to, żeby nie powstała narodowa, nacjonalistyczna prawica w Polsce. Dopóki istniał PiS, dopóty taka prawica nie powstała. Ku zadowoleniu wszystkich oceniających scenę polityczną – przyznał w rozmowie z Polsatem były wieloletni wiceprezes PiS, a obecnie wiceprezes NBP, Adam Lipiński. Liczne sondaże publikowane w ostatnich tygodniach dowodzą, że jakkolwiek Konfederacja pozostaje stosunkowo małą partią, to obawy wyrażone przez Lipińskiego nie są bezpodstawne. Formacja poświęciła ostatnie dwa lata na budowanie wizerunku partii liberalno-narodowej, która jest – zgodnie z ich narracją – jedyną prawicą w Polsce. Co ciekawe, koalicja odniosła sukces dopiero wtedy, gdy uszczupliła się o wiele barwnych postaci (Kaję Godek, Liroya-Marca czy Marka Jakubiaka) i przybrała formę triumwiratu narodowcy-liberałowie-Korona Grzegorza Brauna. Dlatego też w partii niechętnie mówi się o jakichkolwiek planach poszerzenia tej formuły na kolejne środowiska (np. ludzi z Solidarnej Polski), gdyż mogłoby to zburzyć kruchą równowagę.

Swoistym sukcesem organizacyjnym, zwiastującym, że Konfederacja może być czymś więcej niż jednorazowym ekscesem wyborczym, okazały się prawybory, gdy po serii kilkunastu konwencji wojewódzkich to sami wyborcy zdecydowali oddolnie, kto ma ich reprezentować w prezydenckim wyścigu. Prawybory okazały się na tyle udanym przedsięwzięciem, że nawet Sławomir Sierakowski z „Krytyki Politycznej" nie krył uznania. „Konfederacja dała lekcję wszystkim organizowania demokratycznych i transparentnych prawyborów oraz prowadzenia kampanii" – pisał lewicowy publicysta. Na ironię zakrawa, że najbardziej demokratycznym ugrupowaniem w Polsce okazało się właśnie to, w którego szeregach jest co najmniej kilku zdeklarowanych przeciwników demokracji.

Czy sondaże okażą się prorocze i Konfederacja przeistoczy się w trwały element polskiej gry politycznej? To pytanie pozostaje nadal otwarte. Mniemam jednak, że obrona klasy średniej i prawicowa krytyka konkretnych rozwiązań władzy jest mimo wszystko lepszą strategią polityczną niż opowieść o tym, że PiS – „z powodów politycznych i klimatycznych" – doprowadzi do śmierci wszystkich Europejczyków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Z Martinem Lohmannem, niemieckim dziennikarzem, pisarzem
rozmawia Jan Bogatko

Wierzę w Jezusa, nie w CDU

JAN BOGATKO: Jest pan pisarzem, publicystą, dziennikarzem. W Polsce jest pan – jeszcze – niezbyt znany, nie przetłumaczono dotąd na polski pańskiej doskonałej książki „Das Kreuz mit dem C: Wie christlich ist die Union?" („Krzyż pański z tym »C«: Na ile chrześcijańska jest CDU?"), która wywołała gorącą dyskusję w Niemczech. Pański protest wobec ideologii LGBT znany jest na pewno Antifie w Niemczech, ale Polakom już mniej, podobnie jak pańska walka z aborcyjnym lobby. Angażuje się pan do tego w różne projekty, takie jak Marsz dla Życia. Łatwiej jest chyba się zapytać: A czego pan nie robi?

MARTIN LOHMANN: I pan chce, żebym odpowiedział na to pytanie… (śmiech). Nie jestem na przykład narciarzem, nie surfuję też na falach ducha czasu, nie prowadzę ciężarówki (śmiech)…

… ale kierowca ciężarówki to zawód z przyszłością…

… niewątpliwie, ale ja nie robię tego, czego nie potrafię, ale za to to, co potrafię, robię chętnie i z zaangażowaniem.

Zapytam pana o opinię i – nie ukrywając ironii – wyrażę przypuszczenie, że jako katolicki pisarz ma pan pewnie łatwość pracy w kraju, w którym u władzy jest partia chrześcijańsko-demokratyczna. W Polsce książka „Na ile chrześcijańska jest CDU?" przeszła raczej bez echa, pewnie z powodu braku przekładu, mimo że dla politologów – i nie tylko – to wartościowy podręcznik.

Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej nie należałoby mylić z religią katolicką. CDU – o czym pisałem już przed laty w mojej książce o tym, na ile chrześcijańska jest ta partia – to nie jest substytut Kościoła katolickiego. Jestem żarliwym katolikiem, z przekonania, i wierzę w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego; wierzę w to, że jest on Synem Bożym, zatem nie tylko Jezusem, lecz także Chrystusem, że cierpiał za każdego z nas, umarł za każdego z nas i za każdego z nas zmartwychwstał. Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Jego Syna, w Ducha Świętego i w święty oraz apostolski Kościół katolicki. Ale nie wierzę ani w CDU, ani w panią Merkel. To dla mnie wielka różnica, zaś „C" w nazwie Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej to nie jakiś ogólnik, nie może być żadnym ogólnikiem czy usprawiedliwieniem, wreszcie substytutem, lecz jest nakazem uprawiania polityki uwzględniającej chrześcijańską odpowiedzialność. Stąd wynikają zobowiązania, których należałoby przestrzegać. Dlatego też dyskusja, która zaczęła się przed laty, czy CDU ma prawo do użycia litery „C" w swej nazwie, ma pełne uzasadnienie.

Wolność słowa. Zapewnia ją w Niemczech konstytucja. Czy panu wolno publicznie powiedzieć to, co właśnie mi pan powiedział? Bez ryzyka pociągnięcia do odpowiedzialności? Znane są bowiem przypadki karania za „nadużycie wolności słowa".

Ja wyrażam moje poglądy publicznie. I mam nadzieję, że długo jeszcze będę mógł wypowiadać je publicznie bez ściągania na siebie kary. Ma pan pewnie tutaj na myśli to, że obecnie mamy tu w Niemczech cancel culture, kulturę wymazywania z pamięci, niedopuszczania do głosu inaczej myślących czy też kulturę politycznej podejrzliwości. Przy czym ze swej strony podkreślić muszę, że nie chodzi tutaj bynajmniej o kulturę, lecz właśnie o przeciwieństwo kultury, jest to zła i perfidna antykultura. Będąc w Niemczech (w Bonn) studentem w latach 70., dowiedziałem się, że do demokracji i wolności słowa należy prawo do wyraźnego i niedwuznacznego sprzeciwu wobec opinii innych oraz przyjmowania samemu sprzeciwu ze strony innych, bez przeklinania go, bez zabraniania interlokutorowi wyrażania swej opinii. Jako demokrata z przekonania pozwolę sobie zacytować lidera myśli oświecenia, aczkolwiek w wielu sprawach nie darzę go raczej sympatią, mianowicie Woltera, który powiedział kiedyś, jak długo żyć będę, tak długo zwalczał będę twe poglądy, ale jeszcze bardziej będę walczył

eprasa.pl 76b884c402

o to, byś mógł je wyrazić. Czasem odnoszę wrażenie, że my, w Niemczech, cofnęliśmy się do czasów poprzedzających lidera oświecenia, nie chcąc zezwolić ludziom na wyrażanie swych poglądów, ba, chcąc ich zaszufladkować, postawić w kącie i zdyskredytować. Kto boi się faktycznej tolerancji, wolności słowa, sprzeciwu, dialogu i kultury debaty, ten dyskredytuje samego siebie, nie zaś innych.

Jednak poprawność polityczna wymaga od nas – w Polsce, w Niemczech, w Unii Europejskiej i na tzw. Zachodzie – zmiany zachowania, zaniechania krytyki pod adresem innych. Zgoła przeciwnie, przekonuje nas ona, że wiele spraw winniśmy popierać, np. ruch LGBT.

Jestem całkowicie przekonany o tym, że należy tolerować fakt istnienia tego ruchu. Ale na tolerancję składa się także akceptacja tego, co powiem w tym kontekście: tu mamy do czynienia z wielkim błędem. Tolerancja nie oznacza bowiem, że muszę przyjąć jako stuprocentowy pewnik to, co ktoś inny twierdzi. Wtedy nie byłoby tolerancji, wówczas mielibyśmy powszechną dyktaturę. Tolerancja oznacza tyle, co – tak, masz prawo wypowiedzieć tak właśnie swoją opinię, ale ja uważam ją za zasadniczo błędną. I dlatego musimy się na nowo nauczyć praktykować rzeczywistą tolerancję w naszym demokratycznym państwie w Europie. Odnoszę wrażenie, że w ubiegłych latach o tej sztuce zapomniano. Najwidoczniej w naszym społeczeństwie są ugrupowania, które zarówno sprzeciwu, jak i tolerancji boją się jak diabeł wody święconej. I dlatego chcą zabronić krytycznej tolerancji. Ale nam jest potrzebna właśnie krytyczna tolerancja, jeżeli chcemy zachować na przyszłość wolność i odpowiedzialność. Humanistyczne społeczeństwo żyje pod warunkiem, że tolerancja, odpowiedzialność i wolność połączone są ze sobą. Obejmuje to także prawo do sprzeciwu, powiedzenia „nie" oraz krytycznego prowadzenia dialogu i dyskusji.

O ile wiem, pewnego dnia otrzymał pan e-mail z groźbą zarażenia pana wirusem HIV właśnie za krytykę ruchu LGBT...

Tak, to była anonimowa groźba, ponieważ w jakiejś audycji wyraźnie opowiedziałem się za małżeństwem jako związkiem kobiety oraz mężczyzny i ponieważ zająłem stanowisko w tej sprawie. Jestem przekonany, że mężczyzna i kobieta zostali jako tacy stworzeni przez Boga, jak opisano to w Biblii, nie potępiam innych form planowania życia, ale jestem zdecydowanym orędownikiem chrześcijańskiego małżeństwa mężczyzny i kobiety, a dokładniej jednego mężczyzny z jedną kobietą i praktykowanej wierności.

To fakt, że istnieją ludzie, którzy nie są w stanie tego wytrzymać, a którzy swej nietolerancji i braku pewności oraz złości nadają formę groźby. To była anonimowa groźba, co wiele mówi o kulturze osoby, która najwidoczniej nie była w stanie podjąć dyskusji na argumenty. Znam tę postawę z pracy w dziele obrony życia, gdzie od wielu lat się angażuję; w przemówieniu, które wygłosiłem przed Urzędem Kanclerskim, ponieważ przez osiem lat honorowo pełniłem funkcję przewodniczącego Bundesverband Lebensrecht, a tym samym prowadziłem Marsz dla Życia. Przeciwnicy ochrony życia, przeciwnicy prostolinijności, przeciwnicy logiki lubią krzyczeć, próbując innych zagłuszyć. Kto grozi innym i stara się ich zakrzyczeć, ten w gruncie rzeczy nie ma innym nic do powiedzenia. Ten, komu brakuje argumentów, musi sięgnąć po ich substytut. Tak zresztą zawsze działali totalitaryści i systemy totalitarne – ponieważ nie mają oni argumentów, ich celem są ucisk lub zagłada innych. Musimy diabelsko uważać w naszych czasach, by totalitaryzm bez względu na to, o jakiej kolorystyce, nie uzyskał jakiejkolwiek szansy i nie przystąpił do uciskania człowieka. Nam potrzebne są wolność i demokracja. Dlatego tak ważne jest dla nas zachowanie trzeźwości na co dzień oraz permanentne oferowanie ludziom gotowości do dyskusji, proszę, spróbujcie mnie przekonać, ale nie chcę, by stosowano wobec mnie przemoc. Kto się do niej ucieka, ten nie ma nic do powiedzenia; kto krzyczy, ten nie ma nic do powiedzenia; kto grozi, temu brakuje argumentów. To jest przecież oczywiste, o tym powinien wiedzieć każdy członek naszego społeczeństwa.

Dlatego jest sprawą życiowo ważną, by demokraci zachowali trzeźwość spojrzenia, aby demokracja, wolność i odpowiedzialność dziś, jutro i pojutrze zachowały się w Europie. Europie niezbędne są trzeźwość spojrzenia i zaangażowanie prawdziwych demokratów, których poczucie demokracji wynika z chrześcijańskiego ducha, demokratów, którzy wiedzą, że nie odpowiadają przed samymi sobą, lecz że ponad to istnieje Bóg, przed którym odpowiadamy, a który oferuje nam współrzędne dobra i zła, którymi powinniśmy się kierować. Stąd uważam, że przyszło nam żyć w decydującym czasie, ważnym dla jutra naszego kontynentu i ludzkości. Jeśli przestaniemy uważać, to przegramy naszą przyszłość, a to byłoby groźne. Nie życzę sobie żadnych totalitaryzmów, żadnych faszyzmów, obojętne przy tym, czy ten faszyzm jest brązowy, czerwony czy zielony. Należy przeciwstawić się totalitaryzmowi i faszyzmowi bez względu na jego kolor, zwalczając go środkami demokracji.

Kto pana zdaniem wygra jesienne wybory do Bundestagu w Niemczech? Czy na scenie politycznej wystąpiły wielkie zmiany?

Nie jestem prorokiem, nie radzę sobie nawet z różdżką...

Szkoda.

(śmiech) Uważam, że dla partii centrowych wygranie wyborów będzie bardzo trudnym zadaniem. Jeśli CDU – Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna – wraz z CSU – Unią Chrześcijańsko-Społeczną (po tym, jak latami CDU przyklaskiwała lewicy i Zielonym, zaniedbując obywateli z obozu liberałów i konserwatystów, wychodząc z założenia, że oni i tak wybiorą CDU, bo brak im alternatywy) – nie da dziś wyraźnie do zrozumienia, i to prezentując mądre głowy i równie mądre tematy, że liberalno-konserwatywni chrześcijańscy demokraci jako obywatele mają realną, dostrzeganą i przynoszącą im korzyści własną małą ojczyznę w CDU, to w wieczór wyborczy dojdzie do katastrofy. Otrzymamy wówczas większość zielono-czerwono-czerwoną (Zieloni, SPD i komuniści) i będzie to w efekcie fatalny, brutalny i perfidny atak na wolność człowieka, a tym samym na demokrację. Dlatego też życzę sobie, by CDU obudziła się ze snu i była w stanie unaocznić nam, że opowiada się za całą szerokością politycznego profilu, także i za chrześcijańską wizją człowieka, za systemem współrzędnych liberalno-konserwatywnych, inaczej bowiem CDU przepadnie. Byłoby wielką stratą, gdyby Unię, to znaczy CDU, spotkał w Niemczech taki sam los jak partię Democrazia Cristiana we Włoszech przed wieloma laty i gdyby pewnego dnia ktoś powiedział: Armin Laschet był ostatnim przewodniczącym CDU. Potrzeba nam chrześcijańskich demokratów o rozpoznawalnym, wytrzymałym, solidnym, suwerennym profilu co do treści, co do wiary, wizji człowieka, aby Niemcy miały przed sobą przyszłość. A tym samym także i Europa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

Masakra na ulicy Haxo w 1871 r. Inscenizowana fotografia z udziałem statystów wykonana już po tych wydarzeniach przez Eugène'a Apperta

FOT. RIJKSMUSEUM

Zwykli katolicy po francusku

Marek Jurek

Masakra na ulicy Haxo, 26 maja 1871 r., była jednym z najmroczniejszych wydarzeń Komuny Paryskiej. W wyniku samosądu zamordowano w niej 50 zakładników, w tym abp. Georges'a Darboy. W 150-lecie ich śmierci katolickie środowiska Paryża urządziły Marsz Męczenników, religijną pielgrzymkę ulicami stolicy. Miała upamiętnić tę wyjątkową rocznicę, została jednak przerwana po ataku bojówki Antify. Pośród okrzyków „Śmierć faszystom" pielgrzymi zostali obrzuceni butelkami, jeden z nich został ciężko ranny.

Wydawałoby się, że ciąg dalszy należy już tylko do prokuratury Republiki i do sądów, których postawa (miejmy nadzieję, że negatywnie) zweryfikuje opinię Trybuny Generałów o załamaniu się rządów prawa nad Sekwaną. Nieoczekiwanie jednak antyfaszystowskie bandy dostały „katolickie wsparcie".

W WALCE Z WROGIEM KLASOWYM

Na łamach „La Croix" (francuski codzienny odpowiednik „Tygodnika Powszechnego") ukazało się oświadczenie „piętnaściorga katolików, na różne sposoby zaangażowanych w życie Kościoła i społeczeństwa", uznających Marsz Męczenników za „duchową i polityczną aberrację", której „przemoc, którą [!] wywołała, nie powinna uświęcać i chronić przed krytyką".

Autorzy oświadczenia nie widzą bowiem powodów dla upamiętniania „zakładników [których] zamordowano nie z powodu wiary chrześcijańskiej, ale [!] przypuszczalnych związków z wrogami Komuny", więc w kontekście „wojny domowej i klasowej". Dlatego nie można „przeciwstawiać wiary zamordowanych zakładników ateizmowi komunardów". I należy również (z całym współczuciem) pamiętać o „strukturalnym kumpelstwie ówczesnego duchowieństwa z burżuazją kapitalistyczną".

„Katolicy na różne sposoby zaangażowani" ujawnili też, że wśród organizatorów pielgrzymki były nie tylko parafie paryskie, lecz także (o zgrozo!) stowarzyszenie Francuska Pamięć, zajmujące się „oddawaniem czci żołnierzom poległym w obronie kraju", co podważać ma religijny charakter wydarzenia. A na koniec swe stanowcze opinie przypieczętowali niezwykłym ideowo tryptykiem lewicowego integryzmu, klerykalizmu i ultramontanizmu.

Organizatorom Marszu Męczenników przypomnieli bowiem, że „nie można oddzielać rzeczy duchowych od doczesnych ani świadczyć o miłości Boga bez walki i modlitwy o sprawiedliwość". Jak można więc zrozumieć – nie można przypominaniem politycznych zbrodni szargać pamięci Komuny Paryskiej.

Przypomnieli też dobre czasy, gdy po maju '68 Kościół paryski o tym wiedział. Gdy bowiem w 100-lecie masakry na ulicy Haxo „skrajna prawica zamówiła w 1971 r. mszę za rozstrzelanych księży, ówczesny arcybiskup Paryża nie chciał jej odprawić".

I na koniec wezwali paryskie duchowieństwo do zajęcia się tym, co do niego należy – „udzielaniem sakramentów" i naśladowaniem papieża Franciszka. Szkoda tylko, że tak przejmująco wyrażone pragnienie sakramentów nie zainspirowało autorów do choćby najskromniejszej prośby, by władze Republiki już więcej nie przeszkadzały w ich udzielaniu.

CELNA AUTOKWALIFIKACJA

„Katolicy na różne sposoby zaangażowani" proponują kontekstową analizę mordu „przypuszczalnych przeciwników Komuny". Warto więc również ich wystąpienie umieścić we właściwym kontekście. Wobec napadów band Antify, chcących przegonić pamięć katolicką z ulic Paryża, trudno tę deklarację zakwalifikować inaczej jak publicystyczne bojówkarstwo. „Aberracja duchowa i polityczna" to istotnie bardzo celna autokwalifikacja oświadczenia w „La Croix".

Choć nie jest to wydarzenie tak drastyczne jak prohomoseksualne Zwycięstwo Miłości w Niemczech, to stanowi jednak poważny objaw rozpadu katolickiej pamięci i solidarności, wywołanego współczesnym kryzysem Kościoła. Oświadczenie to nie ukazało się w jakimś marginalnym portalu, ale w najważniejszym (oficjalnie) katolickim dzienniku Francji.

I rzecz ma oczywiście wymiar ludzki. Pamięć jest formą żałoby. A ci, którzy chcieliby niewinne ofiary Komuny Paryskiej zagrzebać w zbiorowej niepamięci, pokazują, że ofiarą współczesnego kryzysu katolicyzmu padają nie tylko dogmaty i prawdy moralne, lecz także najprostsze zasady prawa naturalnego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 76b884c402

Beczka jako narzędzie kary

FOT. ADOBE STOCK

Zbrodnia i kara w dawnych Chinach

Łukasz Czarnecki

Jednym z głównych żądań wysuwanych w XIX w. wobec cesarskich Chin przez mocarstwa kolonialne było wyjęcie ich przebywających w Państwie Środka obywateli spod jurysdykcji miejscowych sędziów. W europejskich stolicach chińskie prawo uważano bowiem za nieludzkie i barbarzyńskie

W roku 1899 w Paryżu ukazała się skandalizująca powieść Octave'a Mirbeau, zatytułowana „Ogród udręczeń". Akcja utworu toczyła się w chińskim więzieniu, które autor opisywał jako wypełnione mękami piekło, w którym główna kobieca bohaterka Klara przeżywała stany erotycznej ekstazy wywołanej obserwacją cierpienia poddawanych wyszukanym torturom Chińczyków.

CHIŃSKIE BAJKI DLA DOROSŁYCH

Wydanie „Ogrodu..." uznać można za apogeum narastającej przez cały XIX w. w świecie zachodnim tendencji do przedstawiania mieszkańców Dalekiego Wschodu jako wyuzdanych w swym okrucieństwie barbarzyńskich sadystów. Jeszcze sto lat wcześniej Chiny uchodziły w Europie za wzór oświeconej monarchii, ale wraz z postępami kolonializmu i klęskami ponoszonymi przez cesarstwo w starciu z zachodnimi potęgami ich wyidealizowany obraz rozsypał się w kawałki.

Odwiedzający Państwo Środka europejscy podróżnicy, kupcy i misjonarze stykali się nad Jangcy z obyczajami kompletnie odmiennymi od tych panujących w ich ojczyznach. Chętnie opisywali je potem w książkach, w których skupiali się na najbardziej egzotycznych i szokujących aspektach życia Chińczyków. Jak wiadomo, tematami, które najbardziej pociągają masowego odbiorcę, są seks i przemoc. O ile ten pierwszy stanowił w epoce wiktoriańskiej tabu, o tyle wysoka zawartość tej drugiej gwarantowała autorowi dzieła znaczny zysk. Dlatego też nie powinniśmy się dziwić, że spisujący swe wspomnienia podróżnicy chętnie skupiali się na najbardziej brutalnych elementach życia w Państwie Środka.

Nie minęło wiele czasu, a czytelnicy wręcz uzależnili się od naturalistycznych i pełnych przemocy opowieści o chińskich torturach czy sposobach wykonywania egzekucji przez cesarskich katów. Rynek zalewały kolejne pozycje opatrzone szczegółowymi ilustracjami, a z początkiem XX w., gdy upowszechniły się przeznaczone dla amatorów przenośne aparaty fotograficzne, do rysunków dołączyły też zdjęcia. Po Europie krążyć zaczęły choćby fotografie przedstawiające ofiary lingchi – kary śmierci wykonanej przez pocięcie skazanego nożem na kawałki. Procedura ta, powracająca przez cały XIX w. w dyskusjach pasjonatów Dalekiego Wschodu, stanowić miała wedle różnych domorosłych znawców Chin koronny dowód potwierdzający, że Chińczycy są zdegenerowanymi, żądnymi krwi podludźmi. Najgłośniej wyraz oburzeniu dawali poddani królowej Wiktorii. Brytyjscy pisarze i politycy pomstowali na stosunki panujące w Państwie Środka, bez ogródek nazywając jego mieszkań-

eprasa.pl 76b884c402

ców „rasą całkiem pozbawioną honoru". Wyrażając ogrom dezaprobaty wobec chińskiego systemu prawnego, brytyjscy dżentelmeni nie chcieli pamiętać, że jeszcze w czasach im całkiem niedawnych, to jest w roku 1820, grupa planujących zabójstwo premiera spiskowców została przez angielski sąd skazana na powieszenie – utopienie – poćwiartowanie, a ponad 30 lat później imperialni żołnierze tłumiący w Indiach powstanie sipajów wziętych do niewoli Hindusów rozstrzeliwali z armat.

WSTAĆ, SĄD IDZIE!

Ile wspólnego z rzeczywistością miały jednak fantastyczne opowieści o krwiożerczych Chińczykach? Czy system prawny cesarstwa rzeczywiście opierał się na bezrozumnej, brutalnej przemocy, a skorumpowani sędziowie masowo skazywali swoich ziomków na lingchi, tak jak wierzyli mieszkańcy Europy?

Dawne chińskie sądownictwo nie różniło się aż tak drastycznie od obyczajów, które panowały w tej materii w Europie przed epoką oświecenia. Jeszcze w XVIII w. zeznania wymuszano od podsądnych torturami, a egzekucji dokonywano na tak spektakularne i makabryczne sposoby jak łamanie kołem. Prawo zaczęto łagodzić dopiero pod wpływem nowych liberalnych prądów intelektualnych, tak że w następnym stuleciu tortury sądowe oraz bolesna publiczna agonia skazańców należały już do odległej przeszłości i zostały wyparte ze zbiorowej świadomości Europejczyków. Stąd też wypływał szok, który przeżywali przybysze z Zachodu, stając się świadkami działania chińskiego wymiaru sprawiedliwości.

Nowożytny chiński system sądowniczy nie znał pojęcia domniemanej niewinności. Zawsze zakładano, że delikwent, który trafił w tryby maszyny prawnej, ma coś do ukrycia, a obowiązkiem sędziego jest wydobycie z niego prawdy. Chińczycy nie wymyślili też żadnego odpowiednika naszego adwokata – sprawujący na danym obszarze władzę sądowniczą mandaryn był zarówno sędzią, prokuratorem, jak i obrońcą. Mający zapaść wyrok pozostawał całkowicie w jego gestii.

Samo wejście do budynku chińskiego sądu w XIX stuleciu mogło wywołać gęsią skórę. Na ścianach urzędu wisiały pięknie wyeksponowane narzędzia tortur – kije do bicia, duże zaciski na kostki dłoni i stóp oraz mniejsze, służące do miażdżenia palców, a także jarzma – olbrzymie, ważące od kilkunastu do kilkudziesięciu kilogramów przenośne dyby, które oskarżonym zakładano na szyję zarówno w celu zadania bólu, jak i publicznego poniżenia. To zaś było tak olbrzymie, że zdarzało się, iż ludzie, którzy mieli nieprzyjemność poczuć drewniany ciężar na własnym karku, nie mogąc znieść utraty twarzy, popełniali samobójstwo. Inna rzecz, że tego szczególnego narzędzia tortur sędziowie starali się używać oszczędnie, gdyż jego lekkomyślne wykorzystanie mogło całkowicie zniszczyć reputację niewinnego człowieka.

Warto wspomnieć, że obecność w izbie sądowej narzędzi tortur bynajmniej nie oznaczała, iż były często w użyciu. Miarę uczciwości sędziego stanowiło to, jak rzadko odwoływał się do przemocy. O pewnym szczególnie szanowanym mandarynie mawiano, że gdy objął stanowisko, to powiesiwszy służące zadawaniu bólu instrumenty na ścianie sądu, przez całą karierę nie zdjął ich ani razu. Część chińskich prawników podawała zresztą w wątpliwość miarodajność zeznań wydobytych na mękach i krytykowała brutalność śledczych.

Sędzia nie był panem życia i śmierci sądzonego przez siebie domniemanego kryminalisty. Obowiązywały go ścisłe zasady dotyczące tego, jakich środków przymusu może używać. Nie torturowano dzieci i młodzieży poniżej 15. roku życia, a także starców. Na taryfę ulgową mogli też liczyć urzędnicy.

Ponadto kodeks karny szczegółowo określał, jakiego rodzaju męki można było zadawać oraz jak długo miały one trwać. Na przykład wykluczone były praktyki powodujące trwałe kalectwo. Surowo zakazywano też używania w czasie procesu różnych dziwnych wynalazków, takich jak niesławne łoże tortur. Dobry sędzia powinien ograniczać swą inwencję i stosować tylko środki dozwolone przez prawo. W dodatku niezbyt często, bo każdy pracujący w wymiarze sprawiedliwości mandaryn miał świadomość, że jeśli będzie bez opamiętania znęcał się nad podsądnymi, to prędzej czy później na głowę spadnie mu wysłana przez zwierzchnika kontrola, gdy zaś ta znajdzie nieprawidłowości, to... w najlepszym wypadku urzędnik mógł stracić stanowisko, w najgorszym oberwać do tego kilkadziesiąt razów kijem.

KARA MUSI BYĆ

Na jakie konsekwencje mógł liczyć przestępca, który stawał przed wymiarem sprawiedliwości? To zależało od wielu czynników, choćby tego, czy zbrodniczego czynu dokonano z premedytacją. Chińskie prawo karało bowiem nie tylko za sam akt, lecz także za stojący za nim zamysł. W związku z tym na wysoki wyrok można było liczyć nawet w sytuacji, gdy przestępstwo pozostało tylko w sferze rozważań. Jeśli komuś udowodniono by np. planowanie napadu z bronią w ręku, to i tak nie uniknąłby on procesu i być może egzekucji, nawet jeśli do samego skoku nigdy nie doszło.

Karą najczęściej zasądzaną drobnym przestępcom była chłosta kijem. Przez wieki służące jej wymierzaniu narzędzie coraz bardziej się wydłużało, aż w końcu w epoce dynastii Qing przemieniło się w pałkę długości prawie dwóch metrów. Inną atrakcją, na którą mogły liczyć różnego rodzaju huncwoty, było zakucie we wspomniane już dyby.

eprasa.pl 76b884c402

Cięższe przewinienia mogły skończyć się dla tego, kto się ich dopuścił, wygnaniem lub przymusowymi robotami. Bywało i tak, że wraz z przestępcą na poniewierkę szła cała jego rodzina, której majątek konfiskowano na rzecz zadośćuczynienia dla pokrzywdzonych przez zbrodniarza.

Ostatnią karą stosowaną w Chinach, a wzbudzającą w Europie największe zainteresowanie była rzecz jasna kara śmierci. Ta dzieliła się zaś na trzy rodzaje: uduszenie, ścięcie i wspomniane już lingchi.

Jednym z paradoksów dawnego chińskiego systemu karnego było to, że uduszenie uważane było za bardziej humanitarny sposób egzekucji niż ścięcie. Budzić może to w ludziach z naszego kręgu kulturowego spore zakłopotanie. W końcu powolne zaciskanie sznura na szyi musi przysparzać skazańcowi o wiele więcej cierpienia niż szybko i profesjonalnie wykonana dekapitacja. A mimo to Chińczyk, którego skazywano na skrócenie o głowę, byłby przeszczęśliwy, gdyby w ramach aktu łaski jego karę zmieniono na uduszenie.

Ta jakże dziwna postawa przestaje być aż tak osobliwa, gdy spojrzymy na nią przez pryzmat chińskiej religii. Otóż dawni Chińczycy żyli w przekonaniu, że na tamtym świecie duch zmarłego przyjmuje dokładnie taką samą postać, jaką miało za życia jego ciało. Po zmaterializowaniu się w zaświatach dusza mogła, odpokutowawszy popełnione w czasie ziemskiej wędrówki zbrodnie, dokonać ponownego wcielenia. Jednak aby cały proces reinkarnacji doszedł do skutku, zwłoki musiały pozostać w komplecie. Ścięcie głowy naruszało ich integralność i zakłócało rytm kołowrotu wcieleń, skazując nieszczęsną ofiarę dekapitacji na wieczną tułaczkę w postaci upiora. Stąd też rodziny skazańców nie skąpiły środków i zabiegów, aby odzyskać ciało straconego krewniaka i przyszyć doń jego uciętą głowę.

NA PLASTERKI!

Najstraszliwszą karą, przewidzianą przez chińskich prawodawców, było jednak owo osławione lingchi. Niewiele było zbrodni tak ciężkich, by popełniając je, ściągnąć sobie na głowę tę straszliwą procedurę – zarezerwowana ona była dla buntowników, ojcobójców, kazirodców i innych najgorszej maści degeneratów. Przestępcę przywiązywano (częstokroć za splecione w warkocz włosy) do specjalnej drewnianej konstrukcji, a następnie kat przystępował do powolnego i metodycznego krojenia go na kawałki. Widowiska takie (egzekucje zazwyczaj odbywały się na placach handlowych) przyciągały tłumy gapiów, wśród których od połowy XIX w. coraz częściej pojawiali się też Europejczycy. Przybysze z Zachodu oglądali przebieg krwawego show z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia, które po powrocie do rodzinnego kraju przekazywali swoim rodakom. Tym samym przykładali rękę do rodzenia się mitu „krwiożerczych Chińczyków", o którym była już mowa.

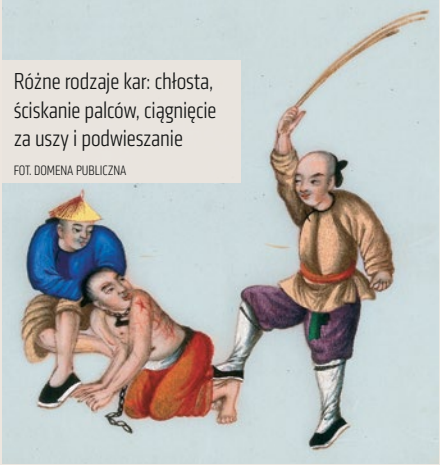

Różne rodzaje kar: chłosta, ściskanie palców, ciągnięcie za uszy i podwieszanie

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Lingchi przerażało dawnych Chińczyków nie ze względu na ból z nim związany, lecz z tych samych powodów co dekapitacja. Człowiek poszatkowany na kawałki, całkowicie utraciwszy jakąkolwiek humanoidalną formę, nie mógł liczyć na reinkarnację i rozpoczęcie nowego życia w innym wcieleniu. Zredukowany do kupki ochłapów przestawał istnieć zarówno na tym, jak i na tamtym świecie. Warto jednak zauważyć, że przestępcy, na którym wykonywano wyrok, z reguły nie krojono żywcem. Zazwyczaj kat pozbawiał życia ofiarę za pomocą zadanego w serce ciosu nożem i dopiero po jej zgonie przystępował do dalszej pracy. Co więcej, skazańca częstokroć przed egzekucją odurzano opium.

Wizja powszechnego stosowania lingchi, którą wytworzyli sobie w XIX w. czytelnicy książek o Państwie Środka, niewiele miała wspólnego z rzeczywistością. Sami Chińczycy mieli dużo wątpliwości co do zasadności jej stosowania. Przez wieki mandaryni toczyli dyskusje na temat tego, skąd w ogóle wziął się nad Jangcy ten proceder. Najczęściej wskazywano na czasy dynastii Liao, panującej nad północnymi Chinami w latach 907–1125. To właśnie owi koczownicy, o których skądinąd było wiadomo, że cechowali się wielką inwencją w bolesnym zabijaniu, przynieść mieli ze swej stepowej ojczyzny barbarzyński obyczaj szatkowana przestępców na kawałki, który następnie przejęła od nich panująca w tym samym czasie w południowej części Państwa Środka dynastia Song. Za rządów Mongołów, a następnie dynastii Ming ten rodzaj egzekucji wszedł już na stałe do chińskiej praktyki. Jej stosowania zakazano surowo dopiero pod sam koniec istnienia cesarstwa – w roku 1905.

Jak widać, dawny chiński system sądowniczy znacząco różnił się od tego, co znamy dziś i co znali nasi przodkowie w XIX w. Czy jednak jego odmienność świadczy o tym, że ludzie, którzy z niego korzystali, byli barbarzyńcami? Z pewnością nie – w końcu wiktoriańscy moraliści z tak wielką rozkoszą potępiający Chińczyków sami nie mieli czystych sumień i w swoich koloniach robili z tubylcami rzeczy, które wzbudziłyby trwogę oraz obrzydzenie najbardziej nawet bezwzględnego chińskiego sędziego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Odblask zgładzonego świata

Słowo „Polska" ma – jak wiadomo – dwa znaczenia. Pierwsze to nazwa niewielkiego kraiku Europy Środkowej wtłoczonego między Odrę i Bug. Państewka zamieszkałego przez ludzi mówiących po polsku i modlących się w kościołach katolickich.

Drugie znaczenie słowa „Polska" jest znacznie szersze. Mowa o potężnej Rzeczypospolitej. Państwie rozciągającym się na wielkich przestrzeniach Europy Wschodniej – między Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym. Państwa, którego żyłę stanowiła Wisła, ale również Niemen i Dniepr. Państwa wielu narodów i religii.

Czytelnicy moich tekstów i książek wiedzą, że jestem patriotą tej drugiej Polski. To ona jest mi bliższa. Dlatego zawsze z niecierpliwością czekam na kolejne tomy wydawane w ramach serii „Biblioteka Kresowa" przez wydawnictwo LTW. W ich autorach widzę bowiem pokrewne dusze. Rodaków.

W ramach serii ukazały się książki takich wybitnych pisarzy jak Florian Czarnyszewicz, Franciszek Wysłouch czy Michał K. Pawlikowski (genialne „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego"!). Tym razem do rąk czytelników trafiają „Kroniki naroczańskie" Mieczysława Lisiewicza.

Jest to zbiór opowieści rozgrywających się w okolicach jeziora Narocz – przed wojną największego jeziora II Rzeczypospolitej. A obecnie największego jeziora Białorusi. Autor, który wielokrotnie wędrował wzdłuż jego brzegów, skończył książkę w roku 1939. Ze względu na wybuch wojny nie doszło wówczas do jej wydania. Ukazała się dopiero kilka lat później. Już w Londynie, na emigracji.

Losy manuskryptu były pasjonujące. Otóż pojechał on – wraz z żoną Lisiewicza – na sowieckie zesłanie na Syberię. Pani Lisiewicz spała na nim i jadła. Strzegła go jak oka w głowie. Manuskrypt po długich perypetiach dotarł do Wielkiej Brytanii, gdzie autor służył w Polskich Siłach Powietrznych.

O czym są „Kroniki naroczańskie"? O świecie, który już nie istnieje. Świecie ziem wschodnich Rzeczypospolitej, na których żyli obok siebie Żydzi, Białorusini i Polacy. Świecie zmiażdżonym brutalnie przez największą plagę XX w. – bolszewizm.

Dzięki Lisiewiczowi jeden z odblasków tego świata został ocalony dla potomnych. ©℗

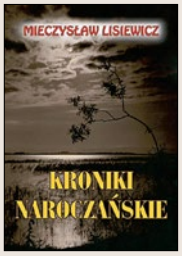

★★★★★★
MIECZYSŁAW LISIEWICZ
„KRONIKI NAROCZAŃSKIE"
LTW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Panorama Racławicka

Pomysłodawcą powstania obrazu był lwowianin Jan Styka, a inicjatywa zbiegła się z organizacją Powszechnej Wystawy Krajowej we Lwowie w 1894 r. i setną rocznicą insurekcji kościuszkowskiej. Pomysł idealnie wpisywał się w plan wystawy, która miała być nie tylko przeglądem osiągnięć gospodarczych Galicji, lecz także przedstawiać jej kulturę.

Styka nie zajmował się jednak dotąd malarstwem batalistycznym, tworzył obrazy religijne i o tematyce antycznej. Dlatego też do swojego projektu zaprosił – jako głównego współpracownika – Wojciecha Kossaka i obaj dobrali sobie jeszcze kilku pomocników. W efekcie w powstawaniu dzieła brali udział: Ludwig Boller, Tadeusz Popiel, Teodor Axentowicz, Zygmunt Rozwadowski, Włodzimierz Tetmajer, Michał Sozański i Wincenty Wodzinowski.

Niemal od razu rozpoczęły się kłótnie i spory. Styka poróżnił się z Tetmajerem i Axentowiczem, ale najważniejszy był jego konflikt z Kossakiem. Wynikał on głównie z odmiennego podejścia do tworzonego dzieła. Kossak chciał jak najwierniej przedstawić wybrany epizod bitwy, Styka zaś pragnął nadać obrazowi znaczenie symboliczne. To właśnie dlatego Kościuszko nosi chłopską sukmanę, choć w rzeczywistości nie miał jej na sobie pod Racławicami, a nad walczącymi powiewa sztandar z napisem „Żywią i bronią", pomimo że wówczas jeszcze nie istniał.

Kolejnym źródłem konfliktu było to, że zdaniem Kossaka Styka zajmował się bardziej autoreklamą niż tworzeniem panoramy. W listach do żony nazywał go durniem i bezczelnym łgarzem, który chce zrobić z niego małpę wyciągającą dla kota z ognia kasztany. Styka potrafił też pokazywać zaproszonym gościom fragmenty dzieła „mokre jeszcze od pędzla" Kossaka jako własne. Nic zatem dziwnego, że po dwóch miesiącach zwaśnionych artystów trzeba było pogodzić, gdyż realizacja projektu stanęła pod znakiem zapytania. Mediacji podjął się Ludwik Ramułt, budowniczy rotundy dla panoramy. Protokół pojednania stanowił, że Kossak będzie sprawował „wewnętrzne kierownictwo", Styce zaś przyznaje się „prawo dyspozycji figur i ugrupowania obrazu pod względem historycznym". Na znak zgody obaj malarze podali sobie ręce.

Po dziewięciu miesiącach gigantyczne płótno o powierzchni 1800 mkw. zostało ukończone i 5 czerwca 1894 r. zaprezentowane publiczności. Podczas trwania wystawy obejrzało je aż 200 tys. widzów, a wpływy z biletów wyniosły 80 tys. złotych reńskich. Nie pokryły jednak kosztów przedsięwzięcia, które wyniosły o 20 tys. więcej.

W zamian powstała jednak panorama, która jako jedyny tego rodzaju obraz przetrwała do dzisiaj. ©℗

eprasa.pl 76b884c402

Yair Lapid w 2019 r. kłamał, że jego babcię zamordowali Polacy i Niemcy w „polskich obozach śmierci" FOT. AMIR LEVY/GETTY IMAGES

Wojna nie uratowała Netanjahu

Witold Repetowicz

Niedawna eskalacja konfliktu między Izraelem a palestyńskim Hamasem spowodowała ogrom zniszczeń, przyniosła śmierć niemal 300 osób i kosztowała co najmniej 1 mld dol. Wygląda na to, że wszystko na nic. Główny cel, czyli utrzymanie się Beniamina Netanjahu przy władzy, nie został osiągnięty. Na zwycięzcę wyrósł Yair Lapid, znany nad Wisłą ze swych antypolskich konfabulacji

Przypadków w polityce nie ma. Zwłaszcza jeśli dotyczy to takich wyjadaczy jak najdłużej urzędujący izraelski premier, czyli Beniamin „Bibi" Netanjahu. Między kwietniem 2019 r. a marcem 2021 r. w Izraelu wybory parlamentarne odbywały się czterokrotnie i wszystko wskazywało na to, że w najbliższych miesiącach Izraelczycy pójdą do urn po raz piąty. Wszystko dlatego, że scena polityczna w tym kraju jest mocno rozbita, a linie podziału przebiegają na kilku płaszczyznach. Jedną z nich jest podział na obóz pro-Bibi i anty-Bibi, przy czym ten drugi chce nie tylko odsunięcia Netanjahu od władzy, lecz także jego głowy w znacznie bardziej dosłownym tego słowa znaczeniu. Chce go po prostu wsadzić do więzienia za korupcję. Dlatego walka Netanjahu o premierowski fotel to dla niego kwestia egzystencjalna. Cóż zatem znaczy przy tym kilkaset trupów palestyńskich i kilkanaście żydowskich? Cóż znaczą setki rozwalonych domów i miliard dolarów potrzebnych na uzupełnienie rakiet w chroniącej Izrael Żelaznej Kopule? Za to drugie zresztą ma zapłacić amerykański podatnik. Eskalacja nastąpiła w chwili, gdy władza zaczęła wymykać się „Bibiemu" z rąk, i wszystko wskazuje na to, że izraelski premier celowo sprowokował Palestyńczyków, aby w ten sposób nie dopuścić do stworzenia koalicji przez jego przeciwników.

PODZIELONA SCENA POLITYCZNA

Problem w tym, że linii podziału izraelskiej sceny politycznej jest więcej. Na przykład Awigdor Lieberman, lider partii Nasz Dom Izrael, bazuje na rosyjskojęzycznym i w dużej mierze zlaicyzowanym elektoracie przybyszów z byłego Związku Sowieckiego, który darzy ogromną niechęcią Żydów ortodoksyjnych i jakikolwiek wpływ religii na życie publiczne. Dlatego koalicja Liebermana i ortodoksów, zbierających zwykle ok. 13 proc. mandatów, była niemożliwa. Przy czym o ile obóz pro-Bibi składa się wyłącznie z prawicy nacjonalistycznej i religijnej, o tyle jego przeciwnicy to zarówno prawica niewiele różniąca się ideologicznie od partii Netanjahu, czyli Likudu, jak i lewica. Wreszcie kolejną linią podziału jest ta między partiami żydowskimi a arabskimi, które w wyborach zbierają ok. 10 proc. I tu właśnie Netanjahu postanowił uderzyć.

Likud zwyciężył we wszystkich czterech kolejnych wyborach, ale był daleki od zdobycia bezwzględnej większości. Jego poparcie wahało się między 24 a 29 proc. Co więcej, wsparcie nacjonalistycznych i ortodoksyjnych sojuszników też nie dawało mu większości. Opozycję zaś za wiele dzieliło, by mogła stworzyć alternatywną koalicję. Nawiasem mówiąc, gdyby skład parlamentu w jakimkolwiek kraju europejskim był taki jak w Izraelu, wszystkie instytucje monitorujące demokrację trąbiłyby o faszyzmie. W ostatnich wyborach religijni fanatycy zdobyli tam ponad 13 proc. mandatów, rasistowscy ekstremiści (tzw. Religijni Syjoniści) – 5 proc., a nacjonalistyczna

eprasa.pl 76b884c402

prawica kolejne 36 proc. Po trzecich wyborach Netanjahu zdecydował się na koalicję z dwoma partiami centrowymi, ale szybko się okazało, że po prostu oszukał ich liderów. Natomiast przed czwartymi wyborami Netanjahu postanowił zdobyć głosy arabskie, choć jeszcze niedawno głosił, że Izrael jest państwem narodowym należącym wyłącznie do Żydów. „Bibi" przyjął więc arabski pseudonim Abu Yair, ruszył szczepić izraelskich Arabów przeciwko COVID-19, a na koniec zapowiedział, że uruchomi bezpośrednie loty z Jerozolimy do Mekki (gdzie, nawiasem mówiąc, nie ma lotniska).

Taktyka okazała się częściowo skuteczna, ale trochę jednak zabrakło do pełnego sukcesu. Obóz partii arabskich został rozbity, a islamistyczna partia Ra'am po wyborach zaczęła wysyłać sygnały, że może się dogadać z Netanjahu. Ra'am w wymiarze społeczno-obyczajowym bliżej jest bowiem do izraelskiej religijnej prawicy aniżeli do liberalnej, zlaicyzowanej lewicy. Jako lider największej partii Netanjahu po wyborach w marcu br. otrzymał misję stworzenia nowego rządu jako pierwszy. Z tradycyjnymi sojusznikami i partią Ra'am miałby w Knesecie 56 głosów, czyli o pięć za mało, by zdobyć większość. Brakujące głosy zamierzał zdobyć, przeciągając na swoją stronę Naftalego Bennetta, lidera partii Yamina, bardziej prawicowej od Likudu, ale trzymającej z obozem anty-Bibi ze względu na konflikt między liderami. Netanjahu zaoferował Bennettowi stanowisko rotacyjnego premiera (zmiana miała nastąpić po dwóch latach) i wszystko było na dobrej drodze, ale ekstremistyczni Religijni Syjoniści postawili weto wobec koalicji z Arabami.

Wtedy do boju ruszył Lapid, który przejął misję stworzenia koalicji. Jego liberalna partia Yesh Atid zdobyła w wyborach drugie miejsce i 17 mandatów w 120-osobowym Knesecie. Jeszcze przed wyborami Lapid doprowadził do czwórporozumienia z Bennettem, Liebermanem oraz Gidonem Sa'arem, liderem prawicowej partii Nowa Nadzieja, powstałej w wyniku rozłamu w Likudzie po konflikcie z Netanjahu. Jedynym punktem wspólnym była chęć odsunięcia Netanjahu od władzy. Strony czwórporozumienia nie uzgodniły przy tym, kto miałby zostać premierem, ale Lapid wiedział, że choć jego partia dostała znacznie więcej mandatów niż reszta (Bennett i Lieberman po siedem, a Sa'ar – sześć), to nie jest wcale oczywistym kandydatem na premiera, bo całe centrum i lewica, łącznie z Yesh Atid, zdobyły tylko 37,5 proc. mandatów. Postanowił więc zawrzeć z Bennettem podobny układ, jaki liderowi Yaminy proponował Netanjahu: rotacyjne premierostwo, tyle że pierwsze dwa lata premierem ma być Bennett, a kolejne dwa Lapid.

Tak będzie, jeśli koalicja się nie rozpadnie, a zważywszy na jej dość egzotyczny charakter, jest to bardzo prawdopodobne. Wyobraźmy sobie bowiem sojusz, który montuje Marta Lempart, dogadując się z Grzegorzem Braunem w kwestii rotacyjnego sprawowania urzędu premiera, i dobierają sobie jeszcze do rządu zwolennika wprowadzenia w Polsce prawa szariatu, a wszystko po to, by odsunąć od władzy Jarosława Kaczyńskiego.

KOALICJA OŚMIU PARTII

Wspomniany na początku „przypadek" polegał na tym, że gdy Lapid już na początku maja skompletował koalicję, kolejne prowokacyjne kroki Netanjahu wobec Palestyńczyków doprowadziły do wybuchu wojny z Hamasem oraz walk między bojówkami arabskimi i żydowskimi w samym Izraelu. W takiej sytuacji koalicja Bennetta z Arabami była niemożliwa i zapowiadało to klęskę projektu Lapida. Notowania Bennetta w tym czasie dramatycznie spadły i być może to wyszło „Bibiemu" „za dobrze". Bennett przestraszył się perspektywy piątych wyborów i gdy tylko wszystko się uspokoiło, jednak dogadał się z Lapidem i Ra'am. Stało się to kilka godzin przed upływem terminu, po którym konieczne byłoby już rozpisanie wyborów. Koalicja składać się będzie z ośmiu partii: dwóch prawicowych, trzech centrowych, dwóch lewicowych oraz jednej arabskiej.

Lapid w tym układzie może nie doczekać się swojej kolejki objęcia fotela szefa rządu. Ponadto jego popularność w sondażach jest znacznie mniejsza od tej, którą wciąż cieszy się Netanjahu. Nie mówiąc o Bennetcie, którego lewica nie pokocha, a prawica już uznaje za zdrajcę. Oznacza to, że nowy premier, by zachować resztki popularności, będzie musiał na każdym kroku udowadniać, że nie jest uległy wobec Lapida oraz Arabów. A to oznacza konflikt. Nowy rząd będzie też dążył do tego, by jak najszybciej wsadzić Netanjahu do więzienia, bo jeśli do tego nie dojdzie, to „Bibi" ma duże szanse na odzyskanie władzy po kolejnych przyśpieszonych wyborach.

Zmiana premiera powinna ucieszyć prezydenta USA Joe Bidena, który nie krył swej rezerwy wobec Netanjahu. To niezbyt dobra wiadomość dla Polski, zwłaszcza jeśli Lapid obejmie również tekę ministra spraw zagranicznych. Pamiętając o jego antypolskich konfabulacjach, nie można wykluczyć prowokacyjnych wypowiedzi i działań wymierzonych w Polskę. Lapid w 2019 r. twierdził, że jego babcię zamordowali Polacy i Niemcy w „polskich obozach śmierci", domagając się od Polski przeprosin w związku z przyjętą wówczas nowelą ustawy o IPN. Później okazało się, że rodzina Lapida nigdy nie mieszkała w Polsce, dwie babcie i jeden dziadek przeżyli wojnę, a drugi dziadek zginął w obozie koncentracyjnym w Mauthausen. Wtedy Lapid zmienił wersję i stwierdził, że chodzi o prababcię, która miała zostać wywieziona z Serbii do Auschwitz i tam zabita. Dodał też, że wieziono ją tak daleko, bo „większość obozów ulokowano w Polsce", gdyż „Niemcy wiedzieli, że przynajmniej niektórzy z miejscowych będą współpracować".

Takie antypolskie podejście cechuje nie tylko jego, lecz jest mocno rozpowszechnione w Izraelu. Prawda jest taka, że czasy, gdy pochodzący z Polski Żydzi dominowali w izraelskiej polityce, dawno się skończyły. Lapid, a także jego pochodząca z Węgier matka, urodzili się w Izraelu, a jego ojciec, Tommy Lapid, przybył tam jako nastolatek. Sam Yair ciężkiego dzieciństwa raczej nie miał, zważywszy na to, że jego ojciec był znanym dziennikarzem, a potem politykiem i doszedł do stanowiska wicepremiera. Częściowo polskie korzenie ma za to Bennett, ale dotyczą one dalekich przodków i nie mają większego znaczenia. Izrael nie jest w ogóle krajem szczególnie przyjaznym Polsce, a wrogie postawy wobec naszego kraju są mocno rozpowszechnione i trzeba mieć tego świadomość. Trudno zresztą za przyjaciela Polski uznać także Beniamina Netanjahu, który w czasie zorganizowanej w Warszawie w jego interesie konferencji antyirańskiej postanowił napluć gospodarzom do zupy, podnosząc kwestię roszczeń do mienia bezspadkowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

FOT. ADOBE STOCK

Młodzi ludzie skrzywdzeni przez „transbiznes"

Piotr Włoczyk

Wstrząsający reportaż stacji CBS rozwścieczył amerykańskie środowisko LGBT. Krytycy stacji przekonują, że nie powinno się nagłaśniać historii ofiar „transbiznesu", ponieważ jest to woda na młyn „transfobów"

W amerykańskiej telewizji „60 Minutes" to jeden z najbardziej cenionych magazynów. Od końca maja twórcy tego programu stali się jednak dla amerykańskiej skrajnej lewicy synonimem zacofania i transfobii. Wszystko przez odcinek, w którym reporterzy magazynu postanowili się przyjrzeć rosnącej społeczności osób po „detranzycji", czyli ludzi, którzy źle się czuli ze swoją biologiczną płcią, przeszli interwencję chirurgiczną, ale po operacji ich życie było jeszcze trudniejsze, więc wrócili – oczywiście na tyle, na ile to było możliwe – do swojego pierwotnego wyglądu.

Twórcy „60 Minutes" próbowali się zabezpieczyć, jak tylko mogli, przed oskarżeniami o nietolerancję i transfobię. Przekonywali, że co do zasady nie kwestionują skuteczności operacji „zmiany płci", a jedynie chcieli zwrócić uwagę na rosnącą liczbę przypadków „nieprawidłowości", gdy kliniki „zmiany płci" niemal taśmowo, kompletnie bezrefleksyjnie okaleczają coraz to młodszych ludzi, spośród których ogromna część nie ma w rzeczywistości problemu z identyfikacją płciową, lecz cierpi na inne zaburzenia psychiczne.

„Myślę, że przygotowując ten materiał, rozmawialiśmy z większą liczbą ludzi niż kiedykolwiek wcześniej" – tłumaczyła prowadząca program Lesley Stahl, starając się przekonać widzów, że dziennikarze pracujący dla „60 Minutes" absolutnie nie są uprzedzeni. „Chcieliśmy być rzetelni. Chcieliśmy być fair. I chcieliśmy zrozumieć każdy aspekt tej historii".

Program obudowany jest wieloma tego typu „bezpiecznikami", Lesley Stahl potępia w nim stany rządzone przez konserwatystów, które co do zasady zakazują stosowania u dzieci „terapii" prowadzących do „zmiany płci", ale zasadnicza część programu – rozmowy z młodymi ludźmi, którzy zostali skrzywdzeni przez „transbiznes" – mówi sama za siebie.

„TO SZALEŃSTWO"

Twórcy programu dotarli do ponad 30 młodych Amerykanów, którzy dali

eprasa.pl 76b884c402

się zwieść specjalistom od „zmiany płci" i okaleczyli swoje ciała. Jedną z takich osób jest Grace Lidinsky-Smith, 20-letnia kobieta, która niedawno wróciła do swojej biologicznej płci.

Lidinsky-Smith jako nastolatka borykała się z narastającym problemem z identyfikacją płciową. W końcu trafiła w Internecie na forum młodzieży LGBT, gdzie pełno było relacji na temat pozytywnych aspektów operacji „zmiany płci".

„Kiedy zobaczyłam, jak są szczęśliwi, robiąc ten cudowny zabieg, pomyślałam: »Czy to możliwe, że ja też mogłabym to zrobić?«" – opowiadała w „60 Minutes" Lidinsky-Smith. Szybko znalazła przez Internet specjalistkę od „zmiany płci". „Terapeutka nie pytała, skąd się wzięła moja dysforia płciowa. Zrobiłyśmy razem tylko kilka sesji. Kiedy zapytała, dlaczego chcę przyjmować testosteron, odpowiedziałam po prostu: »Bo bycie kobietą nie jest dla mnie OK«" – wspominała rozmowy z „terapeutką" Lidinsky-Smith. Ponieważ dziewczyna miała wówczas skończone 18 lat, nie musiała już pytać rodziców o zgodę na poddanie się „terapii". Już cztery miesiące po rozpoczęciu podawania testosteronu specjaliści z kliniki „zmiany płci" zapisali ją na podwójną mastektomię (chirurgiczne usunięcie piersi).

Testosteron i operacja nie zmieniły jednak życia dziewczyny na lepsze. Jak opowiadała w „60 Minutes", po mastektomii miała dojmujące wrażenie, że czegoś bardzo istotnego jej brakuje.

Postanowiła więc przerwać „terapię" i wrócić do swojej kobiecej postaci. „Nie mogę uwierzyć, że do tego wszystkiego doszło w ciągu niecałego roku. To szaleństwo" – przyznała na antenie CBS ofiara „transbiznesu".

Inny poszkodowany również mówił w „60 Minutes" o nieprawdopodobnym tempie stawiania diagnozy i rozpoczynania „terapii": „Nikt ze specjalistów nie próbował mnie powstrzymać. Już po dwóch wizytach dostałem hormony". Podobnych głosów młodych ofiar „transbiznesu" było w tym programie dużo więcej. Krytyczne głosy padły też ze strony niektórych „specjalistów" od „zmiany płci", którzy dostrzegają jednak, że to, jak traktuje się młodych, zagubionych ludzi, zakrawa o zbrodnię.

„Niestety, obawiam się, że z uwagi na coraz większy popyt na takie usługi na rynku pojawia się coraz więcej nierzetelnych specjalistów" – przyznała w „60 Minutes" dr Marci Bowers, ginekolog, która wykonała ponad 2 tys. zabiegów „zmiany płci" (w latach 90. sama przeszła taką operację).

Jak nietrudno było przewidzieć, na twórców programu spadła lawina krytyki ze strony środowiska LGBT. „Dziś wieczorem »60 Minutes« i Lesley Stahl wypuścili haniebny materiał siejący panikę na temat młodzieży trans. Rodzice młodzieży trans mogli wynieść fałszywe przekonanie, że młodzi ludzie są pochopnie poddawani medycznym tranzycjom. To po prostu nieprawda" – napisała w specjalnym oświadczeniu GLAAD (Gay & Lesbian Alliance Against Defamation), organizacja LGBT zajmująca się tropieniem homo- i transfobii w mediach.

GLAAD twierdzi w komunikacie na ten temat, że czas emisji programu był bardzo niefortunny, skoro ponad 30 stanów rządzonych przez republikanów uchwaliło prawa „wymierzone w społeczność LGBT". Na zakończenie oświadczenia GLAAD nazwało ten odcinek „60 Minutes" „biedadziennikarstwem".

Dla lobby „transbiznesu" fakty przywołane w CBS nie mają jednak żadnego znaczenia.

„Jesteśmy przekonani, że nawet nastoletnie osoby mogą w swoim życiu podejmować racjonalne decyzje – podkreśla dyrektor kalifornijskiego Instytutu Zdrowia Transmłodzieży dr Johanna Olson-Kennedy. – Poza tym operacja usunięcia piersi nie jest nieodwracalna, gdy będziesz ich potrzebować na dalszym etapie życia, możesz wykonać odwrotny zabieg".

UWODZONE CÓRKI

Krzywda dzieci, którym w imię ideologii rujnuje się życie, staje się w USA coraz głośniejszym tematem. Wiele dla nagłośnienia patologii z tym związanych zrobiła Abigail Shrier, publicystka „The Wall Street Journal", która w zeszłym roku wydała książkę „Irreversible Damage: The Transgender Craze Seducing Our Daughters" („Nieodwracalna krzywda: Jak transgenderowe szaleństwo uwodzi nasze córki"). Shrier opisuje w swojej książce swoistą „modę" na transpłciowość wśród amerykańskiej młodzieży, napędzaną przez kwitnący „transbiznes". O ile przeciętnie w społeczeństwie osób cierpiących na dysforię płciową jest ok. 1 na 10 tys., o tyle dziś już nawet kilka procent amerykańskiej młodzieży identyfikuje się z literką „T" w skrócie LGBT.

„Ameryka miała w 2007 r. jedną klinikę gender. Dziś ma ich 300. Mamy obecnie setki pediatrycznych klinik genderowych! Planned Parenthood wydaje testosteron już podczas pierwszej wizyty. Z kolei w Oregonie Planned Parenthood przepisuje testosteron 15-letnim dziewczynom na ich życzenie. Nie potrzebują nawet zgody rodziców. Dla dzisiejszych nastolatków, czy mają dysforię płciową, czy nie, testosteron jest bardzo łatwo osiągalny. Podwójna mastektomia też jest na wyciągnięcie ręki – alarmuje Abigail Shrier. – Dziś wielu rodziców, widząc, że ich dziecko jest albo za mało męskie, albo za mało dziewczęce, krzyczy: »Wiemy, co to jest! To transdzieciak!«. Zabierają ich do terapeuty lub lekarza, którzy świadczą »afirmatywną opiekę zdrowotną«, co oznacza po prostu zgadzanie się z diagnozą postawioną przez samego pacjenta i natychmiastową interwencję medyczną w kierunku tranzycji. Nauczyciele upewniają dzieci w ich wyborach, przekonując swoje klasy, że tylko one – dzieci – znają swoją prawdziwą płeć. Co więcej, zachęcają dzieci, by przedstawiły się »na nowo« w klasach, wymyślając dla siebie nowe imię i zaimek. Zazwyczaj kolejnym krokiem na tej drodze jest przyjmowanie blokerów dojrzewania".

Jak podkreśla Shrier, część blokerów dojrzewania to po prostu środki, które wcześniej używane były jedynie do… chemicznej kastracji gwałcicieli. – To szaleństwo narasta, bo niestety zaczyna to być modą. W najbardziej „postępowych" kręgach naszego społeczeństwa, jeżeli rodzic mówi swoim znajomym, że jego dziecko jest najprawdopodobniej transpłciowe, to jest to – choć ciężko w to uwierzyć – uznawane za objaw mądrości. „To ci mądrzy, otwarci rodzice, którzy zauważyli, że ich syn to tak naprawdę dziewczynka, i pozwalają dziecku podążać w kierunku wolności" – powiedział w rozmowie z „Do Rzeczy" Walt Heyer, były transseksualista, który przeszedł operację „zmiany płci" z mężczyzny na kobietę, a następnie powrócił do swojej męskiej postaci i od kilku lat przestrzega Amerykanów przed zagrożeniami „transbiznesu". – Jeżeli dasz dziecku klapsa, to przyjedzie do twojego domu policja i może się to skończyć aresztem. Ale jeżeli pozwolisz okaleczyć swoje własne dziecko, to jesteś uznawany – na szczęście nie wszędzie – za wspaniałego i tolerancyjnego rodzica.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

WŁOSKI ARTYSTA SPRZEDAŁ WIELKIE NIC

Artysta Salvatore Garau uważa, że stworzył nieistniejącą rzeźbę. Swoje dzieło, którego nie ma, zatytułował „Jestem". Zarzuty, że nic nie zrobił, odpierał argumentem, że pustka to „próżnia", a jego zdaniem próżnia jest „pełna energii". Uważa, że takie rzeźby rozwijają wyobraźnię. Musiał trafić na kogoś z dużą wyobraźnią, olbrzymią – bo jego dzieło zostało wystawione na aukcji i trafił się kupiec. Ktoś zapłacił za nic 18 tys. dol.

FOT. SALVATORE GARAU/YOUTUBE

KARA ŚMIERCI ZA FILM

Przywódca Korei Północnej Kim Dzong Un wprowadził nowe prawo przeciw „reakcyjnej myśli". Zgodnie z nowym prawem za oglądanie zagranicznego filmu grozić będzie 15 lat w obozie pracy. Natomiast posiadanie większej liczby zagranicznych filmów karane będzie śmiercią. Koreański dyktator uważa, że zagraniczne wpływy – nie tylko w kulturze, lecz także w stroju – to „niebezpieczne trucizny".

DROGOWE WYPADKI Z COVID-19

Hrabstwo Alameda w Kalifornii zmieniło sposób liczenia zgonów związanych z COVID-19. Tamtejszy Departament Zdrowia postanowił dostosować swoją metodologię do tej, która stosowana jest na poziomie stanowym i krajowym. Odtąd jako zgony związane z koronawirusem będą uznawane tylko te, w których SARS-CoV-2 przyczynił się do śmierci lub przynajmniej nie można tego wykluczyć. Do tej pory w hrabstwie Alameda jako zgon na COVID-19 ujmowano także np. osoby ginące w wypadkach drogowych, jeśli wcześniej test wykazywał u nich zarażenie.

KOBIECY SPORT BEZ MĘŻCZYZN

Gubernator Florydy – Ron DeSantis – podpisał Ustawę o uczciwości w sporcie kobiet. Tym samym Floryda dołączyła do ośmiu stanów, które nie będą pozwalały biologicznym mężczyznom startować w sportowych konkurencjach z kobietami – uznając to za dyskryminację wobec fizycznie słabszych kobiet. Decydować o dopuszczeniu do zawodów ma płeć biologiczna, która została wskazana w dokumencie z dnia narodzin. Prezydent USA Joe Biden uznał takie przepisy za skandaliczne. Jego zdaniem to właśnie jest dyskryminującym uderzeniem w młodzież transgender.

ZAFAJDANA PRZYSZŁOŚĆ

Na Tajwanie uruchomiono w ubiegłym roku elektrownię słoneczną. Panele zainstalowane zostały na zbiorniku retencyjnym w Budai (zagospodarowano na to 62 ha). Panele szybko zaczęły być pokrywane... ptasimi odchodami. Teraz operator elektrowni co miesiąc musi wysyłać tam pracowników, którzy zmywają je z paneli. ©℗

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Krótkie nogi Baracka Obamy

JACEK PRZYBYLSKI

Wszyscy obywatele muszą wiedzieć, że droga do niedemokratycznych Stanów Zjednoczonych to nie jest jeden etap. To cała seria kroków – ostrzegł na antenie CNN były prezydent Barack Obama. – Popatrzmy na takie miejsca jak Węgry albo Polska, które nie miały takich demokratycznych tradycji jak my, nie były w nich tak mocno zakorzenione, a jednak jeszcze 10 lat temu były dobrze funkcjonującymi demokracjami. Teraz stały się w gruncie rzeczy autorytarne – ogłosił polityk. Noblista zapomniał chyba, że akurat korzenie demokratyczne Polska ma bardzo silne. Konstytucja 3 maja była drugą spisaną konstytucją na świecie (po USA) i pierwszą w Europie.

Czy Obama – absolwent Uniwersytetu Columbia i dawny wykładowca prawa konstytucyjnego – nigdy o tym nie słyszał? Nie wiemy. Wiemy, że nie pierwszy raz Obama wprowadził odbiorców w błąd, publicznie kłamiąc i szkalując dobre imię Polski. W 2012 r. przez jego ignorancję lub arogancję uroczystość przyznania Prezydenckiego Medalu Wolności Janowi Karskiemu – bohaterowi, który bezskutecznie alarmował Zachód o zagładzie Żydów w okupowanej przez Niemcy hitlerowskie Polsce – zakończyła się skandalem. Obama użył bowiem kłamliwego określenia „polskie obozy śmierci". I choć Biały Dom wyjaśniał, że prezydent miał na myśli „nazistowskie obozy śmierci", to z ust Obamy „przepraszam" nie padło.

Znając podejście polityków Partii Demokratycznej do prawdy, łatwiej przynajmniej zrozumieć, dlaczego Joe Biden zdradził niedawno sojuszników, znosząc sankcje na budowę szkodliwego dla Polski i UE gazociągu Nord Stream 2. A wszystko to, by przygotować sobie grunt pod negocjacje ze znanym miłośnikiem demokracji... Władimirem Putinem. ©℗

eprasa.pl 76b884c402

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY; Po Covid-19, Zdrowy Kręgosłup, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

OBIEKT BEZPIECZNY HIGIENICZNIE
Stosujemy się do zaleceń

Stół Szwedzki, 15 albo 25 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

tel. 54 416 70 00 Pobyty: 20.06 – 26.09.2021 r. **www.podtezniami.pl**

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

REKLAMA

100 POLSKICH BITEW
NA LĄDZIE, MORZU I W POWIETRZU

Batalie, bitwy i potyczki, które zmieniały bieg ojczystej historii

KSIĄŻKA DO KUPIENIA W: WWW.XLM.PL

Ponad 100 bitew, ponad 100 map i planów, ponad 700 zdjęć i ilustracji

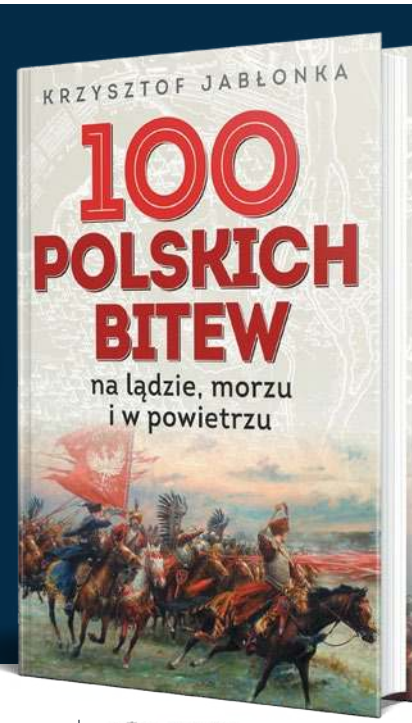

PATRONAT MEDIALNY:

HISTORIA POLSKA ZERO ONA · Radio Wnet · HISTORYKON.PL · HISTORIA.ORG.PL

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

eprasa.pl 76b884c402

Jakub Wozinski

Globalna stawka

Na spotkaniu grupy G7 postanowiono, że minimalna globalna stawka podatku CIT będzie wynosić 15 proc., a możliwość korzystania z rajów podatkowych ma zostać mocno ograniczona. Popłochu wśród międzynarodowych korporacji jednak raczej nie widać

Propozycję ujednolicenia stawki podatku od osób prawnych dla całego świata zgłosiła tuż po objęciu urzędu sekretarza skarbu USA Janet Yellen. Była prezes Rezerwy Federalnej dopięła swego w rekordowo szybkim czasie (funkcję pełni zaledwie od stycznia). Nie powinno to budzić większego zdziwienia, gdyż od czasu, gdy prezydentem Stanów Zjednoczonych przestał być Donald Trump, wszelkie inicjatywy o charakterze globalistycznym realizowane są bez większych przeszkód.

PRZERWANY WYŚCIG NA DNO

Jedna z najważniejszych zmian dokonanych w czasie rządów Trumpa dotyczyła stawki podatku CIT, który w 2017 r. został obniżony z 35 do 21 proc. Nie przyniosła ona większych dochodów do budżetu ani nie skłoniła zbyt wielu firm do płacenia podatków w USA, lecz znacząco polepszyła kondycję amerykańskiej giełdy. Zdaniem Janet Yellen obniżka wprowadzona przez Trumpa stanowiła błąd, gdyż USA wzięły tym samym udział w „wyścigu na dno". Według amerykańskiej sekretarz skarbu próby przyciągnięcia wielkich firm niskimi stawkami podatków to zdecydowanie zły pomysł, gdyż dużo lepszy efekt można uzyskać... zmawiając się z innymi państwami.

Klimat do podatkowej zmowy jest niezwykle sprzyjający, gdyż na salonach światowej polityki nie ma już Donalda Trumpa, a dodatkowo praktycznie wszystkie zainteresowane państwa pilnie poszukują środków na uzupełnienie swoich nadwątlonych przez pandemię budżetów oraz implementację kosztownej agendy zrównoważonego rozwoju. W przypadku Stanów Zjednoczonych dochodzi dodatkowo paląca potrzeba znalezienia funduszy na wart aż 2,25 bln dol. plan infrastrukturalny Joe Bidena, nawiązujący rozmachem do wielkich programów Nowego Ładu Roosevelta.

Skoordynowana akcja ustalenia minimalnej stawki CIT na poziomie międzynarodowym ma przynieść wszystkim zainteresowanym spore zyski. Taką przynajmniej nadzieję żywią najpotężniejsze państwa świata, które swój pomysł chcą przeforsować także na zbliżającym się spotkaniu państw grupy G20 w lipcu tego roku. Od dłuższego czasu do przyjęcia nowej zasady urabiane są praktycznie wszystkie kraje świata, mamione obietnicą, że wreszcie uda się zaprowadzić sprawiedliwy system ograniczający korzystanie z rajów podatkowych. Zakłada się, że gdy do porozumienia w sprawie globalnej minimalnej stawki CIT przystąpi zdecydowana większość państw, raje podatkowe będą musiały ustąpić.

DZIELENIE SKÓRY NA NIEDŹWIEDZIU

Uzgodniony przez grupę G7 mechanizm przewiduje, że firmy, które część swojej działalności rejestrują poza granicami kraju, będą musiały zawsze zapłacić określoną, minimalną stawkę podatku. Kwestią najbardziej sporną pozostaje obecnie to, ile dokładnie powinna ona wynosić. Wstępnie mówi się o 15 proc., lecz dla wielu lewicowych polityków jest ona zdecydowanie zbyt niska. W tym kontekście wskazuje się, że jeszcze

eprasa.pl 76b884c402

Sekretarz skarbu USA Janet Yellen zaproponowała ujednolicenie stawki CIT dla całego świata

FOT. JUSTIN TALLIS/WPA POOL/GETTY IMAGES

30–40 lat temu stawki CIT były nawet dwu- lub trzykrotnie wyższe niż obecnie.

Przyjęcie globalnej stawki 15 proc. nie wydaje się dziś żadnym większym wyrzeczeniem dla zdecydowanej większości najbogatszych państw świata. Spośród nich jedynie Irlandia (12,5 proc.) i Szwajcaria (8,5 proc.) musiałyby pójść na większe ustępstwa, a praktycznie wszystkie raje podatkowe to kraje zbyt słabe, aby przeciwstawić się naciskom silniejszych.

Rządzący na całym świecie zajęli się już przysłowiowym dzieleniem skóry na niedźwiedziu. Ministrowie finansów i zwolennicy zielonej transformacji zaczęli głośno wyliczać, ile dokładnie uda im się pozyskać pieniędzy. Radość może być jednak zdecydowanie przedwczesna, gdyż najczęściej zapomina się o tym, jak bardzo wadliwie skonstruowany jest podatek CIT, pozwalający bardzo swobodnie kreować ponoszone koszty. Nowa inicjatywa może w pewnym zakresie ograniczyć możliwość korzystania z rajów podatkowych, lecz nie zlikwiduje ułomności systemów podatkowych na całym świecie. Już teraz zresztą trwają dyskusje na temat tego, czy nowymi przepisami mają być objęte także fundusze inwestycyjne, które swoją potęgę zbudowały m.in. właśnie dzięki optymalizacji podatkowej. Sposobów na obejście nowych przepisów z pewnością więc nie zabraknie.

Istnieje wiele powodów, aby zakładać, że inicjatywa na rzecz globalnego minimalnego podatku CIT zakończy się niepowodzeniem, czego zapowiedzią zdaje się zaskakująco pozytywna reakcja ze strony wielkich korporacji. Przedstawiciele Big Tech nie kryją nawet radości, gdyż do tej pory w wielu krajach na całym świecie nakładano na niego rozmaite podatki cyfrowe (np. we Francji w wysokości 3 proc. od uzyskanego przychodu). W zamian za likwidację tych podatków potentaci mają się teraz zgodzić na opodatkowanie na nowych warunkach.

BUDOWANIE NOWEGO PORZĄDKU

Proponowane zmiany zadowolą z pewnością premiera Mateusza Morawieckiego, który od wielu miesięcy wypowiadał się na temat potrzeby walki z rajami podatkowymi. W wywiadzie udzielonym w styczniu niemieckiemu dziennikowi „Handelsblatt" polski premier mówił m.in. o potrzebie budowania nowego porządku, konieczności sprawowania publicznej kontroli nad polityką podatkową międzynarodowych koncernów oraz walce z krajami ułatwiającymi transfery pieniędzy do podatkowych oaz. Cały obszar podatku CIT został zresztą wyraźnie pominięty w Polskim Ładzie, zapewne w oczekiwaniu na to, że już niebawem inicjatywa Janet Yellen przyniesie ze sobą bardzo istotne zmiany.

Zakładanie, że wprowadzenie globalnej minimalnej stawki CIT może przynieść Polsce znaczne korzyści, może się okazać niezwykle zawodne. Nawet po ujednoliceniu zasad na poziomie międzynarodowym potentaci wciąż zachowają spory wachlarz możliwości w zakresie unikania podatków w poszczególnych krajach. Ponadto zaproponowane zmiany mogą co najwyżej skłonić poszczególne korporacje do tego, żeby zapłaciły podatek poza rajami podatkowymi. Z tego nie wynika jednak, że wielkie firmy zaczną ochoczo zasilać budżet takich państw jak Polska. Wbrew wszelkim pozorom kapitał nie wyzbył się wciąż instynktu narodowego, a dodatkowo bardzo często lubi się także angażować politycznie.

Niezwykle niepokojące jest także to, że cała inicjatywa wiąże się z poszerzeniem kompetencji organów międzynarodowych, działających ponad poszczególnymi państwami. Wprowadzenie jednolitej stawki minimalnej będzie wymagało dopracowania wielu dodatkowych przepisów, regulujących, na jakich dokładnie zasadach korporacje będą miały wykazywać zyski w poszczególnych krajach. To oczywiście jeszcze nie rząd światowy, ale bardzo niepokojący krok w kierunku centralizacji w zakresie polityki podatkowej.

Całemu światu podatkowa zmowa nie wyjdzie zresztą na dobre, ponieważ wszelkie ewentualne straty poniesione przez korporacje w wyniku konieczności zapłacenia wyższych podatków zostaną ostatecznie przerzucone na konsumentów. Ponadto jeżeli światowa gospodarka ma faktycznie się rozwijać i odbudowywać po pandemii, środkiem do tego służącym nie może być ograniczanie konkurencji podatkowej. Ujednolicanie zasad podatkowych może co najwyżej przyczynić się do jeszcze większej stagnacji, gdyż ogranicza bodźce służące rozwojowi.

KAJMANY, BAHAMY I BARBADOS

Najbardziej wątpliwym elementem osiągniętego właśnie porozumienia jest jednak wyrażona przez światowych liderów chęć walki z rajami podatkowymi. Jak łatwo zauważyć, Kajmany, Bahamy czy też Barbados nie zaliczają się do grona światowych mocarstw i gdyby najpotężniejsze państwa świata faktycznie chciały walczyć ze stosowanymi przez nie zerowymi stawkami podatku, z pewnością uczyniłyby to już dawno temu. Biorąc pod uwagę to, jak bardzo światowe elity gospodarcze i polityczne od lat są uwikłane w funkcjonowanie rajów podatkowych, przyjęcie, że oto nagle w 2021 r. pod wpływem pandemii zdecydowały się wspaniałomyślnie ukrócić ich działalność, zakrawa na prawdziwą fantasmagorię.

O wiele bardziej prawdopodobna wydaje się raczej teza, że najbogatsze kraje świata zwyczajnie przestraszyły się konkurencji ze strony mniej zamożnych państw, które w ostatnich latach mocno obniżyły CIT i inne podatki (jak choćby Węgry). I to właśnie najbogatsi zyskają najwięcej na globalnej minimalnej stawce podatku od osób prawnych, gdyż skupiają na swoim terytorium największą część działalności międzynarodowych potentatów. Sama zaś inicjatywa na rzecz wprowadzenia minimalnej globalnej stawki CIT jawi się bardziej jako chęć zapewnienia gigantom ochrony przed wprowadzanymi w różnych częściach świata podatkami przychodowymi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

Kosmiczni miliarderzy

Jeff Bezos już 20 lipca wyruszy w kosmiczną podróż FOT. BLUE ORIGIN

Jacek Przybylski

Jeff Bezos poleci w kosmos rakietą „New Shepard", którą wyprodukowała jego własna firma kosmiczna Blue Origin. Do założyciela Amazona dołączą jego brat Mark oraz jeszcze jeden śmiałek, który skłonny był wydać miliony dolarów na lot w kierunku gwiazd

Odkąd skończyłem pięć lat, marzyłem o podróżowaniu w kosmos. 20 lipca wyruszę w tę podróż z moim bratem. Największa przygoda z moim najlepszym przyjacielem" – napisał miliarder na Instagramie. Kapsuła wynoszona przez „New Shepard" może jednak zabrać w kosmos trzy osoby. Wolne miejsce dla bogatego kosmicznego turysty wystawiono więc na sprzedaż.

Tanio nie będzie. Jest to bowiem pierwszy w historii ludzkości lot w kosmos prywatnym statkiem kosmicznym, na którego pokładzie nie będzie żadnego profesjonalnego astronauty.

TURYSTYKA ZA MILIONY

Aż 4,8 mln dolarów, czyli równowartość 17,67 mln zł. Co najmniej tyle 10 czerwca trzeba było zapłacić za jedyne wolne miejsce w kapsule „New Shepard". Kwota ta zapewne jeszcze wzrośnie, dotychczas bowiem kosmiczni turyści za przyjemność oglądania Błękitnej Planety z jej orbity płacili równowartość kilkudziesięciu milionów złotych. Finał wielkiej licytacji kilku tysięcy zarejestrowanych chętnych ze 143 państw świata zaplanowany był na 12 czerwca, już po zamknięciu tego numeru tygodnika „Do Rzeczy".

Datę samego lotu wyznaczono na 20 lipca, ponieważ jest to 52. rocznica lądowania na Księżycu misji Apollo 11. Niestety, mimo wysokiej ceny za bilet podróż marzeń nie będzie trwała zbyt długo. Rakieta „New Shepard" wyniesie kapsułę z kosmicznymi turystami na tzw. linię Kármána, czyli ustaloną na wysokości 100 km (62,1 mili) umowną granicę pomiędzy atmosferą Ziemi i przestrzenią kosmiczną. Cały lot ma trwać kilkanaście minut. Trzeba jedna przyznać, że lot mimo wszystko jest atrakcyjny: po pierwsze – przez wielkie okna (w kapsule są one o wiele większe niż w typowych samolotach pasażerskich) będzie można oglądać Ziemię, a po drugie – przez kilka minut pasażerowie doświadczą uczucia nieważkości.

Według deklaracji miliardera pieniądze uzyskane ze sprzedaży pierwszego biletu w kosmos na pokładzie kapsuły firmy Blue Origin trafią na konto fundacji Club for the Future. Jej głównym

eprasa.pl 76b884c402

celem jest inspirowanie młodych do kariery zawodowej związanej z naukami ścisłymi, inżynierią, technologią oraz matematyką, a także wsparcie prac nad umożliwieniem życia poza Ziemią.

MARZENIA MILIARDERÓW

Linia Kármána to kolejna granica, którą w swoim życiu chce pokonać Jeff Bezos. Malutka internetowa księgarnia, którą założył w 1995 r., stała się nie tylko gigantem e-commerce, lecz także jednym z największych przedsiębiorstw na świecie. Jej wartość rynkowa szacowana jest zaś na 1,613 bln (sic!) dol. Sukces Amazona uczynił równocześnie Bezosa najbogatszym człowiekiem na Ziemi. Jak sam podkreśla w swojej książce „Invent & Wander: The Collected Writings of Jeff Bezos", jednym z kluczy do tak wielkiego sukcesu miało być wczesne chodzenie spać i wstawanie rano. Biznesmen zdradził też, że każdego dnia poświęca czas na „robienie niczego" – czytanie gazety, picie kawy i zwykłe „obijanie się" – co ponoć mocno pomagało mu w podejmowaniu właściwych decyzji biznesowych.

Miliarder zajmuje pierwsze miejsce mimo wyjątkowo kosztownego rozwodu. Za rozpad małżeństwa Bezos musiał bowiem zapłacić 36 mld dol., dzięki czemu MacKenzie Bezos po zdjęciu obrączki stała się trzecią najbogatszą kobietą świata. Nie bez powodu dobrzy prawnicy każdej zakochanej parze przed ślubem zalecają podpisanie intercyzy. Kobiety od wieków znają bowiem prawdę, którą James Holt McGavran ogłosił publicznie dopiero w XXI w. „Istnieje sposób na transfer pieniędzy jeszcze szybszy niż elektroniczna bankowość. To małżeństwo" – zauważył pisarz i literaturoznawca.

Nowa żona to niejedyna zachcianka amerykańskiego krezusa, którego majątek szacowany jest na ok. 187 mld dol. W maju wyszło na jaw, że Bezos wyda ponad 500 mln dol. na superjacht o długości ponad 100 m, który budowany jest przez holenderską stocznię Oceanco. Na szczęście dla akcjonariuszy nawet po najdroższym rozwodzie we współczesnej historii ludzkości Bezos zachował kontrolę nad spółką, która świetnie wykorzystała okazję wynikającą z pandemii koronawirusa.

Czy notowaniom spółki nie zaszkodzi kosmiczna pasja jej założyciela? Chociaż w przypadku tego typu lotów ryzyko zawsze istnieje, to akcjonariusze największego sklepu internetowego na świecie nie będą musieli drżeć o losy firmy. Kilkanaście dni wcześniej Jeff Bezos oficjalnie przestanie być dyrektorem generalnym Amazona. Stanie się to dokładnie 5 lipca, czyli w 27. rocznicę założenia firmy. Na stanowisku prezesa zastąpi go dotychczasowy dyrektor Amazon Web Services – Andy Jassy. Miliarder chce się bowiem skupić na pomocy charytatywnej: utworzonym przez siebie w 2018 r. funduszu Day One Fund, który skupia się na pomocy bezdomnym.

Niektórzy komentatorzy zauważają, że sferę działalności charytatywnej właściciel Amazona mógłby rozszerzyć na poprawę warunków życia założonej przez siebie firmy. Zdaniem związkowców w wielu krajach świata warunki zatrudnienia w firmie drastycznie odbiegają bowiem od oczekiwań. Również na portalu pl.indeed.com można przeczytać wiele negatywnych komentarzy osób podających się za byłych pracowników, którzy choć doceniają niemal darmowe obiady oraz bezpłatną kawę i herbatę, to narzekają m.in. na to, że „wyjścia do toalety kończą się naganą u menedżera", oraz na „mobbing" czy „toksyczną atmosferę pracy". Przykłady pracowników narzekających na fatalne warunki zatrudnienia w firmie Bezosa opisywały również różne polskie portale. W wielu krajach – m.in. w Niemczech, we Francji czy we Włoszech – organizowano również strajki przeciwko kiepskim warunkom zatrudnienia.

Nic nie wskazuje na to, by Bezos przejmował się takimi protestami, podobnie jak pikietami osób, które domagają się, by najbogatsi ludzie świata płacili wyższe podatki. Ze śledztwa dziennikarskiego amerykańskiej organizacji Pro Publica wynika bowiem, że w przypadku wielu krezusów w Stanach Zjednoczonych ich efektywne opodatkowanie jest bliskie zeru.

KOSMICZNE DWA TYGODNIE

Wolny czas miliarder chce też poświęcić na rozwój dziennika „The Washington Post", którego jest właścicielem, oraz na zagadnienia związane z eksploracją kosmosu przez kosmiczną firmę Blue Origin. Bezos nie jest jedynym bogaczem, któremu Ziemia już nie wystarcza. Własną wizję podboju kosmosu mają również Elon Musk oraz Richard Branson. Firma pierwszego z nich – Space X – jeszcze w tym roku zorganizuje w pełni komercyjny lot w kosmos. Miejsca wykupił 38-letni amerykański miliarder Jared Isaacman i on będzie dowódcą tej misji. Cena nie została oficjalnie ujawniona, ale według dziennika „USA Today" z pewnością były to „dziesiątki milionów dolarów".

Ta kapsuła jest jednak większa niż w firmie Blue Origin, więc na orbitę polecą wówczas wraz z nim jeszcze trzy inne osoby, w tym 41-letni Chris Sembroski, który od lat interesował się kosmosem i dostał bilet od przyjaciela. Na pokładzie znajdzie się też m.in. 51-letnia Proctor, która wygrała konkurs organizowany przez Isaacmana, a także 29-letnia Hayley Arceneaux z Dziecięcego Szpitala Badawczego St. Jude, która jako mała dziewczynka wygrała walkę z rakiem kości i będzie pierwszą w historii osobą w kosmosie z protezą.

Lot „Inspiration4" wydaje się bardziej atrakcyjny od lipcowej podróży Bezosa. Kapsuła „Crew Dragon" wyłącznie z kosmicznymi turystami na pokładzie ma bowiem dotrzeć na wysokość 540 km nad powierzchnią Ziemi i okrążać Błękitną Planetę przez kilka dni. Będzie to też pierwszy lot w historii ludzkości, gdy w kosmos polecą również cywile, którzy nie tylko nie są astronautami, lecz także nie są nawet milionerami, a jedynie wyjątkowymi szczęściarzami.

Astronauci cywile przed lotem przechodzą jednak cykl szkoleń, które mają ich przygotować na działanie sił grawitacyjnych podczas startu oraz powrotu na Ziemię. Space X planuje również uruchomienie lotów dookoła Księżyca. Pierwsze krótkie podróże to jednak jedynie początek kosmicznej turystyki na masową skalę. Od kilku miesięcy można już kupować bilet na kosmiczne wczasy. Wystarczy wyłożyć 55 mln dol., aby spędzić w kosmosie aż 10 dni, w tym osiem dni na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, a dwa w podróży w tę i z powrotem.

Kosmiczny biznes rozwija również Richard Branson, którego firma Virgin Galactic jest pierwszą publicznie notowaną spółką, która zajmuje się kosmiczną turystyką. Cena akcji Virgin Galactic od początku roku do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" wzrosła o ponad 60 proc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Zgubnie niskie bezrobocie

Rząd chwali się, że mamy najniższe bezrobocie w UE. To rzeczywiście powód do dumy. Ale byłby nim „jeszcze bardziej", gdyby nie – tak jak w naszym przypadku – niektóre przyczyny, które do tego stanu rzeczy doprowadziły.

Skąd bowiem bierze się niskie bezrobocie w Polsce? Niestety, nie tylko z tego, że Polacy są nad wyraz pracowici, a i notowane u nas tempo wzrostu – jak na covidowe czasy – więcej niż przyzwoite. Aby poznać całą prawdę o przyczynach niskiego bezrobocia, trzeba zdać sobie sprawę z tego, jak wielu Polaków rząd PiS wypchnął z rynku pracy na emerytury, kasując jedną z nielicznych dobrych zmian wprowadzonych przez rząd PO-PSL – stopniowego wydłużenia i wyrównania wieku emerytalnego – mężczyzn z 65 do 67 lat i kobiet z 60 do 67 lat. Anulując reformę, rząd PiS sprawił, że w ciągu pięciu lat z rynku pracy „przed czasem" już „wyparowały" setki tysięcy Polaków i nadal – co roku – „wyparowują" następne grube tysiące ludzi, którzy gdyby nie zmiana, pozostawaliby aktywni zawodowo dłużej. Kolejne tysiące Polaków rozstają się z rynkiem pracy (może nie na zawsze, lecz na pewno na pewien czas) w związku z wprowadzeniem zasiłku „500+"; bez względu na to, jak się ten program ocenia, jednym z jego skutków jest bowiem właśnie wyłączanie wielu ludzi, głównie kobiet, z rynku pracy.

Politycy PiS od początku doskonale zresztą wiedzieli, jakie będą konsekwencje ich złej zmiany, czyli odwołania dobrej zmiany zaprowadzonej przez rząd PO-PSL. I dlatego natychmiast po jej przeforsowaniu zaczęli dowodzić, że skorzystanie z obniżonego wieku emerytalnego jest prawem, a nie obowiązkiem, apelując do Polaków, by pracowali jak najdłużej i nie przechodzili na emeryturę. No a teraz, jako że ich apele, co było dziecinnie łatwe do przewidzenia, trafiły w próżnię, do słów dołączają oferowaną w ramach Polskiego Ładu zachętę finansową, która – znów nietrudno odgadnąć – przyniesie dokładnie taki sam skutek jak apele. Czyli żaden.

I tak właśnie przedstawia się cała prawda o polskim niskim bezrobociu, którym tak chlubi się rząd. Chlubi się, zamiast przyznać, że sam doprowadził do fatalnego stanu chronicznego braku polskich głów i rąk na polskim rynku pracy; braku, któremu nie są w stanie zaradzić ani milion – lub, jak rachują niektórzy, nawet dwa miliony – pracujących u nas Ukraińców, ani setki tysięcy cudzoziemskich pracowników z innych państw. Jakby tego było mało – jak informują media – w Kancelarii Prezydenta RP trwają prace nad ustawą o emeryturach stażowych, czyli – w gruncie rzeczy – ustawą o „jeszcze większym zmniejszeniu bezrobocia w Polsce"; jeśli bowiem wejdzie ona w życie, to będzie wypychać na emerytury jeszcze młodszych Polaków.

Aż strach się bać, czy na Ukrainie jest dostatecznie wielu Ukraińców, którzy zechcą przenieść się do Polski i pracować za Polaków? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Przykre skutki uległości

Ksiądz arcybiskup Stanisław Gądecki w stanowczych słowach zwrócił się do premiera Mateusza Morawieckiego w sprawie zniesienia absurdalnie niskiego limitu liczby wiernych w kościołach. Wskazał przy tym na brak logiki w podtrzymywanych restrykcjach w zestawieniu z innymi miejscami, takimi jak transport publiczny albo teatry i kina.

To, że rząd mógł Kościół lekceważyć, jest konsekwencją tej uległej postawy

Premier zareagował i limit wiernych w kościołach zostanie zwiększony. Można powiedzieć, że przewodniczący Konferencji Episkopatu miał szczęście, iż szef rządu zareagował, bo na przykład na kolejne pisma rzecznika małych i średnich przedsiębiorców Adama Abramowicza, który regularnie alarmował o fatalnej sytuacji przedsiębiorców oraz proponował konkretne rozwiązania, reakcji nie było żadnej od miesięcy. Ale w końcu Kościół to Kościół, a nie jacyś tam przedsiębiorcy.

Jednak nie sposób o słusznym liście ks. abp. Gądeckiego nie myśleć z pewnym wyrzutem. Kościół sprawę restrykcji epidemicznych w dużej mierze sobie bowiem odpuścił. Nie chcąc zapewne znaleźć się na kursie kolizyjnym z władzą, kościoły posłusznie pozamykano, udzielano dyspensy od uczestnictwa w najważniejszych nawet obrządkach, biskupi zaś w większości milczeli w sprawie restrykcji, uderzających już w podstawowe wolności obywatelskie, choć dotyczyły one również aktywności wiernych.

Pamiętam skrajnie przygnębiający obraz praktycznie pustego Krakowskiego Przedmieścia w tegoroczną Wielką Sobotę, gdy jedynie najwytrwalsi ruszyli w poszukiwaniu świątyń, gdzie można było święcić pokarmy. Na niektórych kościołach wywieszono informacje, że z powodu restrykcji jest to w nich niemożliwe. W zestawieniu z ogromnym kryzysem Kościoła w Polsce, wynikającym z innych kwestii, biskupi już wtedy powinni byli sobie zadać pytanie, czy taka postawa nie oznacza dobrowolnego wycofania się na margines i czy uczestnictwo choćby w najważniejszych kościelnych uroczystościach da się po epidemii łatwo odbudować.

To, że rząd mógł Kościół – powiedzmy sobie otwarcie – lekceważyć, podtrzymując bezzasadne limity, i zmienił decyzję dopiero po bardzo ostrej interwencji, jest konsekwencją tej niemal całkowicie uległej postawy. Jak śpiewał w „Balladzie o dwóch koniach" Wojciech Młynarski – „kto się stawia, ten ma z tego mimo wszystko jakiś zysk, a kto słucha i ulega, ten najpierwszy bierze w pysk". Amen. ©℗

eprasa.pl 76b884c402

BIUROKRATYCZNE KOSZTY DEWELOPERSKIEGO FUNDUSZU GWARANCYJNEGO

Urszula Hofman

Agata Szczęśniak

20 maja 2021 r. Sejm, po czterech latach procesu legislacyjnego, uchwalił ustawę o ochronie praw nabywcy lokalu mieszkalnego lub domu jednorodzinnego oraz Deweloperskim Funduszu Gwarancyjnym, nie tyle nowelizującą dotychczasową ustawę deweloperską, ile wprowadzającą jej zupełnie nową, znacznie bardziej obszerną treść.

Wprowadzonej przez UOKiK retoryce, wskazującej, że wprowadzenie obowiązku odprowadzenia składek na DFG nie odbije się na wzroście cen mieszkań, urząd nie poświęcił słowa uwagi temu, że Fundusz to nie tylko samo odprowadzenie składki od każdej wpłaty na mieszkaniowy rachunek powierniczy. Wprowadzone ustawą nowe obowiązki dla banków, szczególnie dotyczące ewidencjonowania wpłat na DFG, spowodują, co już jasno deklarują banki, podniesienie cen dla oferowanych na rynku nieruchomości instrumentów finansowych, w tym głównie w zakresie prowadzenia rachunków powierniczych.

Przede wszystkim ustawa nakazuje deweloperom otwierać mieszkaniowe rachunki powiernicze już w momencie rozpoczęcia sprzedaży, rozumianej teraz jako podanie do publicznej wiadomości informacji na temat rozpoczęcia procesu oferowania lokali mieszkalnych lub domów jednorodzinnych w ramach określonego przedsięwzięcia deweloperskiego lub zadania inwestycyjnego oraz gotowości do zawierania z nabywcami umów deweloperskich. Utrzymywać je będzie trzeba według przyjętej ustawy aż do dnia, w którym nastąpi przeniesienie praw z ostatniej umowy deweloperskiej, co będzie generowało dodatkowe koszty.

Przed dokonaniem wypłaty z rachunków powierniczych na rzecz dewelopera bank będzie zobowiązany do weryfikacji, czy deweloper nie zalega z podatkami i ze składkami na ZUS, podatkami od nieruchomości oraz czy uregulował wymagalne i bezsporne zobowiązania pieniężne wobec wykonawców i podwykonawców, czy dokonał wpłaty należnej składki na DFG. Wszelkie koszty tych kontroli ma ponosić deweloper – co również dodatkowo, obok innych proponowanych zmian, przełożyć się może na zwiększenie kosztów inwestycji. Nowe uprawnienia kontrolne banku są bardzo szerokie i mogą ponadto prowadzić do blokowania wypłaty środków przez banki w sytuacjach nieuzasadnionych (lub trudnych do wykazania). Przykład: wystarczy, że wykonawca nie zapłaci podwykonawcy, a ten poinformuje bank prowadzący rachunek powierniczy, że deweloper ma obowiązek mu zapłacić dług wykonawcy. Bank nie będzie analizował, czy należności te są wymagalne, czy nie, i po prostu wstrzyma wypłatę.

Ostatnia rzecz, która w biurokratycznej machinie DFG stanowić będzie generator kosztów, to obowiązki ewidencyjne deweloperów względem Funduszu. UOKiK zaplanował stworzenie dla DFG całego systemu, zwanego Ewidencją Deweloperskiego Funduszu Gwarancyjnego. Do tej Ewidencji, zarówno deweloperzy, jak i banki będą musieli stale raportować w terminie siedmiu dni praktycznie o wszystkich danych dotyczących realizowanych inwestycji.

Przedstawione przykłady pokazują, że skala okoliczności podwyższających koszty inwestycji jest ogromna. Ustawa obniża przede wszystkim ryzyka banków, natomiast podwyższa je, i to zdecydowanie, względem przedsiębiorców, którzy będą musieli mierzyć się z nowymi regulacjami, niejednokrotnie niejasnymi i wątpliwymi legislacyjnie.

Warto zastanowić się, czemu służyć ma zwiększenie pozycji banków oraz ich bezpośredniej kontroli i możliwości ekonomicznego blokowania realizacji inwestycji.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 76b884c402

Łukasz Majchrzyk

Kubica na podium

Robert Kubica to kierowca wyjątkowy. Potrafi się zaadaptować do każdych warunków i wszędzie odnosić sukcesy. W ostatnich tygodniach potwierdził swoją klasę w wymagających rajdach długodystansowych

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Gdyby nie pechowy wypadek w 2011 r., jego kariera prawdopodobnie potoczyłaby się inaczej. Być może przez wiele lat święciłby triumfy na torach Formuły 1, gdzie pokazywał wielki potencjał i rzadko spotykane umiejętności. Zapewne wygrałby niejeden wyścig i jeszcze częściej stawał na podium. Interesowały się nim najlepsze i najbogatsze zespoły, a to w świecie sportów motorowych ważny czynnik, bez którego nie ma co marzyć o sukcesach.

PRACOWITY JAK POLAK

Kubica był poszukiwanym i cenionym kierowcą nie tylko z powodu wyników, które osiągał na torze. Wszyscy znawcy zgodnie podkreślali wielką pracę, jaką polski kierowca potrafił wykonać z dala od fleszy aparatów i obiektywów kamer – w garażu czy w warsztacie, siedząc z inżynierami i przekazując im bezcenne wskazówki o tym, jak auto zachowuje się na torze przy konkretnych ustawieniach i czasami zmiennej pogodzie. Mieć kogoś takiego w ekipie, w sporcie, w którym trwa wyścig o tysięczne części sekundy i milimetry, w sporcie, gdzie najdrobniejsza niedokładność w ustawieniach czy budowie samochodu może przekreślić szanse na dobry wynik – to jak wygrać los na loterii.

Po powrocie do zdrowia Polak długo walczył o powrót do królowej sportów motorowych. Droga do ponownych startów w Formule 1 wiodła przez rajdy, gdzie Kubica musiał radzić sobie z ograniczeniami własnego ciała. Jego prawa ręka nie jest w pełni sprawna, co powodowało dodatkowe utrudnienia. – Wszystko dobrze, ale na krętych partiach na szutrze jazda z jedną ręką na kierownicy i drugą na hamulcu ręcznym jest dla mnie bardzo trudna. Moje 23 lata doświadczenia nic nie znaczą na tym odcinku!

Przez większą część kariery ścigał się na asfaltowych torach, a tutaj musiał sobie radzić z innym typem nawierzchni, a czasami też z padającym śniegiem. Do tego dochodziły jeszcze współpraca z pilotem, zbudowanie zaufania, nauczenie się porozumiewania bez niepotrzebnych słów.

Mimo tych utrudnień Kubica został mistrzem świata w klasie WRC2 w 2013 r. To był jeden z etapów wracania do sportu, do będącej szczytem jego marzeń Formuły 1. Zbliżał się tam krok po kroku. Siadał za sterami symulatora, potem starszych modeli bolidów, w czasie przedsezonowych testów. Najpierw pojawił się w Renault, potem w Red Bullu. Wszędzie zostawiał po sobie dobre wrażenie.

Nie błyszczał tak jak kiedyś, bo gdyby jeździł tak, jak przed kontuzją, to pewnie od razu znaleźliby się chętni na zatrudnienie go, ale pokazywał, że nawet prowadząc auto jedną ręką, jest ciągle świetnym kierowcą. Aż wreszcie spełnił swój sen i razem z Orlenem dołączył do legendarnego teamu Williamsa. Problemy organizacyjne brytyjskiej ekipy sprawiły jednak, że nie udało się przywrócić kierowcy i zespołowi dawnego blasku. Budowa samochodu regularnie się opóźniała, przez co tracono bezcenne dni testów, ciągle brakowało też części zamiennych. Pomimo tego to właśnie Kubica wywalczył dla Williamsa jedyny

eprasa.pl 76b884c402

punkt w sezonie 2019, na torze Hockenheim. Trzeba by kiedyś usiąść za sterami bolidu Formuły 1, by wiedzieć, jak wielkim wyzwaniem musi być prowadzenie tak potężnej maszyny praktycznie tylko lewą ręką.

NOWE WYZWANIA

Po nieudanej przygodzie z Williamsem Polak znalazł zatrudnienie w teamie Alfy Romeo. Nie bierze udziału w wyścigach, ale jest kierowcą testowym i rozwojowym. To daje mu możliwość regularnego pojawiania się w padoku Formuły 1 i trzymania ręki na pulsie wszelkich zmian. Jeśli trzeba coś przetestować, to wzywa się Polaka, bo nikt nie dostarczy większej porcji rzetelnych informacji. Równocześnie Kubica cały czas startuje w innych seriach wyścigowych. Rok temu był częścią prestiżowej, popularnej w Niemczech serii DTM. To wymagało kolejnej porcji samozaparcia, dostosowania się do wymagań, elastyczności – jednym słowem: nauczenia się specyfiki samochodów, którymi Polak się wcześniej nie ścigał.

Nie da się wsiąść do nowego auta i od razu być najlepszym, zwłaszcza jeśli za rywali ma się utalentowanych i doświadczonych kierowców, a w serii DTM można było spotkać naprawdę znane postaci, takie jak choćby byłego kierowcę Formuły 1 Tima Glocka.

Teraz polski kierowca zmierzy się z nowymi wyzwaniami. Postawił na wyścigi długodystansowe i ściga się w bardzo widowiskowej European Le Mans Series. To oznaczało konieczność kolejnej zmiany nawyków i dostosowania się do nowych warunków. Polak dołączył do zupełnie nowego zespołu, dla którego jest to debiutancki sezon. Jakby tego było mało, ta klasa wyścigowa jest wyjątkowa, bo trzej kierowcy muszą się dzielić jednym autem w trakcie wyścigu. Nie da się dostosować ustawień pod konkretnego zawodnika, ale trzeba znaleźć optymalne rozwiązania, które pomogą wykorzystać umiejętności każdego członka zespołu i ukryć ewentualne braki. Sytuację jeszcze utrudnia fakt, że – jak podkreślał sam Kubica – nie ma dwóch kierowców, którzy prowadziliby auto w ten sam sposób. Każdemu pasuje coś innego, więc każdy musi trochę ustąpić.

Jest zupełnie inaczej, niż było w Formule 1, gdzie każdy grał na siebie, a pierwszym marzeniem i celem było pokonanie kolegi z zespołu. Tutaj jest się częścią zespołu i swoje ego (w sportach motorowych wysoki poziom samouwielbienia jest często spotykany) trzeba schować do kieszeni. To zespół decyduje o tym, co będzie dla niego najlepsze: który kierowca ruszy z linii startu, który wsiądzie do auta w środku wyścigu, a który będzie musiał dowieźć wynik do końca. Jeden błąd może zniweczyć wysiłek dużej grupy ludzi. W tym sporcie nie wolno grać na siebie, a niektórym może nie być łatwo się z tym pogodzić. Kubica, który ma 36 lat i wiele przeżył, wie, jak się dostosować i co jest najważniejsze w odniesieniu końcowego sukcesu.

Kubica jest tym, który potrafi w trudnych momentach dobrze doradzić, bo niejedno już w sportach motorowych widział, przez wiele sytuacji przeszedł. Jego zespół, który dopiero zaczyna przygodę z wyścigami w serii European Le Mans Series, wygrał dwa pierwsze wyścigi. To była sensacja, a to drugie zwycięstwo, jak wszystko na to wskazuje, zespół zawdzięcza Polakowi, który nie tylko świetnie pojechał, lecz także doradził właściwą strategię.

Kiedy Kubica wsiadał do samochodu, na tor Red Bull Ring nadciągnęły ciemne chmury. Polski kierowca doradził, żeby założyć opony deszczowe, a nie przejściowe. Ryzyko, które podjął wraz z inżynierami i władzami zespołu, się opłaciło, bo w trakcie ulewy Polak poradził sobie świetnie i następny kierowca musiał tylko bronić wypracowanej przewagi. Tak doskonała jazda Kubicy, po tym wszystkim, co przeszedł w życiu, budzi szacunek i podziw. Kilka lat temu mało kto przypuszczał, że Polak będzie w stanie wrócić do ścigania się, nie mówiąc już o stawaniu na podium, a tym bardziej zwyciężaniu w prestiżowej i trudnej rywalizacji.

Każdego roku do świata wielkiego sportu motorowego próbuje się dostać wielu ludzi. Jedni wykorzystują do tego wielkie pieniądze rodzinne (np. Lance Stroll, któremu ojciec „kupił" miejsce w teamie Williamsa). Inni mają wspaniałe nazwiska (Ferdinand Zvonimir Habsburg-Lothringen przyciąga uwagę). Inni kontynuują tradycje rodzinne (Pietro Fittipaldi jest wnukiem dwukrotnego mistrza świata Formuły 1, a Harrison Newey synem słynnego inżyniera), a Kubica trwa w tym świecie dzięki swojemu uporowi, talentowi i ciężkiej pracy.

Kubicę czeka w tym roku jeszcze start w legendarnym 24-godzinnym wyścigu Le Mans. Na starcie nie zabraknie wielu kierowców z przeszłością w Formule 1 (rok temu w zwycięskim teamie jechał słynny Hiszpan Fernando Alonso). Możliwość oglądania Kubicy w tej rywalizacji będzie dla kibiców wspaniałym przeżyciem, a ewentualny dobry wynik przejdzie do historii. Polski kierowca na pewno nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Ma dopiero 36 lat i sam chyba na dobrą sprawę nie wie, na co jeszcze go stać. Jednego można być pewnym: im większe trudności i konieczność dostosowania się do zmiennych warunków, tym bardziej polski kierowca jest zmobilizowany i groźny. Takich umiejętności nie zastąpi nawet najlepszy samochód.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

Lek, który przedłuża sprawność

Katarzyna Pinkosz

Około 30 chłopców w Polsce czeka na szansę leczenia, które spowoduje, że będą mogli dłużej samodzielnie chodzić, a także dłużej samodzielnie oddychać, a więc dłużej żyć. Terapia jest droga. Tylko jak wycenić czyjeś sprawność i życie?

Damian w tym roku kończy 10 lat. Gdy miał trzy lata, rodziców zaniepokoiło to, że jest mniej sprawny niż rówieśnicy, ma problem z wchodzeniem po schodach, wolno biega, a jego rozwój ruchowy przestaje postępować. Początkowo lekarze uspokajali, że każde dziecko rozwija się indywidualnie, ale chłopiec coraz bardziej „odstawał" ruchowo od kolegów. Kolejne wizyty u lekarzy i w wieku czterech lat diagnoza, która dla rodziców była szokiem: dystrofia mięśniowa Duchenne'a (DMD).

To rzadka choroba uwarunkowana genetycznie: defekt genetyczny uszkadza gen kodujący dystrofinę, białko bardzo ważne dla mięśni. Choroba jest sprzężona w sposób recesywny z chromosomem X, dlatego dotyka niemal wyłącznie chłopców. Początkowo rozwój może przebiegać prawidłowo, jednak już w drugim–trzecim roku życia mogą pojawić się pierwsze objawy: dziecko jest mało aktywne ruchowo, nie biega, nie skacze, często się przewraca. Problemy pogłębiają się w kolejnych latach: widać osłabienie mięśni nóg, rąk, tułowia, dziecko przy wstawaniu pomaga sobie rękami. Diagnoza zwykle stawiana jest między trzecim a piątym rokiem życia. – Mięśnie słabną, jednak nie dzieje się to nagle. Chłopiec stopniowo traci siły, zaczyna coraz gorzej chodzić. Zwykle gdy ma 10–15 lat, traci zdolność samodzielnego poruszania się, musi korzystać z wózka inwalidzkiego; początkowo zwykłego, potem elektrycznego. Postępuje niedowład mięśni rąk, mięśni przykręgosłupowych, jednak zmiany dotykają też mięśnia sercowego i mięśni oddechowych. W przebiegu choroby dochodzi do rozwoju kardiomiopatii, czyli uszkodzenia serca, a także do przewlekłej niewydolności oddechowej – tłumaczy dr hab. med. Anna Potulska-Chromik z Katedry i Kliniki Neurologii UCK WUM.

SPOWOLNIĆ POSTĘP CHOROBY

Co roku rodzi się w Polsce ok. 30–40 chłopców z tą ciężką, postępującą chorobą. Diagnozę potwierdza badanie genetyczne. Nie ma dziś leku, który wyleczy DMD. Wskazane są rehabilitacja, podawanie sterydów, które spowalniają postęp choroby, oraz leczenie polegające na spowolnieniu rozwoju zmian w sercu i w układzie oddechowym. – Przyjmowanie sterydów pozwala przedłużyć możliwość chodzenia o kilkanaście miesięcy, a być może nawet o dwa–trzy lata, a także pozwala dłużej utrzymać w lepszym stanie mięśnie oddechowe i może chronić przed kardiomiopatią – tłumaczy dr hab. med. Anna Potulska-Chromik. Nadzieją dla pacjentów są jednak leki przyczynowe, które mogą oddziaływać na defekt genetyczny. Na świecie toczy się ponad 200 badań klinicznych w DMD, na razie jednak zostało zarejestrowanych tylko kilka leków dla niewielkiej grupy pacjentów, a leki oddziałujące na defekt genetyczny muszą pasować do rodzaju mutacji jak „klucz do zamka".

Damian miał pięć lat, kiedy pierwszy raz dostał ataluren: lek zarejestrowany przez EMA (Europejską Agencję Leków)

eprasa.pl 76b884c402

FOT. ADOBE STOCK

dla tych chorych na DMD, którzy mają tzw. mutację nonsensowną w genie dystrofiny (dotyczy to ok. 10–15 proc. chorych). Chłopiec przyjmuje leczenie już ponad 4,5 roku. – Nadal jest samodzielny i niezależny od innych, chodzi do szkoły, ma jedynie częściowe zwolnienie z WF. Wyjeżdżamy na wakacje na kilkudniowe spływy kajakowe, urlopy najczęściej spędzamy w górach – opowiada mama chłopca. Damian jest dzieckiem z Czech; w tym kraju lek jest refundowany już od kilku lat: może go otrzymać dziecko od drugiego roku życia, jeśli ma mutację nonsensowną; otrzymują go nawet pacjenci z DMD, którzy przestali już chodzić.

W Polsce producent od kilku lat stara się o refundację (część chłopców przyjmowała lek w ramach badań klinicznych lub w formie darowizny od firmy). – To bardzo nowoczesna terapia, która pozwala zachować dłużej sprawność ruchową, wydłuża okres samodzielności. Pacjenci, których miałam pod opieką w pierwszym badaniu klinicznym, mają dziś kilkanaście lat lub są pełnoletni, część z nich nadal chodzi, co jest olbrzymią rzadkością wśród chorych na DMD. O tym, że lek może być skuteczny, można przekonać się nie tylko na podstawie wyników badań klinicznych, lecz także na podstawie obserwacji i rejestru pacjentów, którzy otrzymują tę terapię – mówi dr hab. med. Anna Potulska-Chromik.

dr Michał Jachimowicz, ekspert ochrony zdrowia, MAHTA

Z roku na rok pojawiają się kolejne dowody z badań klinicznych, a także z badań porejestracyjnych, jeśli chodzi o skuteczność atalurenu. Coraz więcej pacjentów na świecie jest obejmowanych leczeniem, dlatego mamy coraz więcej obserwacji, jak terapia działa w rzeczywistości. To bardzo wiarygodne dane, gdyż są zbierane w formie rejestru STRIDE: jest tam coraz więcej informacji na temat pacjentów długotrwale stosujących lek. Rejestr dostarcza bardzo pozytywnych danych: czas do utraty możliwości samodzielnego chodzenia wydłuża się u chorych stosujących lek o ponad cztery lata. Dłuższy czas samodzielnego chodzenia oznacza też lepszy rozwój całego organizmu, całego kośćca, w tym klatki piersiowej, dzięki czemu dziecko będzie mogło dłużej samodzielnie oddychać.

Jedną z przyczyn braku refundacji w Polsce jest negatywna opinia AOTMiT, która uznała, że są niedostateczne wyniki badań klinicznych. Jednak w chorobach rzadkich nie ma badań z liczną grupą pacjentów, podzieloną na części, z których jedna jest poddawana terapii, a druga nie. Zebranie dużej grupy do badania nie jest możliwe, zważywszy na to, że np. w Polsce jest ok. 20–30 osób, które kwalifikowałyby się do takiej terapii. Trzeba więc oceniać skuteczność leku na podstawie dowodów, którymi dysponujemy. Ważny jest też aspekt etyczny: czy etyczna byłaby obserwacja części chorych biorących udział w badaniu – po badaniach wcześniejszej fazy, które wykazały, że lek spowalnia postęp choroby – wiedząc, że nie dostają oni terapii? Rozumiem, że AOTMiT musi wskazać na pewne ograniczenia, jednak nie upierajmy się przy nich. Jeśli chcemy naprawdę pomóc pacjentom, to oceńmy skuteczność leków na podstawie takich dowodów, jakimi dysponujemy.

Drugim elementem są koszty terapii, które w chorobach rzadkich zawsze są wyższe, gdyż pacjentów jest niewielu. To nie jest jednak „wina" pacjenta, że zachorował na chorobę rzadką. Czy w takim razie mamy go pozostawić samemu sobie? To pytanie wręcz cywilizacyjne: Jaką chcemy być cywilizacją, czy taką, która stara się sprawiedliwie pomagać? Warto zwrócić uwagę też na to, że leczone dzieci znacznie później będą wymagały pełnej opieki, gdy to zwykle jedno z rodziców musi przestać pracować, a więc przestaje też płacić podatki, składkę zdrowotną, przechodzi na rentę: staje się wydatkiem dla systemu. Najważniejsze jest jednak to, że leki w chorobach rzadkich powinny być inaczej oceniane, zarówno na poziomie badań klinicznych, jak i efektywności kosztowej.

NIEPEŁNOSPRAWNI WŚRÓD NIEPEŁNOSPRAWNYCH

Tak często mówi się o osobach z dystrofią Duchenne'a. Nawet jeśli wcześnie postawi się diagnozę, trudno powstrzymać postępującą niepełnosprawność. Pacjenci powinni być pod opieką specjalistycznego ośrodka, w którym byłaby zawsze możliwość konsultacji z neurologiem, fizjoterapeutą, psychologiem, ortopedą, pulmonologiem, kardiologiem. Niezbędna jest też stała rehabilitacja.

Problemem nadal jest jednak brak koordynowanej opieki, „celowanej" rehabilitacji w miejscu zamieszkania pacjenta, opieki wytchnieniowej dla rodziców. Brak jest refundacji leku omijającego mutację nonsensowną, który mógłby pomóc części pacjentom (szacuje się, że lek mogłoby otrzymywać ok. 20–30 osób), ale też innych niezbędnych leków. Spośród dwóch zalecanych w tej chorobie sterydów jeden nie jest dostępny w Polsce, a drugi jest, ale nierefundowany (co prawda jego koszt nie jest wysoki, jednak trzeba go stosować w sposób ciągły, co jest dla rodziców wydatkiem). Paradoksem jest też to, że dla dzieci z dystrofią Duchenne'a nie są refundowane leki kardiologiczne, które są refundowane dla dorosłych chorych na serce i nadciśnienie tętnicze.

– Damian może cieszyć się prawie tym samym co każde inne dziecko w jego wieku. Nie odczuwamy większych ograniczeń dla całej rodziny w związku z diagnozą syna. Dla nas jest bardzo istotne, że Damian jest szczęśliwym dzieckiem, samodzielnym – dodaje mama chłopca. Przy tak ciężkiej i postępującej w nieubłagany sposób chorobie możliwość zastosowania leczenia jest czymś, o czym marzą pacjenci w Polsce i ich rodziny, a także lekarze zajmujący się tymi chorobami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 76b884c402

TEST „DO RZECZY": ZESTAW SŁUCHAWKOWY BLUEPARROTT M300-XT

Świetnie działająca redukcja hałasów z otoczenia, niewielka waga, świetna bateria oraz dobry stosunek ceny do jakości urządzenia – to największe zalety najnowszego zestawu słuchawkowego BlueParrott, siostrzanej firmy duńskiej marki Jabra. Urządzenie przydać się może kurierom, handlowcom, zawodowym i amatorskim kierowcom oraz tym, którzy często są w rozjazdach lub regularnie muszą odbierać telefony w hałaśliwym otoczeniu.

Model M300-XT jest najmniejszy i najlżejszy w ofercie BlueParrot. Waży zaledwie 20 g. W zestawie znajdują się też trzy nakładki żelowe EarGel o różnych rozmiarach, które pozwalają zwiększyć komfort użytkowania urządzenia. Niewielkie przyciski na słuchawce umożliwiają regulację głośności, a łatwy do odnalezienia przycisk specjalny można zaprogramować tak, aby mieć prosty dostęp do najczęściej używanych funkcji (np. szybkiego wyboru kontaktów, wyciszania połączenia czy funkcji walkie-talkie). Okularnicy mogą początkowo mieć problem ze znalezieniem komfortowego ułożenia zestawu i okularów, ale wystarczy trochę pokombinować, aby móc bez problemu korzystać z urządzenia.

Jakość wykonania jest na wysokim poziomie. Największym plusem testowanego zestawu jest zaś świetnie dopracowany system redukcji hałasu. Według producenta zastosowanie dwóch mikrofonów MEMS umożliwia zmniejszenie ilości niechcianych dźwięków z otoczenia nawet o 80 proc. I rzeczywiście: mikrofon sprawdza się bardzo dobrze. Zestaw świetnie redukuje nie tylko hałasy z kawiarni czy ze sklepu, lecz także nawet dźwięki telewizyjnych reklam. Dobrze radzi sobie również z „wycinaniem" niepotrzebnych dźwięków o niskiej częstotliwości.

Maksymalny zasięg łączności bezprzewodowej testowanego zestawu wynosi aż 100 m. Można więc zostawić smartfon na biurku i swobodnie chodzić po biurze, sklepie czy magazynie, nie tracąc zasięgu.

Dużą zaletą modelu M300-XT jest także długo działająca bateria, dzięki której na jednym ładowaniu przez testowany zestaw można rozmawiać nawet 14 godzin.

A wady? Istotnym minusem jest brak całkowitej wodoszczelności zestawu. Oficjalnie stopień ochrony wynosi IP54, co oznacza dobrą ochronę przed pyłem oraz przed nawet niewielką ilością wody bryzgającej z dowolnego kierunku, czyli po prostu przed drobnymi zachlapaniami. Urządzenie ani na chwilę nie powinno wpaść do wody. Dla osób pracujących w biurze czy magazynie nie będzie to wielka przeszkoda, ale już kurierom może się zdarzyć, że zestaw upadnie wprost do kałuży lub że będą mieli go na sobie podczas ulewnego deszczu.

Drugi minus to niezbyt wysoka maksymalna głośność słuchawki. W wypadku zestawu zaprojektowanego tak, aby wkładki żelowe jedynie przylegały do ucha, może to być problem. W przeciwieństwie do typowych dousznych słuchawek wkładki żelowe modelu M300-XT nie odcinają bowiem od zewnętrznych hałasów. To oznacza, że w głośnym otoczeniu rozmówca może bez problemu słyszeć nas, ale my już niekoniecznie musimy dobrze słyszeć rozmówcę.

Mimo wszystko plusy przeważają nad minusami. Jeśli się weźmie pod uwagę cenę zestawu (ok. 500 zł), to zasługuje on na solidną czwórkę w sześciostopniowej skali. ©℗

Jacek Przybylski

SMARTWATCH SAM WEZWIE POMOC

Forerunner 945 LTE to najnowszy inteligentny zegarek firmy Garmin, który może działać niezależnie od smartfona. Gadżet przeznaczony dla fanatyków fitnessu oferuje wiele sportowych aplikacji, opcję pilnowania tempa (Pace Pro), codzienne sugestie treningowe, możliwość dokonywania płatności zbliżeniowych itd. Flagowy model inteligentnego zegarka umożliwia również udostępnianie rodzinie lub przyjaciołom lokalizacji w czasie rzeczywistym. Oprócz tego w wielu krajach – choć w Polsce jeszcze nie – użytkownicy modelu Forerunner 945 LTE mogą liczyć na to, że w razie wypadku ich inteligentny zegarek sam wezwie do nich pomoc, czyli automatycznie udostępni ich imię oraz dokładną lokalizację zespołowi reagowania, którego pracownicy zadzwonią np. po karetkę. Smartwatch kosztuje 650 dol., czyli ok. 2,4 tys. zł.

GŁOŚNIK NA WAKACYJNE WYPADY

Beosound Explore duńskiej firmy Bang & Olufsen to wodoodporny głośnik bezprzewodowy, zaprojektowany z myślą o miłośnikach wakacyjnych przygód. Aby gadżet mógł w jednym kawałku wrócić do domu, producent wyposażył głośnik w utwardzoną i odporną na zarysowania obudowę, która jest w pełni pyło- oraz wodoodporna (klasa IP67 oznacza, że głośnik powinien przetrwać nawet zanurzenie w wodzie na głębokości metra przez 30 minut). Beosound Explore to również pierwszy model producenta, który obsługuje już moduł Bluetooth 5.2. Według jego twórców dostępny w trzech kolorach gadżet na jednym ładowaniu baterii powinien odtwarzać muzykę nawet przez 27 godzin. Cena: 899 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 76b884c402

REKLAMA

ZŁOTY GLOB
ZWYCIĘZCA
NAJLEPSZY FILM ZAGRANICZNY

OSCARS
ZWYCIĘZCA
NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA
YUH-JUNG YOUN

BAFTA
ZWYCIĘZCA
NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA
YUH-JUNG YOUN

ZŁAMIE CI SERCE Z EMOCJI,
BY ODBUDOWAĆ JE SILNIEJSZYM

MINARI

TYLKO W KINACH OD 18 CZERWCA

REKLAMA

Szkoła Wyższa Wymiaru Sprawiedliwości

SWWS

PRAWO

JEDNOLITE STUDIA MAGISTERSKIE
BEZPŁATNE
O PROFILU PRAKTYCZNYM

swws.edu.pl/prawo

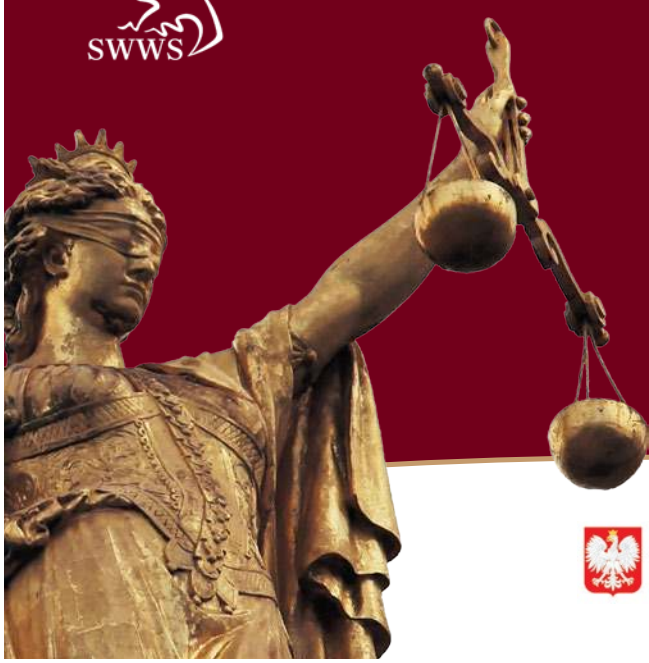

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

Szkoła Wyższa Wymiaru Sprawiedliwości
ul. Wiśniowa 50, 02-520 Warszawa
tel. 22 602 44 14
e-mail: **rekrutacja.studia@swws.edu.pl**

eprasa.pl 76b884c402

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Alumnat dla kalekich żołnierzy

JACEK KOMUDA

Jeśli w XVII w. żołnierz nie pochodził z bogatej szlachty, nie posiadał majątków czy królewskich nadań ani nie zdołał ożenić się bogato, tak jak Jan Chryzostom Pasek czy Jan Władysław Poczobut Odlanicki, to na starość czekały go ciężki los tułacza, dziadowska „torba i kij". Pozostawało mu tylko wracać do rodziny, a jeśli jej nie miał – to tułać się po szlacheckich dworach jako sługa lub nauczyciel szermierki. Gdy dodatkowo był kaleką, mógł tylko szukać schronienia w szpitalu dla starych żołnierzy. Niestety, takich fundacji, zwanych alumnatami, było niewiele, powstawały rzadko z fundacji króla lub dawnych dowódców wojskowych. W Warszawie szpital dla żołnierzy założył w 1582 r. Stefan Batory, jednak w 1638 r. zamieniono go na arsenał. Kolejne były na Rusi – alumnat św. Katarzyny w Jazłowcu i alumnat św. Łazarza w Kamieńcu Podolskim. We Lwowie w 1637 r. Jan Skalski ufundował szpital św. Marcina dla wysłużonych 12 żołnierzy, mieszczący się przy klasztorze Karmelitów. I wreszcie do dzisiejszego dnia przetrwały zabudowania alumnatu w Tykocinie, założonego w 1633 r. przez marszałka litewskiego Krzysztofa Wiesiołowskiego, także przeznaczonego dla 12 weteranów. Szpitale dla żołnierzy należy przy tym odróżnić od zwykłych przytułków przeznaczonych dla starców i niedołężnych, gdyż często pełniły one dodatkowe funkcje obronne. Na przykład wspomniany alumnat w Tykocinie włączony był w system fortyfikacji miejskich. Pierwotnie miał dwie baszty, które służyły do obrony przeprawy i miasta. Utrzymywani tutaj inwalidzi mieli także – w razie potrzeby i w miarę możliwości – wspierać walczących.

Widok alumnatu w Tykocinie z XIX w.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. JAKUB TAŃSKI

Alumnat tykociński to jeden z nielicznych zachowanych szpitali wojskowych z XVII w. Chociaż przebudowany sto lat później, to daje dobre wyobrażenie o tym, jak wyglądały takie miejsca. Ich nazwa wywodziła się od łacińskiego „alumnare" – żywić, wychowywać. Pierwotnie oznaczały one w ogóle, jak podaje Gloger, „zakłady, w których uczniowie, alumni, otrzymywali bezpłatnie, kosztem biskupów, z funduszy kościelnych lub zapisów prywatnych – stół, mieszkanie i naukę". Alumnat tykociński utrzymywany był z dochodów z dóbr w Dolistowie, zapisanych przez Wiesiołowskiego. Sejm zatwierdził ten zapis, a król Władysław IV wszystkie te przywileje potwierdził. W alumnacie mieszkało 12 żołnierzy, „dobrze w ojczyźnie zasłużonych katolików, szlachetnie urodzonych, skaleczonych w bitwie za Rzeczpospolitą albo przez starość osłabionych, niemających sposobu do życia". Dodatkowo każdy z nich otrzymywał 200 zł co roku, sumę w owych czasach całkiem niemałą.

Alumnat tykociński przeżył dziejowe burze i przeciwności losu. W 1655 r. zajęty przez Szwedów, został zdobyty przez wojska litewskie Jana Pawła Sapiehy, który oblegał w pobliskim zamku Janusza Radziwiłła. Później wraz z całym Tykocinem przeszedł w ręce Stefana Czarnieckiego. Pod koniec XVII w. był w fatalnym stanie i wymagał remontu, w 1741 r. od pożaru pobliskiego kościoła parafialnego zapaliło się wschodnie skrzydło. W połowie wieku został przebudowany z polecenia hetmana Jana Klemensa Branickiego, tracąc swój obronny charakter. Dalsza przebudowa w latach międzywojennych zmieniła wygląd dachu i wielu elementów budowli. Ciekawe, że – jak podaje Gloger – pod koniec XIX w. alumnat w dalszym ciągu pełnił funkcję szpitala; przebywało w nim 16 inwalidów, którzy mieli tutaj mieszkanie, opał i po 200 zł rocznej pensji.

Poza polskimi i litewskimi szpitalami dla kalekich i starych żołnierzy sławny był też w XVII w. monastyr w Trechtymirowie nad Dnieprem. Kiedy w 1578 r. starosta czarkaski Michał Wiśniowiecki został dowódcą rejestrowego oddziału Kozaków, król nadał im wspomniane miasteczko, aby założyli tam szpital dla Zaporożców. Mieścił się on w monastyrze Zarubskim Preczystej i był utrzymywany z opłat za przewóz przez Dniepr. W przyszłości stał się jedną z przyczyn niezgody pomiędzy Rzecząpospolitą i Kozakami, ponieważ Trechtymirów kilkakrotnie im odbierano. W 1617 r. nadany został ponownie Zaporożcom. W latach późniejszych, podobnie jak wiele klasztorów i cerkwi na Ukrainie, był wielokrotnie niszczony i odbudowywany. W 1678 r. spalili go i zrujnowali Turcy, odnowiony przez bazylianów, został spalony w 1768 r., w czasie Koliszczyzny. Do dziś jednak zachował się w Trechtymirowie cmentarz zwany kozackim, na którym chowano ludzi jeszcze w XIX w. ©℗

eprasa.pl 76b884c402

JAK ZROBIĆ GĘSIE PIPKI, PODPOWIADA DANIEL TWARDO

Gęsie pipki to tradycyjne danie kuchni żydowskiej. Znane są dwie wersje tego dania: nadziewane skórki z gęsich szyjek lub (rzadziej) potrawka z gęsich żołądków. Dziś zaproponuję swoją wersję pierwszej odmiany tego dania, czyli skóry szyjek nadziewane mięsem i gęsimi podrobami z mleczno-malinowym sosem.

Składniki:

- 3 skórki z gęsich szyjek
- 200 g gęsich żołądków
- 300 g gęsich wątróbek
- 10 g marynowanego imbiru
- 1 doniczka majeranku świeżego
- marchewka, pietruszka (po 1 sztuce)
- 1/3 selera
- 1 cebula
- rosół z szyjek gęsich bez skórek
- 100 g malin
- 1 opakowanie serka waniliowego
- przyprawy: liść laurowy (2 szt.), ziele angielskie (4 ziarenka), łyżka miodu, pieprz czarny (10 ziarenek)

Farsz:

- 2 łyżki gęsiego smalcu
- żołądki gęsie ugotowane
- wątróbki gęsie, surowe
- 1 łyżeczki soli
- 1 łyżeczka pieprzu cytrynowego
- imbir marynowany
- pęczek majeranku świeżego posiekanego
- ok. 100 ml rosołu z gęsiny

Przygotowanie:

Surowe gęsie szyje dobrze umyć, wypłukać, zdjąć z nich skórę, posolić oraz natrzeć majerankiem, odstawić na 15 min. Na szyjkach bez skóry – z dodatkiem żołądków, włoszczyzny i przypraw – ugotować rosół. Cebulę obrać, pokroić w kostkę, podsmażyć na gęsim tłuszczu. Obrać szyje gęsie z mięsa, dodać żołądki, wątróbki oraz warzywa i cebulę, a następnie wszystko zemleć i przyprawić do smaku.

Farszem wypełnić szyjki (nie za dużo, żeby nie popękały podczas pieczenia). Skórę z gęsich szyjek zamknąć, spinając je wykałaczką.

Obsmażyć na gęsim tłuszczu ze wszystkich stron. Przełożyć na blachę wysmarowaną tłuszczem, podlać niewielką ilością wody i wstawić do piekarnika nagrzanego do 170 st. C na ok. 50 min.

Sos: Maliny zmieszać z serkiem waniliowy, wszystko zblendować, podawać na zimno.

Danie serwujemy z kiszonymi liśćmi dębu, chipsami z topinamburu i owocami goji. ©℗

oprac. raw

Daniel Twardo jest szefem kuchni i doradcą kulinarnym.

FOT. FORUMGWIAZDY/FORUM

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Szybcy i wściekli

Eksperci samochodowi „Do Rzeczy" wybaczą mi zagarnięcie ich terytorium. Zapewniam, że jednorazowe. Cieszę się z ostatnich zmian w Kodeksie drogowym, a najbardziej z jednej. Tej, która dotyczy dopuszczalnej odległości między samochodami. Teraz minimalny odstęp od poprzedzającego pojazdu przy prędkości 120 km/h, czyli maksymalnej na drodze ekspresowej, może wynosić nie mniej niż 60 m. Kierowca jadący autostradą z prędkością 140 km/h będzie zobowiązany do zachowywania minimalnego odstępu wynoszącego 70 m.

Wszystko świetnie, pomyślałam, nareszcie nie będzie mi siadało na zderzaku czarne bmw 25-letniego łysego kierowcy, żądając bezzwłocznego ustąpienia, chociaż i tak jadę sporo szybciej, niż wolno w tym miejscu. Z tego właśnie powodu nie znoszę jeździć autostradami, bo tam ten proceder jest najczęstszy. A jeśli już muszę, to choć poruszam się autem dość przyzwoitym i w miarę szybkim, wolę jechać prawym pasem. Na lewym co rusz pojawia się z tyłu black fantom w postaci wymienionego wyżej rumaka i jego kierowcy.

Problem tylko w tym, jak przepis o zachowaniu odległości egzekwować. Jak zmierzyć dystans? Z helikoptera? Drona? Policja podobno nie ma takich mierzących urządzeń i liczy na prywatne kamery, które ma coraz więcej samochodów. Już widzę, jak sądy będą uznawać takie urządzenie. Homologacja,

FOT. ADOBE STOCK

certyfikacja, zgodność z polską normą... Będzie to zatem kolejny martwy przepis, którego wyegzekwować nie sposób.

Podobnie jak wszystkich innych ograniczających szybkość. W Polsce przekraczanie szybkości jest nagminne i bezkarne. Robi to 95 proc. kierowców, ze mną włącznie – biję się w piersi, chociaż staram się jechać tylko o 10–15 km/h więcej, a nie 50 – jak wielu mijanych przeze mnie zawodników.

Ale faktem jest, że przepisów o ograniczeniu prędkości nie przestrzega się, bo często są one bezsensowne. Moją drogą do centrum Warszawy jest ulica Przyczółkowa, która między Konstancinem i Wilanowem ma parokilometrowy odcinek całkiem prosty, bez skrzyżowań, bez zabudowań, ze świetną widocznością. Po obu stronach kapusta. Limit prędkości: 60 km/h. Dlaczego? Po co? Wszyscy jadą tam co najmniej 90, bo wiadomo, że panowie z suszarką czyhają w krzakach raczej rzadko. Szkoda, że ich ofiarą pada zazwyczaj nie jadące slalomem wypasione bmw, tylko jakaś ledwo zipiąca kia.

Wiadomo, że jedyne, co może powstrzymać kierowców przed przekraczaniem szybkości, to pieniądze. I to nie nędzny mandacik w wysokości pięciu stówek dla posiadacza audi Q8. A już naprawdę skuteczna byłaby utrata auta. Nie jestem przeciw. ©℗

eprasa.pl 76b884c402

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Rodzina na szóstkę!

Słabo jest mieć leniwych rodziców. To się niestety przydarzyło naszemu synowi. Ja jestem strasznym leniem, a moja żona jest z kolei bardzo pracowita, ale w efekcie ma tyle pracy, że nie ma na nic czasu.

No i Tymon musi sam robić rozmaite prace szkolne. Nie tak dawno na przykład musiał przygotować coś, co zwie się lab book. W każdym razie ten lab book to było pomieszanie plastyki i biologii. Prezentacja o ptakach, tyle że nie w komputerze, lecz w starym analogowym stylu: trzeba było kleić, wycinać, układać, a wszystko miało atrakcyjnie podawać wiedzę na temat dziobatych.

Młody spędził nad tym pół weekendu. Na wielkiej płachcie papieru naklejał wykonane pieczołowicie origami, a w tych origami ukryte były notatki poświęcone różnym aspektom ptasiej biologii. Wszystko byłoby super, tylko że Tymon pisze – nomen omen – jak kura pazurem, więc nie jest do końca pewne, czy ktokolwiek zapozna się z jego opisami. Forma jednak była świetna. Bardzo był z niej dumny.

A w poniedziałek przyszła do nas jego koleżanka Malwina. Rzuciła okiem na lab book Tymona i oznajmiła: „A moja praca jest ładniejsza. Mama mi zrobiła".

Niedawno był też konkurs na pisanie wiersza. Młody spłodził całkiem zabawny limeryk. Ale inna koleżanka, Karolina, pisała wiersz z mamą (te matki nie mają nic do roboty?). Co ciekawe, korzystały z takiej strony internetowej, która podaje rymy do słów. Więc właściwie pisali we troje, bo rymy podpowiadał Internet. Chyba nawet wygrały ten konkurs. Gawędziłem sobie z tą dziewczynką (nie mówcie nikomu, bo w dzisiejszych czasach to podejrzane, ale mam dobre relacje z dziećmi) i okazało się, że nie zna znaczeń słów użytych w jej dziele. Pojawia się więc pytanie: Czy pomaganie dzieciom im faktycznie pomaga?

W naszej szkole pojawiła się niepisana zasada: w tym roku na świadectwie końcowym raczej nie będzie szóstek. Niektórzy rodzice ździebko się oburzają, bo chyba ciężko na te oceny zapracowali. Zdalny system sprawdzianów dawał uczniom ogromne pole do szachrajstw (dzieciaki podpowiadały sobie np. na komunikatorach), ale wiem, że aktywną rolę w tych machlojkach odgrywali też rodzice. Czasem nawet słyszałem reprymendy nauczycieli, którzy apelowali do tej czy owej mamy, żeby podpowiadały nieco dyskretniej.

Jako że są we mnie jeszcze resztki złośliwości (większość z wiekiem wyparowała), to zdarza mi się dręczyć takich prymusów. Ostatnio zdybałem jednego kolegę, który w teście bezbłędnie wskazał wszystkie stolice europejskie. Pochwaliłem tatę za wiedzę dziecka, a potem podstępnie spytałem latorośl o stolicę Francji. – No, pamiętasz, musisz pamiętać, przecież tam byliśmy – sapał tata. Sapał, sapał, aż w końcu się zaczerwienił. Ze wstydu, jak mniemam. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Człowiek człowiekowi rottweilerem

Małgośka – mówią mi – chcecie ludziom siłą narzucać wiarę, poglądy, moralność? Zacietrzewia się mój znajomy, który bezkrytycznie hołduje doktrynie, że człowieka nie wolno próbować zmieniać, ulepszać, o nawracaniu nie wspominając, bo to już zamach terrorystyczny na jego wolność. A takich jak on, którzy żyją według haseł: „Zabrania się zabraniać!", „Żądamy swobody odruchów i instynktów!", jest coraz więcej. Inna rzecz, że minister Czarnek jakoś ich zaktywizował.

Przypomina mi się więc moje doświadczenie z bestią hodowaną przez szwagra – pięknym rottweilerem z rodowodem. Czasem oddawano mi go pod opiekę, a choć był ułożony i karny, to przecież siła instynktów jego natury mocno dawała mi się we znaki, gdy musiałam wyprowadzić na spacer 70 kg młodej, narwanej bestii. Przy czym o ile łatwo podrzucić psa, o tyle nie sposób w pakiecie przekazać autorytetu jego pana, toteż układałam sobie modus vivendi z psem zabójcą, jak umiałam.

Nigdy mnie nawet nie drasnął, choć natura wyzwalała z niego inne potworności: ilekroć bestia zjadła michę jedzenia, tylekroć psuła powietrze w domu tak, że już nie wiadomo było, który koniec zwierza groźniejszy jest dla człowieka. Pies jest wcieleniem siły instynktów temperowanych sprytem i autorytetem człowieka. Natura człowieka też musi być temperowana i słyszeć czasem twarde NIE, którego tak nie lubią krnąbrne dzieci i lewacy. To dekalog był pierwszą próbą wzięcia w ryzy natury człowieka i dlatego musi pozostać ważny nawet dla niewierzących, abyśmy się wzajemnie nie powybijali w tym rozbuchanym indywidualizmie.

Hiszpanie mają słuszny żal, że nikt nie wypomina Rzymianom imperialnego rozmachu, podczas gdy misja ewangelizacyjna królów katolickich, która przekształcała okrutne, prekolumbijskie plemiona najpierw w cywilizowane prowincje Hiszpanii, a potem wolne kraje, od lat interpretowana jest opacznie. W końcu modnie jest oskarżać białego człowieka z jego „opresyjną religią" o całe zło tego świata. Ktokolwiek widział „Apocalypto" Gibsona, ten zrozumiał, w jaką rzeczywistość zanurzyli się hiszpańscy zdobywcy, osadnicy i misjonarze. Tak, człowiek też potrafi być bestią, jeśli wyemancypuje się z moralności, religii, przynależności do wspólnoty. Dlatego zostawiana sam na sam z rottweilerem dodawałam sobie animuszu, przekonując go: „Jaki tam z ciebie pies zabójca? Nie rozśmieszaj mnie. Tylko osobniki mojej rasy potrafią zabijać na skalę przemysłową nawet własne dzieci". I uwierzył mi. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że bestia słuchała się cherlawej kobitki? ©℗

eprasa.pl 76b884c402

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Kieliszek”

Większość pisarzy, która natychmiast, już latem 1944 r., w PKWN-owskim Lublinie doszlusowała do nowej władzy, była – jak Ważyk, Putrament, Pasternak – proweniencji lewicowej i komunistycznej. Co robił wśród nich ktoś z zupełnie innej bajki, czyli Minio, Janusz Minkiewicz? Czyżby przedwojenny bon vivant, bywalec Adrii, miłośnik drogich trunków, zarabiający krocie wzięty kabareciarz przejął się tezami manifestu lipcowego? Nikt w to nie wierzył i rzeczywiście powody były inne.

W całym kraju rozpoczęło się karanie zdrajców, kolaborantów – nie tylko volksdeutschów, lecz także aktorów i autorów koncesjonowanych przez Niemców teatrzyków oraz polskojęzycznej prasy „gadzinowej”. Władze podziemia nawoływały do ich bojkotu. Minkiewicz zaś pod pseudonimem Kieliszek razem ze Stefanem Strausem „Strusiem” pisywali teksty do koncesjonowanych teatrzyków i rewietek. „Ludzie ginęli, transporty szły do obozów śmierci, a tam dawano »Wesoły ogonek«, »Cacko z dziurką«” – mówił prof. Bohdan Korzeniewski, twórca powojennej komisji weryfikacyjnej aktorów. Minio salwował się więc ucieczką pod skrzydła nowej władzy. Z powodzeniem.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Już w 1945 r. utworzony w Lublinie Tymczasowy Zarząd Związku Zawodowego Literatów pozytywnie go zweryfikował, a w 1947 r., już w Warszawie, jego decyzję potwierdziła komisja weryfikacyjna (m.in. Stefan Żółkiewski, Mieczysław Jastrun). Darowali Miniowi, choć usunęli ze związku, tym samym z zawodu, kilku innych, oskarżonych o współpracę z Niemcami, m.in. Stanisława Wasylewskiego, Tadeusza Hołuja, Alfreda Szklarskiego (ukaranego też ośmioma latami więzienia). Władze związku i marksistowska „Kuźnica”, do której Minkiewicz zaczął pisywać, broniły go również przed atakami m.in. PSL-owskiej „Gazety Ludowej” i Minkiewicz, czując się już mocno w siodle, pozywał do sądów tych, którzy mu „Kieliszka” wypominali.

„Powinien siedzieć cicho, cieszyć się, że mu się upiekło” – mówiono, ale miał swoje racje. Jego „Cacka z dziurką” czy półpornograficzne opowiadania Szklarskiego z gadzinowej „Fali” trudno nazwać czynami chwalebnymi. Nie były jednak kolaboracją. Nie gloryfikowały okupanta, nie szkalowały Polski i Polaków, nie osłabiały wcale polskiego ducha, jak im zarzucano. Dostarczały za to – niewyszukanej wprawdzie – rozrywki, pozwalały na odreagowanie strachu, dawały chwilę wytchnienia. „Wbrew zakazom władz AK warszawiacy, także i akowcy, zaglądali do gadzinowej prasy, do »Nowego Kuriera Warszawskiego« przezwanego »Kurwarem«. Czytali go między wierszami, chodzili do kin i teatrów. Chodziłem i ja, żeby zobaczyć wybitnych aktorów, Malicką, Woszczerowicza. Chciejstwem było znane powiedzenie, jakoby tylko świnie siedziały wtedy w kinie, a co bogatsze, w teatrze. Frekwencja była ogromna” – wspominał Lesław Bartelski, autor wielu książek o okupacji. Kary dla Minkiewicza i Szklarskiego były tym bardziej kontrowersyjne, że dotyczyły jedynie współpracy z okupantem hitlerowskim. Ich chałtury były niczym w porównaniu z ewidentnie antypolską twórczością oraz postawą pisarzy w okupowanym przez Sowietów Lwowie – Ważyka, Putramenta, Jastruna, Pasternaka, Wasilewskiej. Pisali oni peany na cześć sowieckiego okupanta, nazywanego przez nich wyzwolicielem, cieszyli się z końca „pańskiej, burżuazyjnej Polski”. Podpisali deklarację wyrażającą radość z powodu zajęcia przez Sowietów wschodnich obszarów Rzeczypospolitej. Mimo to żadnemu z nich nie tylko nie spadł nawet włos z głowy, lecz także to oni – np. Mieczysław Jastrun – weryfikowali teraz kolegów. Choć jednak uważano, że Minio wyszedł ze sprawy zwycięsko, wcale tak nie było. „Kieliszek” złamał mu jednak życie. Nowa władza odpuściła mu, ale nie za darmo. Musiał oddać jej za to swój niewątpliwy talent, wiernie jej służyć, zostać jej głównym, nadwornym satyrykiem i pisać rzeczy propagandowe, po prostu obrzydliwe. Atakował kolejnych wrogów – londyńskich bankrutów, zachodnich imperialistów, wojennych podżegaczy, sklepikarzy, kołtunów, reakcjonistów. Szybko złamał pióro. Coraz więcej pił, był alkoholikiem. „Pozostał wyłącznie postacią lokalową, spatifowską, gdzie całymi dniami przesiadywał” – przyznawał jego przyjaciel Antoni Marianowicz. ©℗

eprasa.pl 76b884c402

GARDZIEL

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W Polsce lato i wakacyjnie, to może ja opowiem coś z knajpy. Jest tu taki jeden i wołamy na niego Gardziel. Przezwiska na prerii to lokalna norma – najczęściej są to skróty imion, czyli Jeff zamiast Jeffrey, Fred zamiast Frederick, Jim, Joe, Jo, Jo-Jo, a nawet J, czyli jedna litera. Jedna litera to tak, jakbyśmy w Polsce mówili na kogoś Zet lub Pe, bo mamy już w grupie Piotra, Piotrka, Piotrusia, a nawet Pitera (kumpla, który 10 lat pracował w Irlandii) i już naprawdę nie wiemy, jak nazwać kolejnego o takim samym imieniu, więc z Piotra robimy Pe. Działa.

***

No więc jest tu taki jeden i wołamy na niego Gardziel (po angielsku: Throat). Zabrakło już miejsca i konceptu na stosowanie jakiejś wersji jego prawdziwego imienia, a on z kolei dał nam dobry pretekst, by zostać Gardzielem. Nie chodzi o to, że potrafi wypić, bo pod tym względem jest w średniej normie. Chodzi o to, że gdy on cokolwiek pije, to nie łyka – otwiera gardło i... wlewa. Jak do zlewu. Potrafi bez gulgania wlać sobie do żołądka dowolną objętość płynu: kieliszek, szklankę, kufel, galon. Podejrzewamy, że gdyby chciał (i gdyby ktoś mu pomógł w nalewaniu), wówczas przyjąłby nawet wiadro i nie gulgnął ani razu.

Ponieważ Gardziel nie łyka, wszystko, co w siebie wlewa, omija kubki smakowe i leci wprost do żołądka. Ma to takie konsekwencje, że Gardzielowi jest obojętne, co pije. Jest w stanie wlać w siebie napoje i trunki niesmaczne, bo poczuje efekt dopiero na dnie żołądka i potem we krwi, ale nie w ustach. Dajemy mu więc do picia rzeczy, które ktoś inny zamówił w barze lub kupił w sklepie, ale mu nie smakowały. Nikt inny nie chce tego pić, a już na pewno z cudzej polizanej szklanki, ale Gardziel… On to wlewa wprost do brzucha, bez dotykania ustami, więc jeżeli dostanie w podarunku niedopite drinki po przypadkowych paniusiach z Kalifornii, którym nie smakowała nasza ostra margarita, to… Gardziel wlewa w siebie wszystko jak do szamba.

Facet jest mistrzem dopijania. Nigdy nie zapłacił złamanego centa za żadnego drinka, bo albo ktoś mu funduje – żeby popatrzeć, jak wygląda wlewanie bez łykania – albo kelner po prostu stawia przed Gardzielem wszystkie niedopite szklanki zebrane w knajpie, a wcześniej zapłacone. Zostawia je na tacy, żeby zachować pozory legalizmu. No bo przecież nie wolno ludziom podawać resztek po innych klientach – za coś takiego zamykają knajpę. Ale… jeżeli odstawisz na chwilę tacę, którą właśnie niosłeś na zaplecze, i ktoś z tej tacy zdejmie sobie resztki, to przecież nie twoja wina i przestępstwa nie ma.

***

Żeby była jasna sprawa: Gardziel DOCENIA drinki. On nie docenia ich smaku, ale, tak jak my wszyscy, docenia to miłe szmyranie, które wywołuje alkohol. Gardziel jest równym kumplem, da się z nim pogadać, pośmiać, wypić, postrzelać. Da się z nim ścigać traktorem przez wertepy w naszym dorocznym wyścigu o prostej nazwie: „Kto pierwszy dojedzie traktorem do kompletu nowych opon, ten wygrywa opony" (ufundowane przez dealera firmy John Deere). Da się go nawet namówić na nocny, nielegalny i bardzo niebezpieczny rajd przez granicę meksykańską, gdyby ci krowy uciekły. Z Gardzielem da się wszystko, bo to bardzo równy chłop, tylko… musisz siedzieć od niego trochę dalej, bo głośny jest.

Gardziel jest tak głośny, że gdyby w jakimś porcie zepsuła się syrena przeciwmgielna, mogliby zatrudnić Gardziela. Ma nie głos, lecz głosisko. Gdyby był urządzeniem, to w zestawie z Gardzielem sprzedawaliby obowiązkowe słuchawki do obsługi młotów pneumatycznych. On powinien nosić koszulkę z napisem: „NIE PODCHODZIĆ – ZAGROŻENIE UTRATĄ SŁUCHU".

***

Gdyby ktoś niezaznajomiony z sytuacją wszedł do naszej knajpy, zobaczyłby samotnego człowieka na końcu baru, koło którego nikt inny nie siada. A prawda jest taka, że siadamy chętnie razem z Gardzielem, lecz trochę dalej, niż przewidują norma towarzyska i konwenans. Gardziel to decybele – tyle Wam powiem.

Pracował kiedyś na okręcie wojennym. W maszynowni. Tam jest huk. Ludzie często pracują w słuchawkach i mają przy nich mikrofony – coś jak słuchawki na strzelnicy, które tłumią huk, ale pozwalają rozmawiać bez wrzeszczenia. Tyle że w maszynowni okrętu zawsze gorąco i nikt słuchawek nie lubi. Ponadto czasami musisz wsadzić głowę w jakieś urządzenie, pod blok silnika, czy gdzieś w ciasne zakamarki okrętowych trzewi i wtedy słuchawki zawadzają. Wielu mechaników opanowało więc coś w rodzaju języka migowego, natomiast Gardziel, wspierany naturalnym talentem i cechami swego organizmu, opanował WRZASK. I to mu zostało, mimo że jest już na emeryturze.

Jest jeszcze coś – Gardziel lubi śpiewać i to jest jedyna rzecz, której nie lubi nikt – poza nim. Żebyśmy się dobrze zrozumieli: my, tu w naszym barze, cenimy muzykę we wszystkich preriowych odmianach. Cenimy więc zarówno country, jak i western, i LUBIMY śpiewać razem. Nikt jednak nie lubi, gdy „razem" zawiera Gardziela.

A poza tym, że ma w sobie niespożyte decybele, ma też gadane.

Bardzo lubimy go słuchać, choć trzeba to robić z watą w uszach. Takich dowcipów jak Gardziel nie opowiada nikt inny.

Przyjechał tu kiedyś komik z Las Vegas zrobić stand-up i Gardziel go zagadał – był śmieszniejszy, a do tego nie wziął honorarium, bo siedział na widowni. Od tamtego zdarzenia barman zaprasza już tylko zespoły do grania muzyki, ale nikogo od komedii. Mamy tu więc co sobotę albo country, albo western, albo Gardziel opowiada dowcipy, a my ryczymy ze śmiechu. I nasz ryk jest cichszy od jego „opowiada". ©℗

eprasa.pl 76b884c402

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

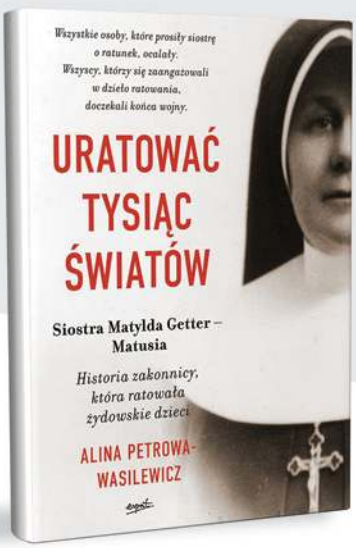

W PREZENCIĘ
KSIĄŻKA

ALINA PETROWA-WASILEWICZ
„URATOWAĆ TYSIĄC ŚWIATÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~711 ZŁ~~

311,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 400 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 76b884c402

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

100 STRON!
NUMER JUBILEUSZOWY

Kamil Anduła – **Komunistyczny mit o Lenino**
Tomasz Stańczyk – **Renegat Zygmunt Berling**
Sol Messinger – **Byłem na pokładzie „St. Louis"**
Arkadiusz Karbowiak – **Francuscy kolaboranci**
Mikołaj Iwanow – **Krwawy prokurator Wyszyński**
Craig Symonds – **Powietrzny rajd na Tokio**
Maciej Rosalak – **Seks Bolesława Chrobrego**
Jacek Bartosiak – **Polacy nie są gorsi!**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Demokracja w działaniu**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 76b884c402